

Kuźnicki:
NCN i zrównoważony rozwój

Chybowski, Przetakiewicz:
Patent uświęca środki

Diks:
Kontrola czy mentoring

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 9/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Czy mamy kompleks Zachodu?

Str. 26-31



Czopek:
Idzie młoda konkurencja

Katunin:
Kariera fraktali

Jurek:
Etyka w statystyce

Europejska Nagroda Naukowa im. Stanisława Lema

Stanisław Lem European
Research Prize (Lem Prize)

#LemPrize



Lem Prize została ufundowana, aby upamiętnić 100. rocznicę urodzin wybitnego polskiego pisarza i wizjonera, Stanisława Lema, wyróżnionego tytułem doktora *honoris causa* Politechniki Wrocławskiej w 1981 roku. Nagroda jest adresowana do młodych naukowców (poniżej 40. roku życia). Promuje odkrycia, które odznaczają się kreatywnością, interdyscyplinarnością i wizjonerstwem, zawierając przy tym istotny element technologiczny. Wysokość nagrody to 100 000 złotych.

Jury

Nagrodę przyznaje międzynarodowa kapituła, której przewodniczącym jest prof. Reimund Neugebauer, prezes Towarzystwa Fraunhofera.

Terminy

Na aplikacje kandydatek i kandydatów czekamy do 15 października 2021 r. Zwycięzca zostanie ogłoszony 15 listopada podczas Święta Politechniki Wrocławskiej.

Więcej informacji: lemprize.pwr.edu.pl

Kontakt: lemprize@pwr.edu.pl +48 71 320 22 68

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
ERC i NCN – podobne, ale nie identyczne	
– Andrzej Jajszczyk	6
Patenty w pandemii	
– Mariusz Karwowski	8
Z potrzeby biznesowej	
– Edyta Demby-Siwek	8
Dwadzieścia lat Uniwersytetu Rzeszowskiego	9
Współpraca PK z CERN-em – to już 30 lat!	
– Błażej Skoczeń	10
Sytuacja ekonomiczna uniwersytetów w roku 2020	
– Mirosław Gornowicz	12
Najwyższa pora	
– Marcin Kędzierski	14
Dziesięć lat NCN	15, 24, 47, 73
Gdańszczanie potwierdzili dominację	
– Mariusz Karwowski	16
Teraz było znacznie trudniej	
– Krzysztof Kaszuba	16
Strategia na różne sposoby	
– Mariusz Karwowski	17
W dążeniu do uczelni badawczej	
– Agnieszka Kurczewska	18
Na rzecz miasta i regionu	
– Artur Zimny	18
Aspirujemy do miana uniwersytetu przyszłości	
– Andrzej Kaleta	19

ROZMOWA FORUM

Chcemy finansować tylko najlepsze projekty	
– rozmowa z prof. Jackiem Kuźnickim, przew. Rady NCN	20

CZY MAMY KOMPLEKS ZACHODU?

Wychodzimy z kompleksów	
– Wojciech Rypniewski	26
Nie kompleks, tylko warsztat i praca	
– Wojciech Dyduch	30

ŻYCIE NAUKOWE

Patent wart więcej niż wdrożone rozwiązanie	
– Leszek Chybowski, Wojciech Przetakiewicz	34

Z archiwum nieuczciwości naukowej (189)

Plagiaty byłego rektora UG	
– Marek Wronski	38

ŻYCIE AKADEMICKIE

Czytelnia czasopism	
– Aneta Zawadzka	25
Podejmujemy rękawicę	
– rozmowa z prof. Sylwestrem Czopkiem, rektorem URz	42
W oczekiwaniu na ewaluację	
– Zbigniew Drozdowicz	45

Mentoring, a nie kontrola	
– rozmowa z prof. Krzysztofem Diksem, byłym przew. PKA	48
Czego możemy się nauczyć od Koreańczyków?	
– Zbigniew Karolewski, Roman Hołubowicz	51

Z LABORATORIÓW

Ujarzmić matematyczne potwory	
– Andrzej Katunin	54
Nie tylko łągodzi obyczaje	
– Mariusz Karwowski	57
Zmienia się sytuacja prasy kobiecej	
– Olga Dąbrowska-Cendrowska	60
Czterdzieści lat bez „Wiadomości”	
– Marcin Lutomiński	63

W STRONĘ HISTORII

Tadeusz Kotarbiński 40 lat od śmierci	
– Wojciech W. Gasparski	66

Kartki z dziejów nauki w Polsce (240)

Siła ośrodków akademickich	
– Piotr Hübner	69

OKOLICE NAUKI

Statystyka jako narzędzie nadużyć i manipulacji	
– Krzysztof Jurek	71
Refleksje pandemiczne	
– Zbigniew Cywiński	74

Książki

Wolność w czasach Facebooka	
– Mariusz Karwowski	77
Me, myself and I	
– Marek Misiak	77
Podręcznik dobrego widzenia	
– Aneta Zawadzka	78
Diabeł szlachcic	
– Marcin Lutomiński	78
O sąsiedztwie inaczej	
– Anna Jawor	79
Książki nadesłane	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Przyczynk do teorii pośrednictwa	
– Piotr Müldner-Nieckowski	76

Na marginesach nauki

Nauka polska w świecie	
– Leszek Szaruga	80

Projekt okładki – Sławomir Makal

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVIII Nr 9 (333) Wrzesień 2021

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźniak – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapi” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dofinansowano z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki.

Na czele EURODOC

BRUKSELA Agnieszka Żyra, doktorantka Politechniki Krakowskiej, została wybrana na stanowisko przewodniczącej EURODOC (European Council of Doctoral Candidates and Junior Researchers). Dotychczasowa sekretarz organizacji od kilku lat angażuje się w działalność doktorancką na szczeblu krajowym i międzynarodowym. Była m.in. wiceprzewodniczącą Krajowej Reprezentacji Doktorantów (2018). Jest zatrudniona w Katedrze Inżynierii i Automatyzacji Produkcji na Wydziale Mechanicznym PK, gdzie zajmuje się zagadnieniami związanymi z niekonwencjonalnymi technikami obróbki, szczególnie obróbką elektroerozyjną. EURODOC to federacja 32 krajowych stowarzyszeń doktorantów i młodych naukowców z Unii Europejskiej oraz Rady Europy. Reprezentuje ich interesy w dziedzinie edukacji, badań i rozwoju zawodowego oraz pracuje nad polepszeniem programów studiów doktoranckich i standardów prowadzonych badań.



Fot. Arch. prywatne

Zamość już akademicki

WARSZAWA/ZAMOŚĆ Minister nauki i edukacji powołał dr. hab. Pawła Skrzydlewskiego, prof. PWSZ w Chełmie, na stanowisko rektora Akademii Zamojskiej. Powstała ona z przekształcenia Uczelni Państwowej im. Szymona Szymonowicza w Zamościu. Skrzydlewski przez wiele lat był związany z Wydziałem Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Od 2020 r. pełni funkcję doradcy ministra nauki i Przemysłu



Czarna. Jego zainteresowania badawcze koncentrują się w obszarach: filozofii wychowania i edukacji, antropologii filozoficznej, filozofii kultury i cywilizacji, filozofii prawa, filozofii polityki. Zamojska publiczna uczelnia zawodowa powstała w 2005 r. Obecnie posiada prawo do prowadzenia kształcenia na 9 kierunkach studiów pierwszego stopnia. Studiuje w niej blisko tysiąc osób.

Polka w zarządzie DUKENET

WALENCJA/KATOWICE Prof. Justyna Matysiewicz z Katedry Badań Konsumpcji Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach została



Fot. UE w Katowicach

jednogłośnie wybrana na wiceprezenta międzynarodowego konsorcjum uczelni ekonomicznych DUKENET. Stowarzyszenie powstało w 1996 r. jeszcze jako sieć Socrates, której koordynatorem była holenderska Avans Hogeschool w s'Hertogenbosch. Obecnie zrzesza 21 uniwersytetów m.in. z Finlandii, Francji, Węgier, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Rumunii, Norwegii, Holandii i Włoch. Jedynym polskim członkiem organizacji jest UE w Katowicach. DUKENET realizuje międzynarodowe projekty dydaktyczne i naukowe, jest odpowiedzialne za tworzenie i realizację wspólnych programów kształcenia oraz modułów edukacyjnych, a także za publikacje naukowe. Kadencja nowych władz potrwa do 2023 r.

OPERAS na Mapie Drogowej

BRUKSELA Europejska inicjatywa dla otwartej komunikacji w naukach humanistycznych i społecznych OPERAS, której członkiem jest Instytut Badań Literackich PAN, została wpisana na listę Europejskiej Mapy Drogowej Infrastruktur Badawczych. To część ESFRI (European Strategy Forum on Research Infrastructure) – strategicznego dokumentu, którego celem jest wzmocnienie integracji naukowej w Unii Europejskiej oraz umiędzynarodowienie dorobku europejskich zespołów badawczych. OPERAS jest jednym z 11 projektów uznanych za kluczowe dla rozwoju i integracji infrastruktury naukowej w UE. Na realizację wszystkich przeznaczono ponad 4 mld euro. IBL PAN od 2017 roku uczestniczy w tworzeniu infrastruktury badawczej dla nauk HS. W czerwcu zakończono dwuletni projekt OPERAS-P, którego celem było rozpoznanie potrzeb i stworzenie strategii dla projektów infrastrukturalnych konsorcjum. Od października 2019 r. do marca 2023 r. polski zespół jest zaangażowany w budowanie serwisu GOTRIPLE, służącego do przeszukiwania wielojęzycznych zasobów humanistyki i nauk społecznych umieszczonych w otwartym dostępie.

Blżej nieba

BIAŁYSTOK/ZIELONA GÓRA Uniwersytety z tych miast wzbogaciły się o dwa nowoczesne teleskopy. W Obserwatorium Uniwersytetu w Białymstoku stanął teleskop zwierciadlany ASA 600, jeden z największych tego typu w Polsce. Posiada kwarcowe zwierciadło główne o średnicy



Fot. Marnett Janion

60 cm. Będzie służył do obserwacji wzrokowych, automatycznych, specjalistycznych badań spektrograficznych czy rejestracji „astro” aparatem fotograficznym oraz nowoczesną kamerą rejestracyjną opartą na sensorze CMOS. Kosztował ok. 670 tys. zł. Do Instytutu Astronomii Uniwersytetu Zielonogórskiego trafił z kolei system dwóch teleskopów zwierciadlanych (na fot.): teleskopu głównego (50 cm) i teleskopu pomocniczego o aperturze (28 cm). Kosztował 450 tys. zł. W połowie września umieszczono go na tzw. farmie teleskopów „e-EyE” w Hiszpanii, gdzie za jego pomocą będą prowadzone obserwacje planetoid czy gwiazd zaćmieniowych oraz zbierane dane do projektu Europejskiej Agencji Kosmicznej, który ma na celu wyznaczanie orbit śmieci kosmicznych zagrażających satelitom oraz statkom kosmicznym.

Research in Poland

WARSZAWA Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej uruchomiła platformę Research in Poland (www.researchinpoland.org), na której znajdują się informacje na temat systemu szkolnictwa wyższego w Polsce, a także narzędzia pozwalające szybko znaleźć grant, ofertę pracy i konferencję naukową. Serwis, prowadzony w języku angielskim, kierowany jest do zagranicznych naukowców i doktorantów, którzy stoją przed decyzją o kontynuowaniu kariery naukowej w Polsce bądź o podjęciu współpracy z naszymi badaczami. Poprzez komponent success stories strona ma także promować dokonania polskich naukowców.

Nauka otwarta dla każdego

WROCŁAW Politechnika Wrocławska przystąpiła do projektu OPTIMA (Open Practices, Transparency and Integrity for Modern Academia). Jego

efektem ma być platforma, która zapewni dostęp do otwartej nauki m.in. na ukraińskich uczelniach. Koordynatorem jest Politechnika Lwowska, a uczestniczą w nim także uczelnie z Austrii, Francji i Ukrainy oraz organizacje: EURODOC, EIFL, NAQA i NASC. Konsorcjum opracowuje narzędzia, dobre praktyki i materiały szkoleniowe, które mają ułatwić uczelniom zachowanie integralności, przejrzystości i transparentności. Działania dotyczą zarówno otwartości w dziedzinie badań, jak i przejrzystości procesu recenzji artykułów, np. opracowywanych na konferencje naukowe. Naukowcy z PWR opracowują nowoczesną platformę dla organizatorów konferencji dla studentów i doktorantów. Będzie ona dawała możliwość rejestrowania konferencji, przyjmowania artykułów, recenzowania ich, publikowania i przyjmowania zgłoszeń od uczestników.

Co najchętniej jadają wilki?

WIGRY Dieta wilków z Wigierskiego Parku Narodowego była przedmiotem badań zespołu naukowców m.in. z Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Śląskiego oraz Instytutu Biologii Ssaków PAN. Przez trzy lata zbierali oni próbki wilczych odchodów (w sumie 303). Następnie



przeanalizowali ich zawartość, by na podstawie obecnych tam fragmentów kości oraz sierści zwierząt dociec, co wilki zjadły. Ustalili, że drapieżniki te zasmakowały w sarnach i dzikach, ale nie pogardzają także jeleniami, łosiami, zającami, borsukami oraz... bobrami. Te ostatnie stanowiły aż 1/4 biomasy zjadanego przez wilki pokarmu. Wilki zdecydowanie częściej odżywiały się bobrami wiosną i latem, wtedy gryzonie te stanowiły ok. 37% biomasy pokarmu drapieżników. Rzadziej polowały na nie jesienią i zimą, wtedy ich udział w diecie spadał do ok. 11%. Istotny okazał się również roczny poziom opadów: im jest ich mniej, tym niższy poziom wód, a co za tym idzie – bobrom trudniej ukryć się przed drapieżnikami. Zdaniem badaczy, drapieżnictwo wilków można traktować jako ważną usługę ekosystemową, mogącą wpływać na ograniczenie szkód wyrządzanych przez bobry.

Zmierzą jasność nieba

GDAŃSK Politechnika Gdańska jako pierwsza jednostka badawcza w Polsce dołączyła do międzynarodowej sieci pomiaru jasności nieba Globe at Night – Sky Brightness Monitoring Network (GaN-MN). Obejmuje ona



Fot. Arch. prywatne

swym zasięgiem 19 krajów, a pomiary wykonywane są przy pomocy specjalistycznego czujnika SQM-LE przeznaczonego do długoterminowego monitorowania. Cała sieć liczy 64 czujniki. W Gdańsku umieszczono go na dachu Gmachu B. Inicjatorem pomysłu była dr inż. arch. Karolina Zielińska-Dąbkowska z Wydziału Architektury, która kieruje interdyscyplinarną grupą badawczą ILLUME zajmującą się minimalizacją wpływu zanieczyszczenia światłem sztucznym na ludzi, florę i faunę. Jej członkowie szukają praktycznych rozwiązań, które pozwoliłyby ograniczyć ten problem. Grupa opracowuje również metodologie pomiarów zanieczyszczenia światłem sztucznym przy pomocy nowoczesnych metod fotograficznych i teledetekcyjnych, opierających się m.in. na przetwarzaniu i analizie danych pozyskanych przy pomocy drona wyposażonego w sensory światłoczułe.

Tym razem laur dla Polaka

KRAKÓW Prof. Paweł Zajdel z Wydziału Farmaceutycznego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego otrzymał prestiżową Polsko-Francuską Nagrodę Francuskiego Towarzystwa Chemicznego w uznaniu osiągnięć naukowych i zasług w przedsięwzięciach realizowanych we współpracy ze stroną francuską. Wyróżnienie, ustanowione we współpracy Société Chimique de France z Polskim Towarzystwem Chemicznym, przyznawane jest co roku, przy czym w latach nieparzystych honorowani są polscy chemicy, a w parzystych francuscy. Badania tegorocznego laureata dotyczą rozwoju ligandów wybranych białek, takich jak receptory sprzężone z białkami G (GPCR), w szczególności modulatorów receptorów dopaminy i serotoniny, w celu leczenia chorób neurodegeneracyjnych centralnego układu nerwowego (schizofrenia, choroba Alzheimera). Od ub.r. laureat kieruje Katedrą Chemii Organicznej w CM UJ.



Fot. Arch. prywatne

Od Mazowsza po Mazury

WARSZAWA W Giżycku powstanie filia Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. W przyszłym roku planowane jest uruchomienie w niej studiów pielęgniarskich. Porozumienie podpisane przez ks. prof. dr. hab. Ryszarda Czekalskiego, rektora UKSW oraz Wojciecha Iwaszkiewicza, burmistrza Giżycka, zakłada współpracę przy opracowywaniu, modyfikowaniu i realizowaniu programów kształcenia na studiach I i II stopnia. Giżycko odkupiło upadły szpital powiatowy, posiadający 11 oddziałów. Aby zachować w nim ciągłość leczenia, konieczne jest wykształcenie personelu. Z pomocą przyszedł UKSW. Umowa między uczelnią a miastem uwzględniła działania związane z doskonaleniem i budowaniem kompetencji zawodowych studentów kierunków medycznych zamieszkałych w Giżycku i okolicach. Dotyczy to w szczególności organizacji kształcenia praktycznego w placówkach medycznych zlokalizowanych w pobliżu miejsca zamieszkania studenta. Chodzi o optymalne przygotowanie kadr na potrzeby systemu ochrony zdrowia w regionie, szczególnie w zakresie pielęgniarstwa.

Sportowa inwestycja pod Wawelem

KRAKÓW Oddany do użytku w 2018 roku Kampus 600-lecia Odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego na Ruczaju zostanie rozbudowany. Wkrótce ruszy tam budowa Uczelnianego Centrum Sportowo-Rekreacyjnego. U zbiegu ulic Łojasiewicza, Poletkowej i Gronostajowej powstanie dwukondygnacyjny budynek, w którym znajdą się siłownia, pomieszczenia fitness, szatnie z węzłami sanitarnymi, zaplecze techniczno-administracyjne oraz sala konferencyjna i trybuna z 330 miejscami. W planach jest również kilka boisk do piłki nożnej, rugby, koszykówki i siatkówki plażowej, korty tenisowe, a także elementy małej architektury: siłownia zewnętrzna, ławki, stoły szachowe i do ping-ponga. Inwestycja, której zakończenie planowane jest w 2023 roku, pochłonie ponad 26 mln zł.

W gronie politologów

LIZBONA/OLSZTYN Prof. Arkadiusz Żukowski, dyrektor Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, został ponownie wybrany na członka 16-osobowego Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Towarzystwa Politologicznego. To już jego druga kadencja. W gremium tym, gdzie jest jedynym przedstawicielem Polski, zasiada od 2018 roku. Międzynarodowe Towarzystwo Politologiczne powstało w 1949 roku. Jego członkami są przede wszystkim krajowe, a także regionalne towarzystwa nauk politycznych (np. nordyckie, latynoamerykańskie czy afrykańskie). International Political Science Association tworzy globalną sieć naukową politologów z całego świata. Prof. Żukowski także drugą kadencję pełni funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych.



Fot. UWIM

Association tworzy globalną sieć naukową politologów z całego świata. Prof. Żukowski także drugą kadencję pełni funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych.

Prezydent z Polski

PORTO/GDAŃSK Dr Anna Wałek, dyrektor Biblioteki Politechniki Gdańskiej, od 1 stycznia 2022 roku pokieruje International Association of University Libraries. Po raz pierwszy stanowisko to obejmie osoba z Polski. IATUL to istniejące od 1955 r. pozarządowe stowarzyszenie zrzeszające biblioteki uczelniane, służące jako forum wymiany doświadczeń i rozwoju nowoczesnych usług bibliotecznych. Organizacją kieruje rada dyrektorów (Board of Directors), w której dr Wałek zasiada od czterech lat, reprezentując obszar europejski. W 2020 r. objęła funkcję sekretarza w zarządzie IATUL. Na stanowisku prezydenta zastąpi Charlesa Eckmana z Uniwersytetu w Miami. Do IATUL należy ponad 260 instytucji z 70 krajów (z Polski biblioteki politechnik: Gdańskiej, Krakowskiej, Łódzkiej, Poznańskiej i Warszawskiej oraz Centrum Wiedzy i Informacji Naukowo-Technicznej Politechniki Wrocławskiej).



Fot. PG

Organizacją kieruje rada dyrektorów (Board of Directors), w której dr Wałek zasiada od czterech lat, reprezentując obszar europejski. W 2020 r. objęła funkcję sekretarza w zarządzie IATUL. Na stanowisku prezydenta zastąpi Charlesa Eckmana z Uniwersytetu w Miami. Do IATUL należy ponad 260 instytucji z 70 krajów (z Polski biblioteki politechnik: Gdańskiej, Krakowskiej, Łódzkiej, Poznańskiej i Warszawskiej oraz Centrum Wiedzy i Informacji Naukowo-Technicznej Politechniki Wrocławskiej).

Alchemium (częściowo) gotowe

ŁÓDŹ Zakończyła się budowa pierwszego z trzech budynków kompleksu Alchemium Politechniki Łódzkiej. W ramach inwestycji za blisko 65 mln zł uczelnia zyskała m.in. aulę na 500 miejsc rozciągającą się przez trzy górne kondygnacje (z możliwością podziału na dwie części). Zastąpi ona wysłużone audytorium im. Sołtana, w którym dotychczas odbywały się najważniejsze uroczystości. Ponadto w obiekcie ulokowano salę senatu na 100 osób, mniejsze audytoria i sale seminaryjne, zaplecze konferencyjne, przestrzeń wystawienniczą dla funkcjonującej w uczelni galerii „Politechnika” oraz pomieszczenia biurowe. W drugim etapie, do 2024 roku, mają



Fot. PL

powstać dwa budynki, w których znajdą się laboratoria chemiczne oraz naukowe. Cały kompleks będzie miał powierzchnię 27 tys. m². Inwestycja ma kosztować 113 mln zł, z czego 97,5 mln zł pozyskano z MEiN.

Zintegrują metrologów

LUBLIN Ponad 1,3 mln zł na utworzenie Unii Metrologicznej przekazał Politechnice Lubelskiej minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. Na uczelni będzie się mieściło biuro PUM. Działalność Unii skierowana będzie na integrację i wzmocnienie potencjału naukowo-badawczego uczelni, urzędów, instytutów dla prowadzenia wspólnych badań naukowych lub prac rozwojowych w obszarze metrologii. Realizowane zostaną wspólne przedsięwzięcia związane z promocją innowacji oraz wsparciem rozwoju kadr, a także organizacją forów, konferencji i kongresów. Nastąpi wzajemna wymiana informacji i wyników badań. Politechnika będzie w tym zakresie ściśle współpracować z Głównym Urzędem Miar, którego laboratoria zlokalizowane są w Warszawie oraz w kamпусie, który powstaje w Kielcach.



Fot. PL

rowana będzie na integrację i wzmocnienie potencjału naukowo-badawczego uczelni, urzędów, instytutów dla prowadzenia wspólnych badań naukowych lub prac rozwojowych w obszarze metrologii. Realizowane zostaną wspólne przedsięwzięcia związane z promocją innowacji oraz wsparciem rozwoju kadr, a także organizacją forów, konferencji i kongresów. Nastąpi wzajemna wymiana informacji i wyników badań. Politechnika będzie w tym zakresie ściśle współpracować z Głównym Urzędem Miar, którego laboratoria zlokalizowane są w Warszawie oraz w kamпусie, który powstaje w Kielcach.

Doktorat h.c. – prof. Anna Wypych-Gawrońska

ŁUCK/CZĘSTOCHOWA Rektor Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie została doktorem honoris causa Wołyńskiego Uniwersytetu Narodowego im. Łesi Ukrainki



Fot. UHP

w Łucku. O nadanie tytułu wystąpiła dyrektor Instytutu Fizyki i Techniki, prof. Halyna Myronchuk. Senat ukraińskiej uczelni przyznał prof. Wypych-Gawrońskiej najwyższą godność akademicką, honorując w ten sposób jej „szczególnie wysokie osiągnięcia w rozwoju stosunków polsko-ukraińskich oraz budowanie wspólnej wizji przyszłości Wołyńskiego Uniwersytetu Narodowego”. Doceniono ją również za wybitne osiągnięcia naukowe, doświadczenie, wiedzę oraz zdolności organizacyjne. W fotelu rektora UHP zasiada od 2016 roku. Specjalizuje się w teorii teatru i dramatu.

Kopernik odporny na zimno

OLSZTYN „Mikołaj Kopernik” – to nazwa najnowszej polskiej odmiany lilii zarejestrowanej w Królewskim Towarzystwie Ogrodniczym w Londynie. Wyhodowała ją dr Beata Płoszaj-Witkowska z Katedry Architektury Krajobrazu na Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa Uniwersytetu War-

Fot. UWM



mińsko-Mazurskiego. To druga roślina zarejestrowana przez tę uczelnię w najważniejszym na świecie towarzystwie ogrodniczym. Ma kwiaty skierowane na boki, w różnych odcieniach czerwieni i pomarańcza. Kwitnie na przełomie lipca i sierpnia. Nie pachnie, ale za to jest odporna na zimno i choroby, więc może zimować w naszych warunkach w gruncie. W 2016 r. dr Płoszaj-Witkowska zarejestrowała lilię „Queen of Kortovo”, która z „Mikołajem Kopernikiem” ma wspólne pochodzenie.

Dyplom na klucz

KIELCE Politechnika Świętokrzyska jako pierwsza uczelnia w Polsce wykorzystuje technologię blockchain do zapewnienia autentyczności swoich dyplomów. Pierwszych 29 absolwentów otrzymało link do zabezpieczonej przed sfałszowaniem cyfrowej kopii dyplomu zapisanej na blockchainie oraz unikalny klucz pozwalający na jej odczytanie. Uczelnia wykorzystała technologię stworzoną przez polską firmę Bil-lon na podstawie umowy zawartej w lutym tego roku. System stanowi

Fot. Bil-lon



bezpieczną alternatywę dla konwencjonalnych metod elektronicznego zarządzania poufnymi dokumentami i danymi studentów. Administracja uczelni może w ciągu kilku sekund zapisać plik PDF w postaci danych rozproszonych na blockchainie. Absolwenci, dysponując unikalnym kluczem, mogą pobrać plik w dowolnym czasie i miejscu na swoje urządzenie i przesłać go potencjalnemu pracodawcy, który szybko zweryfikuje autentyczność na stronie politechniki, potwierdzając kompetencje jego posiadacza. Wykorzystanie blockchaina do zarządzania wrażliwymi dokumentami zapobiega oszustwom związanym z fałszowaniem dyplomów i stopni naukowych.

Podbili Japonię

TOKIO Dziewięć z czternastu medali wywalczonych przez Polaków na igrzyskach XXXII Olimpiady zdobyli zawodnicy z klubów AZS. Najwięcej krąków wśród azetesiaków zgarnęli lekkoatleci, którzy stawiali na podium sześciokrotnie. Dorobek ten powiększyli wioślarze i kajakarze. Złoci medalisti to: Anita Włodarczyk (AZS AWF Katowice) – rzut młotem, Dawid Tomala (AZS Politechniki Opolskiej) – chód na 50 km, Małgorzata Hołub-Kowalik (AZS UMCS Lublin), Natalia Kaczmarek (AZS AWF Wro-

Fot. Rafał Olekiewicz



claw), Justyna Święty-Ersetic (AZS AWF Katowice), Kajetan Duszyński (AZS Łódź), Dariusz Kowaluk (AZS AWF Warszawa), Karol Zalewski (AZS AWF Katowice) – sztafeta mieszana 4x400 m.

Doskonałe inkubatory

WROCŁAW Osiem zespołów badawczych wyłonił pierwszy konkurs Uniwersytetu Wrocławskiego na Inkubatory Doskonałości Naukowej. Na każdy z realizowanych przez nie projektów przeznaczono 4 mln zł. Będą to połączone zespoły naukowców z UWr i badaczy z zagranicy, którzy poprowadzą wspólnie duże projekty w dziedzinach pozostających do tej pory w cieniu. Inkubatory będą działać przez pięć lat. Jeden z nich to Digital Justice, którego kierownikiem jest dr Karolina Kremens z Katedry Postępowania Karnego. Koncentrować się będzie na badaniach nad wpływem nowych technologii na wymiar sprawiedliwości w sprawach karnych. Obejmować one będą m.in. nagrywanie za pomocą kamer nasobnych noszonych przez policjantów dokonywanych przez nich czynności (np. zatrzymań); prowadzenie przeszukiwań elektronicznych urządzeń, w szczególności telefonów komórkowych; wykorzystanie sztucznej inteligencji w celu wymierzania kar za przestępstwa oraz tzw. predictive policing, czyli przewidywania możliwości popełnienia przestępstwa na danym terenie czy przez daną osobę.

Rektor w EASA

SALZBURG/LUBLIN Prof. Krzysztof Kowalczyk, rektor Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, dołączył do grona członków Europejskiej Akademii Nauki i Sztuki (European Academy of Sciences and Arts). Jest 35 reprezentantem Polski w tym gronie. W pracy naukowej zajmuje się głównie zagadnieniami związanymi z odpornością pszenicy i owsa na mączniaka prawdziwego i rdze, identyfikacją i wykorzystaniem markerów molekularnych w badaniach roślin zbożowych oraz analizą ekspresji wybranych genów roślin użytkowych i modelowych indukowanych pod wpływem stresów, a także opracowywaniem markerów DNA przydatnych w selekcji roślin rolniczych. EASA, założona w 1990 roku w Salzburgu, to jedna z najbardziej prestiżowych organizacji naukowych i artystycznych w Europie. Należy do niej ponad 2 tys. naukowców, ludzi kultury i religii, w tym m.in. 34 noblistów oraz papież Benedykt XVI.

Fot. UP



Awanse i debiuty w THE

LONDYN Uniwersytet Jagielloński został najwyżej sklasyfikowaną polską uczelnią w najnowszym rankingu Times Higher Education. To jedno z czterech najbardziej prestiżowych zestawień tego typu na świecie. Krakowska uczelnia utrzymała pozycję z poprzedniego roku, kiedy awansowała z przedziału 601–800 do 501–600. Awans zanotował też Uniwersytet Warszawski (z 801–1000 do 601–800). Po raz pierwszy sklasyfikowano: Politechnikę Poznańską, Politechnikę Rzeszowską, UMCS, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku i Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie (wszystkie na pozycjach 1201+). Wśród 1662 uczelni z 99 państw znalazły się 23 z Polski. Po raz szósty na czele Uniwersytet Oxfordzki.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Ewa Chojnacka, Iwona Czajkowska-Deneka, Katarzyna Dominiak, Katarzyna Dziedzic, Maciej Dzwonnik, Marek Kiczka, Mariusz Kopiejka, Anna Korzekwa-Józefowicz, Agata Kreska, Lech Krysztołowicz, Anna Modelewska, Iwona Pachcińska, Ewa Sapeńko

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



ERC i NCN – podobne, ale nie identyczne



Niezależnie od różnic między Europejską Radą ds. Badań Naukowych (ERC) a Narodowym Centrum Nauki (NCN), obu agencjom przyświeca wspólny cel, którym jest finansowanie, na zasadzie konkursowej, ambitnych badań naukowych.

Dziesiąta rocznica powstania Narodowego Centrum Nauki

skłania mnie do porównań rozwiązań i praktyk stosowanych w tej agencji z tymi, które przyjęto w Europejskiej Radzie ds. Badań Naukowych (ERC). Tym bardziej, że to w głównej mierze na ERC wzorowano się tworząc NCN. Podobieństwa są zresztą bardzo znaczące, szczególnie jeżeli chodzi o sposób dwuetapowej oceny wniosków o finansowanie oparty na panelach ekspertów. Sam podział całego obszaru nauki na panele był do niedawna praktycznie identyczny i w obu przypadkach miał stymulować interdyscyplinarność oraz umożliwiać porównywanie wniosków grantowych w szerszych obszarach niż wąskie dyscypliny naukowe. Podobna, w obu agencjach, jest też rola koordynatorów dyscyplin (w ERC scientific officers). Obie agencje realizują ambitne programy podniesienia poziomu badań naukowych: jedna w szerszym wymiarze europejskim, a druga w wymiarze krajowym.

Konkursy

ERC i NCN różnią się zasadniczo pod względem liczby oferowanych konkursów. W pierwszej z wymienionych agencji jest ich tylko pięć, w tym trzy główne, na które przeznaczana jest zdecydowana większość środków oraz dwa konkursy o raczej pomocniczym znaczeniu. Na stronie internetowej NCN można natomiast znaleźć 28 rodzajów konkursów plus dodatkowe konkursy, które wymieniono w zakładkach „Konkursy międzynarodowe” oraz „Konkursy w ramach funduszy EOG i funduszy norweskich”. Można dyskutować czy tak wielka różnorodność konkursów jest zaletą, czy wadą, ale warto pamiętać, że NCN jako agencja narodowa ma nieco inne zadania niż wyspecjalizowana agencja europejska. Cechą ERC jest duża stabilność zarówno samych typów konkursów, jak i reguł ich rozstrzygania. Większa zmienność

reguł w przypadku NCN wiąże się zapewne z częstszymi u nas zmianami przepisów, a także koniecznością mierzenia się ze złymi praktykami uprawiania nauki w naszym kraju. Warto też zauważyć, że ERC finansuje badania podstawowe i stosowane, w przeciwieństwie do NCN, które może finansować wyłącznie te pierwsze.

Rada

Zarówno w ERC, jak i w NCN kluczową rolę w ustalaniu reguł funkcjonowania agencji oraz definiowaniu konkursów grantowych odgrywają ich rady, niezależnie od drobnej różnicy w nazewnictwie, gdyż w ERC jest to Rada Naukowa, a w NCN po prostu Rada. Podobne są też liczby członków obu rad, które w ERC i NCN wynoszą, odpowiednio, 22 i 24. Pewne różnice występują także w sposobie wyłaniania członków rad na poszczególne kadencje. W obu przypadkach istnieją kilkusobowe zespoły identyfikujące kandydatki i kandydatów na członków. W przypadku NCN zespół identyfikujący członków rady może wybierać jedynie kandydatury spośród osób zgłoszonych przez rady naukowe jednostek naukowych posiadających co najmniej kategorię A oraz podmioty reprezentujące środowisko naukowe. W ERC natomiast członkowie zespołu identyfikującego wybierają kandydatury spośród osób zgłoszonych przez organizacje reprezentujące europejską społeczność naukową. Oczywiście w przypadku ERC pula potencjalnych kandydatów jest znacznie większa niż w NCN, ponieważ obejmuje osoby z całej Europy, a zdarza się także, że i osoby o europejskich korzeniach, pracujące w innych częściach świata. Nie dziwi więc, że przez Radę Naukową ERC przewinęło się już kilku laureatów Nagrody Nobla. Różnice występują też w sposobie zatwierdzania przez organy polityczne kandydatów wskazanych przez zespoły identyfikujące. W przypadku ERC Komisja Europejska ma po prostu prawo weta w stosunku do każdej zaproponowanej kandydatury. Ale trzeba przyznać, że korzystała z tego prawa niezwykle rzadko i to tylko w przypadku wykrycia istnienia potencjalnego konfliktu interesów osoby wskazanej przez zespół identyfikujący, a jednocześnie sprawującej stanowisko kierownicze w jednostce naukowej, której pracownicy mogliby ubiegać się o granty ERC. W przypadku NCN zespół identyfikujący ma obowiązek wskazać dwukrotnie więcej kandydatów niż istnieje miejsc do obsadzenia w radzie. Ostatecznego wyboru dokonuje minister odpowiedzialny za naukę.

Przewodniczący

Znaczne różnice między ERC a NCN występują w przypadku roli, umocowania i sposobu wyboru przewodniczącego. Skoncentruję się jedynie na porównaniu obecnych rozwiązań, ponieważ w ERC uległy one zmianie przed kilku laty. W NCN przewodniczący rady jest po prostu wybierany większością głosów przez samą radę. Przy czym przewodniczący nie jest organem agencji, bo taką rolę pełni, zgodnie z ustawą, sama rada i dyrektor NCN. W ERC rola przewodniczącego jest znacząco większa, ponieważ reprezentuje on formalnie agencję na zewnątrz, a także jest zatrudniony przez Komisję Europejską i ma obowiązek normalnej, codziennej pracy w siedzibie biura ERC w Brukseli. Bardziej złożony jest też sposób jego wyłaniania. Istotną rolę odgrywa tu powołany przez Komisję Europejską kilkusobowy komitet poszukiwawczy (Search Committee) złożony z wybitnych przedstawicieli europejskiej nauki. Komitet ten zbiera kandydatury zgłoszone przez organizacje i ciała reprezentujące społeczność naukową Europy, a także indywidualne zgłoszenia naukowców, z ich grona wyłania trójkę kandydatów, spośród których przewodniczącego wybiera ostatecznie Komisja Europejska. Wcześniej jednak z poszczególnymi kandydatami z wyłonięnej trójki spotyka się na dłuższych rozmowach Rada Naukowa ERC,



Na fot. ustępujący przewodniczący ERC Jean-Pierre Bourguignon (w środku) oraz dwójka wiceprzewodniczących Eveline Crone i Andrzej Jajszczyk.



Posiedzenie Rady ERC, na ekranie Maria Leptin, przewodnicząca ERC od 1 października 2021 r.

która formułuje swoją opinię na temat przydatności poszczególnych osób do pełnienia funkcji przewodniczącego. Ewentualna negatywna opinia Rady Naukowej jest w praktyce wiążąca dla Komisji.

W 2020 roku mieliśmy do czynienia w ERC ze spektakularną wpadką, gdy Rada Naukowa ERC jednomyślnie zażądała rezygnacji dopiero co powołanego przewodniczącego, zarzucając mu działania podejmowane bez upoważnienia Rady Naukowej, brak odpowiedniego zaangażowania oraz działanie wbrew interesom ERC. To doświadczenie spowodowało skorygowanie procedury konkursowej przez zaproszenie do grona komitetu poszukiwawczego aktywnego członka Rady Naukowej ERC oraz dopuszczenie zgłaszania kandydatów przez organizacje reprezentujące naukowców (wcześniej liczyły się tylko samonominacje).

W przeciwieństwie do NCN w ERC istnieją też trzy stanowiska wiceprzewodniczących. Są oni wybierani w tajnym głosowaniu przez członków Rady Naukowej. Ich rolą jest koordynacja działań w trzech obszarach nauki: nauk humanistycznych i społecznych, nauk ścisłych i technicznych oraz nauk o życiu. Przewodniczący, trójka wiceprzewodniczących oraz dyrektor agencji stanowią zarząd ERC (ERC Board).

Dyrektor

Formalnie rzecz biorąc, rola dyrektorów ERC i NCN jest w zasadzie taka sama. Są oni odpowiedzialni za bieżące zarządzanie agencjami i zatrudnionymi w nich osobami, a także za realizację strategii agencji zdefiniowanych przez odpowiednie rady. W przypadku dyrektora NCN dochodzi jeszcze obowiązek reprezentowania instytucji na zewnątrz (w ERC to rola przewodniczącego).

Dyrektor ERC jest wyłaniany przez odpowiednią dyrekcję Komisji Europejskiej w drodze konkursu i Rada Naukowa nie odgrywa tu praktycznie żadnej roli, przy czym komisja może zaprosić przedstawiciela Rady do udziału w jej obradach w charakterze obserwatora. Podobnie wygląda konkursowe wyłanianie szefów działów agencji. W przypadku NCN dyrektora wybiera pięcioosobowa komisja konkursowa, w której większość mają przedstawiciele Rady. W procesie wyłaniania dyrektora NCN w roku 2015 doprowadziło to, moim zdaniem, do jawnego konfliktu interesów, gdy dyrektorem został członek Rady NCN. Nie jest to sytuacja pożądana, niezależnie od tego, że wybrana osoba była i jest kompetentna oraz oddana sprawom nauki.

Sposób wyboru dyrektora agencji grantowej jest istotny z punktu widzenia kierowania państwem. Pragmatyka przyjęta w ERC wynika z faktu uznania priorytetu rozliczalności wielkich publicznych środków, którymi operuje agencja, przez podatników, których reprezentuje w tym przypadku Komisja Europejska. Dlatego to ona decyduje o wyborze dyrektora agencji. W przypadku NCN założono, że agencja

jest rozliczana przede wszystkim przez środowisko samych naukowców, których reprezentuje Rada. Ale być może po prostu pomysłodawcy rozwiązania przyjętego dla NCN nie ufali decyzjom personalnym, na które wpływ będą mieli politycy. Co w przypadku Polski ma racjonalne podstawy.

Relacja rada – biuro

W przypadku ERC bardzo starannie przestrzega się rozdziału funkcji ustalania zasad działania, za co odpowiada Rada Naukowa, od samych działań, które są wyłączną domeną biura (ERC Executive Agency). I to mimo tego, że przewodniczący ERC, stojący równocześnie na czele Rady Naukowej, pracuje na stałe w siedzibie agencji i ma bezpośredni kontakt z jej pracownikami. Nie ingeruje jednak w organizację biura, jego procedury funkcjonowania czy politykę zatrudniania i wynagradzania pracowników, ponieważ jest to wyłączna domena dyrektora ERC bądź odpowiednio umocowanych urzędników Komisji Europejskiej. Trzeba jednak przyznać, że bieżąca współpraca członków Rady Naukowej ERC z biurem, przynajmniej w ciągu prawie pięciu lat moich obserwacji, była wzorowa.

Moje doświadczenia z czteroletniej pracy w NCN nie są najlepsze, jeżeli chodzi o współpracę z Radą, a właściwie z jej przewodniczącym. Jakkolwiek mieliśmy praktycznie identyczne poglądy na misję i cele agencji, współpracę utrudniały próby bieżącego zarządzania sprawami biura NCN przez przewodniczącego Rady. Powodowało to frustrację, a niekiedy i łzy niektórych pracowników, a także ich dezorientację, kto właściwie ma wydawać im polecenia. Podsycalo to też personalne konflikty między niektórymi osobami. Wydaje się, że nie był to problem systemowy, a raczej osobowościowy i mam nadzieję, że sprawy wyglądają teraz lepiej. Problemem była też komunikacja i transparentność przekazu. O ile w ERC przewodniczący bardzo dbał, aby – szczególnie w sprawach trudnych – dzielić się informacjami z Radą Naukową ERC, a także pracownikami agencji na równych zasadach i, poza posiedzeniami Rady, pisemnie, to przewodniczący Rady NCN, w czasie gdy byłem tam dyrektorem, preferował indywidualne rozmowy – osobiste bądź telefoniczne – z poszczególnymi osobami, co zapewne ułatwiało indywidualizowanie przekazu, jednak brak zapisów utrudniał niekiedy rozwiązywanie dłużej toczących się spraw.

Zarówno w ERC, jak i w NCN w plenarnych posiedzeniach rad uczestniczą dyrektorzy agencji i ich kluczowi pracownicy. Dobrym zwyczajem w obu agencjach są wspólne spotkania nieformalne członków rady i kluczowych pracowników agencji, w tym koordynatorów dyscyplin, w jednej z przerw w czasie posiedzeń rady, czy już po zakończeniu posiedzeń. Ułatwia to swobodną wymianę poglądów i osobiste poznanie się uczestniczących w spotkaniach osób.

Prof. Andrzej Jajszczyk, wiceprzewodniczący ERC, pierwszy dyrektor NCN

Patenty w pandemii

Jeśli ktoś myślał, że koronawirus ostudzi zapał polskich innowatorów, to po lekturze ostatniego raportu Urzędu Patentowego RP może być lekko zaskoczony. Wprawdzie w dół poszły wskaźniki dotyczące zarówno ogólnej liczby zgłoszeń, jak i uzyskanych praw wyłącznych, ale wzrosła liczba zgłoszonych wynalazków. Najbardziej widocznym znakiem czasów jest jednak odsetek zgłoszeń, które wpłynęły drogą elektroniczną. W ten sposób nadesłano 62,5% aplikacji, co oznacza wzrost aż o 20 punktów procentowych w ujęciu r/r.

W 2020 r. wpłynęło 35 641 zgłoszeń (rok wcześniej było to ponad 37 tys.), z czego 20 180 w trybie krajowym. Przyjęto także 618 wniosków na ochronę wynalazków, znaków towarowych i wzorów przemysłowych za granicą. Urząd zakończył łącznie 35 646 postępowań prowadzonych w ramach procedury zgłoszeniowej, w tym udzielił w trybie krajowym 10 785 praw wyłącznych na przedmioty własności przemysłowej.

Podmioty krajowe zgłosiły do ochrony w trybie krajowym i międzynarodowym 4968 wniosków. W stosunku do poprzedniego zestawienia wzrosła liczba zgłoszonych wynalazków (z 3999 do 4098). Dominowały aplikacje w dziedzinie inżynierii lądowej oraz technologii medycznych. Wśród podmiotów zgłaszających od czterech lat dominuje sektor gospodarki (choć z nieznacznym spadkiem: z 47,55% do 45,54%), w którym o innowacje dbają głównie małe i średnie przedsiębiorstwa zatrudniające do 250 osób (88,9% zgłoszeń). To głównie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą i spółki akcyjne.

Podmioty naukowe były autorami 1726 wniosków, co stanowi 39,35% ogólnej ich liczby. Prawie co trzeci (31,09%) pochodził ze szkoły wyższej. Uczelniom nie udało się wprawdzie poprawić rekordowego w ostatnich latach wyniku z 2018 roku (1472), ale i tak w 2020 wysłano o 6 zgłoszeń więcej niż rok wcześniej (1373). Znacząco wzrosła liczba aplikacji pochodzących z jednostek naukowych PAN. W poprzednim podsumowaniu było ich 66, a teraz 98. To kolejny rok z tendencją wzrostową. Odwrotnie niż w instytutach badawczych, gdzie dawno nie było tak źle. O wyniku sprzed czterech lat (331) można tylko pomarzyć. Jeszcze w 2019 r. instytuty zgłosiły 283 wynalazki, a w ubiegłym już tylko 255.

Odsetek zgłoszeń od podmiotów zagranicznych utrzymał się na poprzednim poziomie (ok. 3,3%). Dziesięć i więcej zgłoszeń dokonały podmioty z sześciu krajów: USA, Czech, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Chin i Rosji.

Polskim wynalazcom w 2020 roku przyznano w trybie krajowym 2260 patentów (-687 w stosunku do 2019) i 533 prawa ochronne na

wzory użytkowe (-70). Podobnie jak rok wcześniej podmioty naukowe (50,52%) przeważają nad firmami (42,18%), przy czym po raz pierwszy uczelnie i instytuty zgarnęły więcej niż połowę wszystkich przyznanych patentów i praw ochronnych. Najwięcej z tej puli stanowiły patenty uczelniane (38,3%), a następnie autorstwa pracowników instytutów badawczych (9,42%) i jednostek PAN (2,72%). Trzeba jednak zaznaczyć, że wszystkie kategorie podmiotów, łącznie z firmami i osobami fizycznymi, otrzymały mniej patentów niż rok wcześniej: szkoła wyższa o 230, instytuty badawcze o 15, jednostki PAN o 19.

Chociaż to firmy stanowią większość zgłaszających, to pod względem liczby otrzymanych patentów liderami pozostają uczelnie, głównie techniczne (w pierwszej dziesiątce tylko Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu z 57 patentami nie należy do tej kategorii). Znamienne, że aby stanąć na podium zestawienia za 2019 rok, trzeba było osiągnąć trzycifrowy wynik. Tym razem poprzeczka była zawieszona znacznie niżej. A i tak pozycję lidera utrzymał Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie (85 patentów), wyprzedzając Politechnikę Łódzką (73) i Akademię Górniczo-Hutniczą (70). W czołówce są także politechniki: Lubelska (68), Wrocławska (64), Śląska (59), Krakowska (51). Na 13 miejscu sklasyfikowano pierwszy w wykazie klasyczny uniwersytet – Śląski (27). Najwyżej spoza uczelni – na 16 miejscu – plasuje się Instytut Nafty i Gazu – Państwowy Instytut Badawczy (24).

W sumie w rankingu sklasyfikowano 15 uczelni technicznych, 9 uniwersytetów klasycznych, 5 przyrodniczych/rolniczych i 2 medyczne. Wśród ponad 40 podmiotów znalazło się także 6 instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicz: Instytut Ciężkiej Syntezy Organicznej „Błachownia” (19 patentów), Instytut Napędów i Maszyn Elektrycznych KOMEL (12), Instytut Tele- i Radiotechniczny (11), Instytut Nowych Syntezy Chemicznych (11), Instytut Metali Nieżelaznych (10) i Instytut Ceramiki i Materiałów Budowlanych (10).

Najwięcej patentów i praw ochronnych na wzory użytkowe dotyczyło, tak jak w poprzednim roku, inżynierii lądowej (285) i chemii wysokogatunkowych związków organicznych (204). Ponad 1/3 udzielonych praw wyłącznych przypadło na 3 regiony: Mazowsze (388), Śląsk (310) i Małopolskę (289).

Na koniec grudnia w Polsce pozostawały w mocy 352 252 prawa wyłączne na przedmioty własności przemysłowej, w tym m.in. 18 731 patentów na wynalazki, 3931 wzorów użytkowych i 83,8 tys. patentów europejskich.

Mariusz Karwowski

Z POTRZEBY BIZNESOWEJ

Mówi Edyta Demby-Siwek, prezes Urzędu Patentowego RP:

Przez długie lata podmioty naukowe dominowały pod względem liczby zgłoszeń nowych rozwiązań do ochrony patentowej. Tendencja zmieniła się kilka lat temu. Teraz to podmioty z sektora gospodarczego dokonują więcej zgłoszeń wynalazków niż instytucje naukowe. To mnie cieszy, bo wychodzę z założenia, że wynika to z potrzeby biznesowej: chcą chronić rozwiązania, które mają im przynieść konkretne korzyści. Natomiast zgłoszenia dokonywane przez uczelnie częściej kończą się uzyskaniem patentu. To



świadczy o tym, że dotyczą one rozwiązań naprawdę nowych, znaczących, posiadających poziom wynalazczy. Świadczy to także o lepszym przygotowaniu uczelni pod względem formalnym i prawnym, gdyż uczelnie z reguły zatrudniają rzeczników patentowych.

Z punktu widzenia Urzędu Patentowego RP ważne jest, ile mamy zgłoszeń i ile z nich kończy się udzieleniem ochrony, np. w postaci patentu. Z punktu widzenia gospodarki jest inaczej. Ważne jest nie to, kto dokonuje zgłoszenia, a nawet nie to, kto uzyskuje patent, ale to, ile i jakie patenty są komercjalizowane.

Warto dodać, że komercjalizacja nie zawsze musi oznaczać wdrożenie. Czasem zakup licencji lub kupno patentu może służyć np. blokowaniu konkurencji.

Podmioty krajowe wciąż mają wiele do zrobienia w zakresie ochrony swojej własności przemysłowej poza krajem. Natomiast bardzo dużo podmiotów zagranicznych jest zainteresowanych rynkiem polskim i waliduje patenty europejskie na rynek polski. Tych walidowanych patentów jest więcej niż krajowych. Do Urzędu zgłaszanych jest ok. 5 tys. wynalazków i wzorów użytkowych rocznie, natomiast walidowanych jest ok. 13 tys. patentów europejskich. To pokazuje, jak atrakcyjnym rynkiem jest Polska dla podmiotów zagranicznych. Na pewno jedną z barier w ochro-

nie własności przemysłowej przez polskie podmioty poza krajem są pieniądze. Zgłoszenie patentu europejskiego kosztuje ok. 5 tys. euro. Brak zgłoszeń może wskazywać też na małe zainteresowanie naszych podmiotów sprzedażą na rynkach zagranicznych – chronimy tam, gdzie sprzedajemy – wówczas możemy dokonać zgłoszenia w danym urzędzie krajowym bez konieczności korzystania ze ścieżki międzynarodowej lub europejskiej. Warto odnotować, że w roku 2020 odnotowaliśmy niewielki wzrost liczby zgłoszeń patentowych, podczas gdy tendencja europejska była zupełnie odwrotna.

Notował Piotr Kieraciński

Dwadzieścia lat Uniwersytetu Rzeszowskiego

Uniwersytet Rzeszowski powstał 1 września 2001 r. w wyniku konsolidacji Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie (istniała od 1963 roku), rzeszowskiej Filii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (powołanej w 1969 roku) oraz umiejscowionego w Rzeszowie Wydziału Ekonomii Akademii Rolniczej im. Hugona Kołłątaja w Krakowie (istniejącego od 1973 roku). W momencie powstania UR miał sześć wydziałów: Ekonomii, Filologiczny, Matematyczno-Przyrodniczy, Pedagogiczny, Prawa i Socjologiczno-Historyczny. W roku 2018 jego strukturę tworzyły 12 wydziałów, w tym Nauk Medycznych, Sztuki i Muzyki. Dzisiaj konstytuują ją cztery kolegia: Nauk Humanistycznych, Nauk Społecznych, Nauk Przyrodniczych i Nauk Medycznych, które skupiają 21 jednodyscyplinowych instytutów. Na czele każdego kolegium stoi prorektor. Za sprawy studenckie i kształcenia odpowiada kolejny prorektor, który nadzoruje pracę pionów dydaktycznych, czyli dziekanów i dziekanatów, we wszystkich kolegiach.

Kadra Uniwersytetu Rzeszowskiego liczyła w 2001 roku 1789 pracowników, w tym 1059 nauczycieli akademickich i 730 pracowników administracji i obsługi. Obecnie UR zatrudnia 2192 osoby, co oznacza wzrost zatrudnienia o 22,53 %. Najmniej wzrosło zatrudnienie w administracji i obsłudze, bo o 19,32%, i wynosi obecnie 871 pracowników. Uczelnia zatrudnia też 1321 nauczycieli akademickich, co oznacza wzrost o 24,74% w stosunku do roku 2001. Najbardziej – o 118,62% – wzrosła liczba samodzielnych pracowników nauki, których jest obecnie 411. UR zatrudnia też 651 doktorów (+55,37%) i 259 magistrów (-57,3%).

Pracownicy UR uzyskali w latach 2011-2020 92 granty NCNM o wartości prawie 27 mln zł. W latach 2002 – 2021 otrzymali 146 grantów uczelnianych i 21 grantów zewnętrznych w programach ministra nauki, NPRH, NID i in. Otrzymali też 34 granty Podkarpackiego Centrum Innowacji (ze środków unijnych). W ostatnich latach publikują rocznie od 2,5 do 3,5 tys. prac naukowych.

W roku utworzenia uniwersytetu kształciło się tam na 20 kierunkach ponad 20 tys. studentów. Dwa lata później ich liczba osiągnęła 22,5 tys. Obecnie na 56 kierunkach kształci się 16,2 tys. osób, w tym 12641 na studiach stacjonarnych (z tego 201 obcokrajowców) i 3535 w trybie niestacjonarnym (7 obcokrajowców). W ciągu dwudziestu lat dyplomy uczelni otrzymało prawie 100 tys. absolwentów.

UR ma uprawnienia do nadawania stopni naukowych doktora w 6 dziedzinach i 18 dyscyplinach: nauk biologicznych i fizycznych; nauk medycznych i o zdrowiu; ekonomii i finansów, nauk o polityce i admi-

nistracji, prawnych, socjologicznych i pedagogiki; archeologii, filozofii, historii, językoznawstwie i literaturoznawstwie; sztuk muzycznych oraz plastycznych i konserwacji dzieł sztuki, a także w zakresie rolnictwa i ogrodnictwa oraz technologii żywności i żywienia. Może habilitować w 3 dziedzinach i 6 dyscyplinach, czyli w zakresie nauk biologicznych, archeologii, historii, językoznawstwa, literaturoznawstwa oraz rolnictwa i ogrodnictwa. Obecnie na UR doktorat przygotowują 142 osoby, w tym 89 na studiach doktoranckich i 53 w Szkole Doktorskiej UR. Od roku 2001 do 2017 uniwersytet nadał stopień doktora habilitowanego 42 osobom i wypromował 497 doktorów.

Zbiory Biblioteki UR liczą ponad 770 tys. woluminów książek, prawie 117 tys. woluminów czasopism oraz ok. 24 tys. jednostek inwentarowych zbiorów specjalnych. Biblioteka oferuje dostęp do ok. 21 tys. tytułów zagranicznych czasopism w wersji elektronicznej oraz do ponad 250 tys. książek elektronicznych.

UR dysponuje 50 budynkami w 7 lokalizacjach. Ich łączna powierzchnia wynosi 165,7 tys. m². W wieloletnim programie inwestycyjnym uniwersytet ma m.in. zaplanowaną budowę Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego wraz z Centrum Diagnostyki Medycznej i Medycyny Spersonalizowanej z częścią dydaktyczną. Wszystkie zaplanowane inwestycje mają kosztować niemal 1,5 mld. zł.

pik



Fot. UR

Współpraca PK z CERNem – to już 30 lat!

Jednym z najbardziej prestiżowych ośrodków naukowych w Europie i na świecie jest Europejska Organizacja Badań Jądrowych (CERN) z siedzibą w Genewie, założona w 1954 roku. Należą do niej 23 państwa członkowskie, wśród nich Polska. Jej celem statutowym jest prowadzenie badań podstawowych w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych. Prace te wymagają budowy niezwykle skomplikowanych i wymagających instrumentów naukowych, jakimi są akceleratory cząstek elementarnych. Nowoczesne urządzenia tego typu wykorzystują zjawisko nadprzewodnictwa i pracują w temperaturach bliskich absolutnego zera. Takie warunki operacyjne wymagają zaangażowania do ich budowy najbardziej nowoczesnych materiałów oraz technologii, znanych do tej pory jedynie z zastosowań w podboju kosmosu. Najnowszy instrument naukowy zbudowany w CERN-ie, Wielki Zderzacz Hadronów (Large Hadron Collider, LHC) umożliwił potwierdzenie istnienia oraz sprecyzowanie masy bozonu Higgsa.

Politechnika Krakowska ma znaczący udział w tym prestiżowym projekcie, poczynając od roku 1991, kiedy Polska przystąpiła oficjalnie do CERN-u. Naukowcy z PK byli obecni w wielu pracach związanych z budową tego niezwykle złożonego instrumentu fizyki wysokich energii. Pierwsze kontakty obu ośrodków miały miejsce już w październiku 1990 r., a w roku 1997 została podpisana pierwsza umowa o współpracy pomiędzy Politechniką Krakowską i CERN-em. Warto zauważyć, że pracownicy i absolwenci uczelni pełnili w CERN-ie funkcje kierowników jednostek organizacyjnych (sekcji oraz grup), a także funkcję doradcy dyrektora CERN ds. państw nie będących członkami CERN-u (Dr T. Kurtyka).

Główne prace badaczy z PK we współpracy z CERN-em obejmowały projektowanie akceleratorów cząstek elementarnych, systemów transportu wiązki, magnesów nadprzewodzących, układów sterowania magnesami korekcyjnymi, systemów kompensacji termomechanicznej, systemów wysokiej próżni, a także opracowanie nadprzewodników i ich połączeń, układów kriogenicznych, nadprzewodzących linii zasilających magnesy, kriostatów, systemów chłodzenia detektorów cząstek, struktur nośnych detektorów, soczewek magnetycznych etc. Zaangażowani w nie byli specjaliści z zakresu: mechaniki i fizyki ciała stałego, mechaniki materiałów i konstrukcji, inżynierii materiałowej, fizyki pól magnetycznych, termodynamiki, kriogeniki, teorii stateczności i optymalizacji konstrukcji, a także fizyki i technologii wysokiej próżni. Przy okazji prac koncepcyjnych nad Wielkim Zderzaczem Hadronów powstało wiele obszarów interdyscypli-

narych, w których różne specjalności spotykają się we wspólnym programie badań. Typowym przykładem są np. zjawiska zachodzące w materiałach stosowanych w ekstremalnie niskich temperaturach.

Przy tworzeniu koncepcji LHC szczególnie ważne były prace nad zjawiskiem przejścia fazowego oraz strukturą nadprzewodnikowych magnesów dipolowych, wykonywane w latach 1992-1996. Duża grupa zadań projektowych realizowanych w latach 1994-1998 przy współudziale pracowników PK dotyczyła urządzeń znajdujących się w naczyniu próżniowym akceleratora, takich jak aktywnie chłodzone ekrany termiczne czy specjalna linia nadprzewodząca, służąca do zasilania i sterowania magnesami korekcyjnymi. Inne prace dotyczyły unikalnego systemu kompensacji termomechanicznej akceleratora pracującego w ekstremalnie niskich temperaturach (temperaturze nadciekłego helu). System ten, złożony z około 20 tys. kompensatorów, został opracowany w latach 1995-2000, a następnie wdrożony w prototypie akceleratora w latach 2000-2003. Warto nadmienić, iż po raz pierwszy w historii projektowania i budowy akceleratorów cząstek elementarnych, urządzenia kompensacyjne pracują masowo w zakresie niesprężystym.

Bardzo ważny i doceniany wkład naukowców z Politechniki Krakowskiej polegał na zaprojektowaniu i skonstruowaniu urządzeń znajdujących się w przestrzeniach pomiędzy magnesami głównymi akceleratora LHC. Z uwagi na postulat minimalizacji całkowitej długości tzw. stref niemagnetycznych akceleratora, wykonano ich optymalizację, co pozwoliło zredukować strefy do rekordowo niskiej frakcji całkowitej długości magnetycznej zderzacza, wynoszącej około 3,7%.

Kolejnym osiągnięciem naukowców z PK było wprowadzenie do projektowania akceleratorów cząstek elementarnych analizy opartej na teorii niezawodności. Koncepcja rachunku niezawodnościowego nie była do tej pory stosowana na szerszą skalę w tej dziedzinie, za wyjątkiem nielicznych prac opublikowanych w USA. Współczesne akceleratory są niezwykle skomplikowanymi instrumentami, w których wiele składowych (np. wiązki o wysokiej energii, ultrawysoka próżnia, kriogenika, nadprzewodnictwo etc.) jest silnie ze sobą powiązanych. Ponadto są to instrumenty złożone z milionów podzespołów i elementów o różnym stopniu skomplikowania i różnym poziomie niezawodności. Analiza niezawodności jest więc kluczowym elementem służącym zapewnieniu właściwego poziomu dostępności akceleratora dla fizyki. Niezawodność podzespołów została zweryfikowana w czasie programu eksperymentalnego, przeprowadzonego z wykorzystaniem prototypu akceleratora, zbudowanego także przy współudziale naukowców z Politechniki Krakowskiej.

W ciągu wieloletniej współpracy pomiędzy CERN-em i Politechniką Krakowską przeprowadzono szereg prac dotyczących zarówno samego akceleratora, jak i detektorów cząstek (Atlas, Alice, LHC-b). Prace poświęcone strefom eksperymentalnym LHC dotyczyły m.in. analizy stateczności doświadczalnych komór próżniowych, optymalnego projektowania wybranych struktur nośnych detektorów cząstek, projektowania kolimatorów wiązki i soczewek magnetycznych, analizy wymuszeń dynamicznych i ich skutków. Przeprowadzono optymalizację konstrukcji doświadczalnych komór próżniowych w strefach interakcji wiązek protonów. Zaproponowano i rozwinięto metody projektowania kolimatorów wiązki oraz tzw. soczewek magnetycznych opartych na skomplikowanych technologiach i wymagających dużej precyzji wykonawczej. Zastosowanie wyników badań naukowych pozwoliło zaprojektować i zbudować jeden z największych współczesnych instrumentów fizyki, o którym można śmiało powiedzieć, iż wytycza aktualne ścieżki rozwoju techniki w Europie i na świecie.

Warto także odnotować wspólny z CERN-em udział badaczy z PK w takich międzynarodowych projektach, jak: FAIR/ GSI, Facility for Anti-



Podpisanie umowy o współpracy między CERN-em i IFJ PAN (2003)



Fot. Archiwum CERN

Wielki Zderzacz Hadronów, LHC, CERN

proton and Ion Research, projekt kompleksu akceleratorów cząstek elementarnych SIS100, SIS300 (2006-2016), EUROn, High Intensity Neutrino Oscillations Facility in Europe, projekt finansowany w ramach programu ramowego EU FP7 (2008-2012) czy TIARA, Test Infrastructure and Accelerator Research Area, EU FP7 (2011-2013, we współpracy z IFJ PAN).

W roku 2007 powstało Centrum Projektowania Akceleratorów Cząstek Elementarnych Politechniki Krakowskiej. W roku 2011 podpisano drugą umowę o współpracy z CERN, a kolejną – na czas nieokreślony – w roku 2015. W roku 2013 odbyła się w CERN-ie konferencja *Advanced Mechanics in Accelerator Technology* (AMAT), zorganizowana przez Politechnikę Krakowską z udziałem Komitetu Mechaniki PAN. Obrady poświęcono wymianie doświadczeń i ustaleniu tematów współpracy pomiędzy CERN-em i polskimi instytucjami naukowymi. W roku 2014 Politechnika Krakowska przyczyniła się do podpisania umowy o współpracy pomiędzy CERN-em i Polską Akademią Nauk.

Osiągnięcia naukowe wynikające ze współpracy z CERN-em obejmują, m.in. dwie monografie naukowe wydane przez oficynę wydawniczą CERN oraz wydawnictwo Springer, jedną monografię habilitacyjną, sześć prac doktorskich, około dwudziestu prac magisterskich, ponad 100 raportów CERN i artykułów w recenzowanych czasopismach naukowych. We współpracę z CERN-em zaangażowało się ponad 20 pracowników PK oraz około 100 studentów i doktorantów delegowanych do CERN w ramach programów: internship, summer student, technical student, PhD student, a także fellow. Trzy osoby z Politechniki Krakowskiej były długoterminowo zatrudnione w CERN-ie na etatach. W wyniku wieloletniej współpracy z CERN-em powstało na Politechnice Krakowskiej Laboratorium Ekstremalnie Niskich Temperatur, którego celem jest prowadzenie badań podstawowych w zakresie zachowania się materiałów w ekstremalnie niskich temperaturach oraz wspieranie projektów genewskiego ośrodka.

Wykorzystując doświadczenie w zakresie projektowania i optymalizacji akceleratorów cząstek elementarnych, Politechnika Krakowska kieruje się obecnie w stronę kolejnego flagowego projektu rozwijanego przez CERN, tj. Przyszłego Zderzacza Kołowego (FCC, Future Circular Collider), którego rozmach wykracza daleko poza projekt LHC. Warto podkreślić, że partnerem PK od chwili nawiązania współpracy z CERN-em jest Instytut Fizyki Jądrowej im. H. Niewodniczańskiego PAN, dzięki któremu uczelnia wkroczyła do świata akceleratorów cząstek elementarnych i rozwinęła w tym zakresie działalność badawczą.

Blazej Skoczeń, Politechnika Krakowska



Prof. Agnieszka Zalewska, przewodnicząca Rady CERN-u (2013)

Fot. Arch. prywatne



Prof. Rolf-Dieter Heuer, Dyrektor Generalny CERN-u (2013)

Fot. Arch. prywatne

Sytuacja ekonomiczna uniwersytetów w roku 2020

W czerwcu Uniwersytecka Komisja Finansowa Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich wydała doroczny raport na temat sytuacji ekonomicznej dwudziestu polskich uniwersytetów klasycznych. Jest on jedynym źródłem wielu interesujących informacji, stąd pomysł, żeby jak co roku zainteresować nimi szersze grono czytelników „Forum Akademickiego”.

Na wstępie zastrzeżenie. Od roku 2019 Ustawa 2.0 wcześniej oddzielne dotacje na finansowanie dydaktyki i badań zastąpiła jedną subwencją. Ta pozytywna zmiana spowodowała, że uczelnie same dzielą otrzymaną subwencję na działalność dydaktyczną i badawczą. Podział ten dokonywany jest bez ujednoliconej metodyki, dlatego dane dotyczące oddzielnie przychodów z działalności dydaktycznej i badawczej na pewno są porównywalne w okresie do 2018 r. i w latach 2019–2020, natomiast ich porównywalność między tymi okresami może budzić wątpliwości. W związku z tym zrezygnowałem z analiz, w których musiałbym wykorzystywać dotknięte wątpliwościami dane.

Zwraca uwagę pierwszy od roku 2017 spadek przychodów w 2020 r. w stosunku do roku poprzedniego. Było to jednak spowodowane przekazaniem uczelniom w końcówce grudnia 2018 r. dotacji na utrzymanie potencjału badawczego i młodych naukowców (tzw. dotacji statutowej). Środki te wraz z niewykorzystaną częścią dotacji statutowej z 2018 r. z dniem 1 stycznia 2019 r. stały się subwencją stanowiąc przychód tego roku. Gdyby nie uwzględnić ww. środków, przychody w 2020 r. byłyby wyższe niż w roku 2019. W przychodach z działalności dydaktycznej niezmiennie dominującą pozycję stanowi subwencja. W 2019 r. stanowiła ona 90,1%, a w roku 2020 89,5% tych przychodów. Reszta pochodziła z opłat za usługi edukacyjne. Również największa część przychodów z działalności badawczej pochodzi z subwencji. W 2019 r. udział ten wynosił 58,6%, a rok później 63,2%. Kolejne pozycje w strukturze przychodów z badań zajmują: środki z NCN i NCBR – odpowiednio: 22,7% i 19,2% oraz środki na finansowanie współpracy naukowej z zagranicą – odpowiednio: 11,0% i 11,3%.

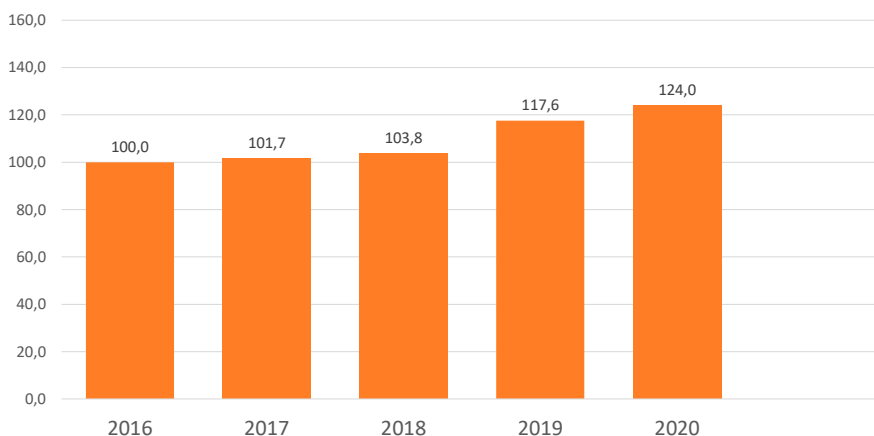
Wraz z przychodami rosną również koszty działalności. Ten długookresowy trend został przerwany w 2020 r., kiedy koszty w stosunku do roku poprzedniego spadły o niecały procent. Nasuwa-

jącym się wytłumaczeniem tej sytuacji jest prowadzenie przez uczelnie w roku 2020 znacznej części swej aktywności w formie zdalnej. Potwierdzają to zmiany w strukturze kosztów. W roku 2020 koszty usług obcych zmalały o 9,8%, koszty materiałów i energii o 2,2%, natomiast koszty podróży służbowych zmniejszyły się aż o 80,8%. Niezmiennie największą pozycję stanowiły koszty wynagrodzeń, których udział wraz z pochodnymi w 2019 r. wynosił 71,6%, a roku 2020 – 74,8%.

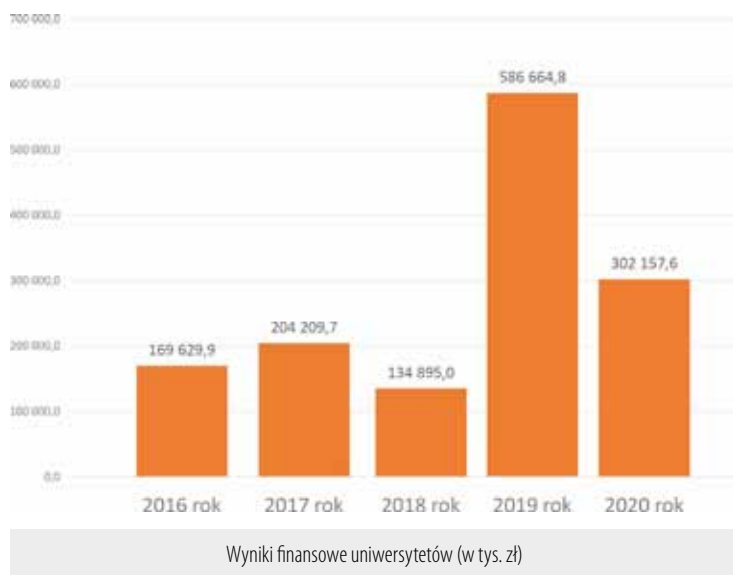
W 2020 r. po raz pierwszy od lat uniwersytety zanotowały co prawda niewielki (o 0,3%), ale jednak wzrost liczby studentów. Wzrost ten dotyczy zarówno liczby studentów stacjonarnych, jak i niestacjonarnych. Bieżący rok pokaże, na ile jest to trwały trend. Lata, w których liczba studentów z roku na rok radykalnie malała, uniwersytety mają za sobą. Wynika to głównie z faktu, że o ile do 2016 r. liczba maturzystów radykalnie malała (od 2009 r. o 39,4%), to w kolejnych latach spadek ten najpierw został wyraźnie spowolniony, a następnie zamieniony na wzrost. W rezultacie w 2021 r. było o 5,8% więcej maturzystów niż w 2016. Nie znalazła potwierdzenia teza, jakoby przybywało studentów dużym uniwersytetom z ugruntowaną pozycją, a ubywało mniejszym, powstałym głównie w ostatnim 25-leciu. Okazuje się, że jeśli do tej drugiej grupy umownie zaliczyć 11 uniwersytetów, to tylko w 4 z nich w ostatnim roku liczba studentów zmalała, a w pozostałych 7 wzrosła.

Wprowadzenie szkół doktorskich spowodowało spadek liczby doktorantów. W 2018 r., w którym funkcjonowały wyłącznie studia doktoranckie, a nie było jeszcze szkół doktorskich, w dwudziestu uniwersytetach było 17 005 doktorantów. W roku 2019, kiedy równolegle istniały już obie formy kształcenia, doktorantów było 15 559, a rok później już tylko 13 927. Zatem spadek liczby uczestników studiów doktoranckich, które kończą swoje istnienie, nie jest kompensowany wzrostem liczby doktorantów szkół doktorskich. Nadal maleje liczba słuchaczy studiów podyplomowych. W 2009 r. było ich 47,2 tys., w 2015 r. 24,5 tys., a w 2020 już tylko 13,5 tys. Spadek liczby uczestników studiów podyplomowych jest zjawiskiem powszechnym. Wśród 20 uniwersytetów w ostatnim roku zaobserwowano je aż w 16 z nich.

Ciekawym przykładem wpływu regulacji prawnych na rzeczywistość są skutki wprowadzenia wskaźnika SSR do algorytmu podziału dotacji podstawowej, a następnie subwencji. Wskaźnik ten wyrażony jest stosunkiem liczby studentów studiów stacjonarnych i niestacjonarnych oraz doktorantów do liczby nauczycieli akademickich. Jeżeli relacja ta jest większa niż 13, negatywnie wpływa to na wysokość dotacji/subwencji. W 2016 r., który był ostatnim rokiem przed wprowadzeniem wskaźnika SSR do algorytmu, ponad połowa uniwersytetów wyraźnie przekraczała jego wartość referencyjną. Dwa z nich miały SSR wynoszący ok. 16,5, a jeden nawet ok. 20. Przez cztery lata obowiązywania tego wskaźnika doszło do tego, że tylko w trzech uniwersytetach SSR nieznacznie przekracza 13. Jest to, po pierwsze, skutek zmniejszania się do roku 2019 liczby studentów, a w ostatnich dwóch latach również liczby doktorantów. Po drugie – przyczynił się do tego wzrost liczby nauczycieli akademickich. W latach szczytowej liczby studentów uniwer-



Średnie roczne wynagrodzenie osobowe w latach 2016–2020 (%)



sytety zatrudniały 30-31 tys. nauczycieli. Postępujący spadek liczby studentów spowodował, że liczba ta zaczęła maleć. W 2015 r. było ich 30,4 tys., a rok później o tysiąc mniej. Od 2016 r. mimo dalszego spadku liczby studentów liczba ta przestała maleć, a od 2017 r. zaczęła rosnąć, osiągając w roku 2019 poziom 31,7 tys., a w 2020 r. 31,1 tys.

Jeszcze szybciej w ostatnich latach rośnie liczba pracowników niebędących nauczycielami akademickimi. W 2016 r. było ich 22,8 tys. Od tego czasu następuje systematyczny wzrost tej liczby do poziomu 25,7 tys. w roku 2020. Zatem w ciągu ostatnich 4 lat w uniwersytetach nastąpił trzynastoprocentowy wzrost liczby pracowników administracji i obsługi. Przy ocenie tego faktu należy jednak zachować ostrożność, bo może to, przynajmniej częściowo, być skutkiem zmniejszonego korzystania z outsourcingu. Faktem jednak jest, że od 2017 r. spadkowi liczby studentów towarzyszy wzrost liczby pracowników ogółem. W 2016 r. 20 uniwersytetów zatrudniało 52,2 tys. osób, a cztery lata później już 56,8 tys., czyli o 9% więcej. Wyjaśnienie tego interesującego zjawiska wymagałoby pogłębionych badań. Hipoteza, że jednym z czynników sprawczych było tu wprowadzenie wskaźnika SSR do algorytmu podziału subwencji, wydaje się bardzo prawdopodobna.

W latach 2015-2018 następował bardzo wolny, bo wynoszący rocznie 2-4%, wzrost wynagrodzeń. Rok 2019 przyniósł wzrost w stosunku do poprzedniego roku o 13%, a kolejny rok o dalsze 5%. Utrzymuje się znaczne zróżnicowanie wynagrodzeń osobowych między uniwersytetami. Jeśli przyjąć średnie roczne wynagrodzenie uniwersytetu z najniższą średnią za 100, to najwyższa średnia innego uniwersytetu wynosi 129. Zróżnicowanie to ma źródła w przeszłości. Potęguje je różna dynamika zmian wynagrodzeń w poszczególnych uczelniach w ostatnich latach. W 2020 r. w stosunku do roku 2016 wynagrodzenia w uniwersytetach wzrosły od 10 do 37%, przy średniej wynoszącej 24%. Dynamika wzrostu wynagrodzeń w tym okresie w uniwersytetach badawczych wynosiła 21,8% i była niższa niż w pozostałych uniwersytetach, gdzie osiągnęła poziom 25,8%. Jednak wcześniejsze zróżnicowanie wynagrodzeń sprawiło, że w 2021 r. średnie roczne wynagrodzenia w uniwersytetach badawczych nadal były o 1834 zł wyższe niż we wszystkich uniwersytetach razem wziętych. Zatem w ostatnich latach obserwujemy płacowe „doganianie” uniwersytetów badawczych przez pozostałe uniwersytety.

Wpływy z opłat za usługi edukacyjne wyniosły w 2005 r. 930,8 mln zł. Potem z roku na rok regularnie malały. W roku 2010 spadły do 883,4 mln zł, w 2015 r. do 545,0 mln zł i do 494,0 mln zł w roku 2017. Pisząc o spadku wpływów, użyłem czasu przeszłego, bo w 2018 r. został on zatrzymany. W 2019 r. przychody z odpłatnych form

kształcenia wzrosły do 546,4 mln zł, a rok później znów nieco spadły do poziomu 533,1 mln zł. Wynika to przede wszystkim z uwzględnienia w finansach trzech uniwersytetów ich części medycznych oraz powstania wydziałów medycznych w kolejnych pięciu uniwersytetach. Zatrzymanie spadku opłat nie dotyczy wpływów ze studiów niestacjonarnych, które nadal maleją. Mimo to nadal największą część tych opłat pochodzi od uczestników studiów niestacjonarnych. Udział ten jednak spada. W 2015 r. wynosił 70%, a w roku 2020 już tylko 57%. Przy czym brani są tu pod uwagę studenci i doktoranci studiujący w formie niestacjonarnej oraz słuchacze studiów podyplomowych. Spadek tych przychodów wynika z malejącej liczby studiujących niestacjonarnie. W latach 2015-2020 obniżyła się ona o 26,8%. Skutków zmniejszenia liczby studentów nie był w stanie skompensować wzrost średniej opłaty jednego studiującego, który w tym samym pięcioleciu wyniósł 10,4%.

Spore zróżnicowanie wykazują nakłady inwestycyjne. Różnice dotyczą zarówno ich poziomu w kolejnych latach, jak również porównań między uczelniami. W latach 2015-2020 nakłady te wahały się od 384,7 mln zł do 1 329,2 mln zł przy średnim rocznym poziomie 919,7 mln zł. Oznacza to spadek inwestycji w stosunku do lat 2010-2014, kiedy średnie roczne nakłady inwestycyjne wynosiły 1 367,3 mln zł. Warto zauważyć, że trzy uniwersytety badawcze zagospodarowały w 2019 r. 49%, a w roku 2020 - 43% wszystkich środków inwestycyjnych.

Niewątpliwie najbardziej syntetyczną miarą bieżącej sytuacji finansowej jest wynik finansowy. Najtrudniejszy pod tym względem był rok 2012, kiedy 19 uniwersytetów razem wziętych wykazało stratę wynoszącą 33,2 mln zł, a aż 11 zanotowało ujemny wynik finansowy. Od tego czasu sytuacja finansowa uniwersytetów poprawiała się. W latach 2015-2018 ich sumaryczny wynik finansowy wahał się od 134,9 mln zł do 199,7 mln zł. Rekordowy był 2019 r., kiedy wynik ten wyniósł 586,7 mln zł, a żaden uniwersytet nie zanotował straty. W 2020 r. uniwersytety wygospodarowały 302,2 mln zł zysku, a tylko dwa zamknęły rok ze stratą. Wynik finansowy, jak prawie każdy miernik syntetyczny, by mógł być prawidłowo wykorzystany do ocen, wymaga pogłębionej analizy. W tym przypadku rzeczywisty stan rzeczy może zamazywać uwzględnianie przy ustalaniu wyniku pozostałych przychodów operacyjnych, a wśród nich zysku ze sprzedaży majątku. Ponadto wpływ na wynik ma również działalność finansowa. Zatem jeśli pominiemy te elementy rachunku i ograniczymy się do przychodów i kosztów na podstawowej działalności operacyjnej, to wnioskowanie będzie już nieco mniej optymistyczne. Otóż uniwersytety razem wzięte do 2018 r. osiągały stratę na podstawowej działalności operacyjnej. Dopiero lata 2019 i 2020 przyniosły w tej kategorii dodatni wynik, przy czym w pierwszym z tych lat stanowił on 54,0%, a w drugim tylko 28,6% całkowitego wyniku finansowego. W 2019 r. pięć, a w roku 2020 sześć uniwersytetów uzyskało ujemne wyniki na podstawowej działalności operacyjnej.

Sytuacja finansowa uniwersytetów jest zróżnicowana. Nie ma jednak wśród nich takiego, który w sposób ciągły wykazywałby straty. Wydaje się, że najważniejszym słowem charakteryzującym sytuację uniwersytetów będzie określenie: stabilna.

Dr hab. Mirosław Gornowicz, prof. UWM
Uniwersytecka Komisja Finansowa KRUP
UWM w Olsztynie

Najwyższa pora

Reforma systemu pomocy materialnej dla studentów

System pomocy materialnej dla studentów nie podlegał większym zmianom od 30 lat. Od dawna słychać narzekania na „kilometrowe” kolejki przed działami spraw bytowych, stypendia wypłacane z kilkumiesięcznym opóźnieniem, niskie stawki czy wreszcie wyłudzenie świadczeń przez studentów o wysokim statusie materialnym. Nie mamy jednak rzetelnej wiedzy na temat funkcjonowania tego systemu. Jak dotąd bowiem nikt nie przeprowadził pogłębionych badań wśród studentów i kandydatów na studia, żeby ich spytać, jaka jest skala problemów i wyzwani w zakresie pomocy materialnej. Co więcej, system jest tak zdecentralizowany, że nawet ministerstwo właściwe dla szkolnictwa wyższego w gruncie rzeczy nie jest obecnie w stanie powiedzieć, co działa i jak działa (albo nie działa). Mamy co prawda wiedzę o liczbie beneficjentów i przeciętnej wysokości świadczeń, ale informacje te w praktyce więcej zakrywają, niż ujawniają.

Jednocześnie w oficjalnej narracji problemów jakby nie widać. W opinii osób zarządzających stypendiami na uczelniach system funkcjonuje poprawnie i wymaga jedynie drobnych, kosmetycznych zmian. Opinie takie wyrażają zarówno pracownicy administracyjni uczelni, jak i samorządy studenckie. Wreszcie zwolennikami tezy, że system działa sprawnie i nie wymaga zmian, są osoby zajmujące się świadczeniem usług szkoleniowych dla pracowników działów spraw bytowych czy reprezentowaniem interesów uczelni i studentów w procesach przed sądami administracyjnymi. Choć to ostatnie środowisko nie jest liczne, to jednak bardzo głośne medialnie. W efekcie debata publiczna na ten temat jest de facto zdominowana przez tę wąską grupę interesu, korzystającą z niejednoznaczności przepisów i zainteresowaną utrzymaniem status quo.

Mając na uwadze ten rozdział, jak i społeczne znaczenie systemu stypendialnego, wspólnie z zespołem badawczym, złożonym z pracowników Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, kierowanym przez prof. Marka Kwieka (UAM), podjęliśmy się przeprowadzenia kompleksowej diagnozy funkcjonowania systemu pomocy materialnej dla studentów, czego efektem ma być przygotowanie projektu reformy. Środki niezbędne do realizacji tego zadania uzyskaliśmy w wyniku konkursu w programie GOSPOSTRATEG Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Diagnoza

Zacznijmy od kilku kluczowych faktów z diagnozy. Po pierwsze, jako państwo wydajemy co prawda stosunkowo dużo pieniędzy na bezpośrednią pomoc materialną dla studentów (ok. 1,5 mld zł), ale środki te są podzielone pomiędzy stypendia socjalne i stypendia za wyniki w nauce. W efekcie nie przeznaczamy wystarczających kwot na pomoc najbardziej potrzebującym studentom, a system nie spełnia swej podstawowej funkcji. Oto kilka liczb, które obrazują skalę problemu.

Co czwarty (!) student raportujący dochody poniżej maksymalnego progu, któremu powinno przysługiwać stypendium socjalne, nie otrzymuje żadnego wsparcia. W tym kontekście informacja o tym, że wysokość progu od kilku lat pozostaje na niezmienionym poziomie, nie ma już aż tak wielkiego znaczenia. Idąc dalej, co trzeci student określa swoją sytuację materialną jako słabą lub bardzo słabą.

Konsekwencje takiego stanu rzeczy są łatwe do przewidzenia: aż 56% studentów deklaruje, że bez pracy zawodowej nie byłoby ich stać na utrzymanie się podczas studiów. Co więcej, polski student przeznaczając na pracę zawodową średnio 18 godzin w tygodniu i jest to jeden z najwyższych wskaźników w całej UE. Niestety, przeważnie nie jest to praca służąca rozwijaniu kompetencji zawodowych związanych z kierunkiem studiów, co negatywnie przekłada się na efektywność procesu kształcenia. Wystarczy dodać, że na naukę przeciętny polski student przeznaczając tylko 14 godzin w tygodniu.

Problem z dostępnością stypendiów nie dotyczy jednak wyłącznie obecnych studentów, ale także kandydatów. Niemal co dziesiąty ubiegłoroczny maturzysta zrezygnował z podjęcia studiów ze względu na ograniczenia finansowe, co pewnie zaskoczy część czytelników. Nie można jednak zapominać o negatywnym wpływie pandemii na sytuację materialną części polskich rodzin. Co trzeci maturzysta deklaruje obawy co do możliwości utrzymania się na studiach, a aż 70% jest przekonanych, że będzie musiało podjąć pracę zarobkową. Jednocześnie prawie 20% abiturientów nie słyszało nigdy o systemie stypendialnym; niestety wiedza o jego funkcjonowaniu jest relatywnie najsłabsza wśród osób defaworyzowanych, czyli... potencjalnych beneficjentów.

W świetle powyższych faktów trudno zrozumieć oczekiwania części środowiska, aby utrzymać stypendia za wyniki w nauce w obecnej skali (w 2019 roku ponad 600 mln zł rocznie). Warto dodać, że rozwiązanie takie stosowane jest zaledwie w kilku postkomunistycznych krajach UE, zwłaszcza tam, gdzie oficjalne przedstawicielstwa środowiska studenckiego reprezentują głównie osoby o wyższym statusie społeczno-ekonomicznym. Widać to zresztą bardzo wyraźnie także w przypadku dyskusji o reformie systemu pomocy materialnej dla studentów w Polsce.

Innym elementem diagnozy była ocena operacyjnego wymiaru funkcjonowania systemu pomocy materialnej. W tym obszarze napotkaliśmy wraz z zespołem badawczym na ogromne problemy, bo ile uczelni, tyle systemów. Mimo istnienia centralnych reguł istnieje tyle sposobów ich interpretacji, a jednocześnie metod raportowania, że trudno się dziwić bezradności ministerstwa przy próbach jakiegokolwiek ewaluacji tego obszaru. Gruntowna analiza tych różnic pozwoliła nam jednak obalić szeroko rozpowszechniony mit mówiący, że uczelnie są w stanie elastycznie reagować na potrzeby studenta. Praktyka

Kategoria	Obecnie (dane za 2019/2020)	2023/2024 (po ew. wejściu reformy w życie)	2030/2031
Budżet na stypendia socjalne	ok. 765 mln PLN	ok. 1 300 mln PLN	ok. 1 900 mln PLN
Liczba beneficjentów	101811	ok. 112 000	ok. 124 000
Średnie stypendium socjalne (rocznie)	7 513,55 PLN	ok. 11 600 PLN	ok. 15 300 PLN
Maksymalny próg dochodowy	1 051 PLN	ok. 1424 PLN*	ok. 1873 PLN*
Budżet – stypendia za wyniki w nauce	ok. 600 mln PLN	ok. 600 mln PLN**	ok. 250 mln PLN

* - szacowana wysokość minimum socjalnego

** - potem stopniowo maleje do 2030 roku do wysokości nie więcej niż 15% wartości budżetu na stypendia socjalne

dowodzi czegoś zupełnie innego: wysokość świadczeń nie jest uzależniona ani od kosztów utrzymania w danym ośrodku akademickim, ani od indywidualnej sytuacji materialnej studenta. O wiele częściej jest ona bowiem wypadkową gry interesów wewnątrz uczelni oraz... metodą zachęcania kandydatów do wyboru danej uczelni. Jakkolwiek można zrozumieć taki mechanizm, choć budzi on uzasadnione wątpliwości natury etycznej, to nie da się obronić tezy o systemowo „zindywidualizowanym” podejściu do studenta. Warto dodać, że badania potwierdziły też problem opóźnień. Oczywiście są uczelnie, które wypłacają stypendia po kilku tygodniach, ale niestety przeciętnie student otrzymuje stypendium przed Bożym Narodzeniem, a w niektórych przypadkach po Nowym Roku.

Co zmienić?

Na podstawie tych i innych wniosków z diagnozy sformułowano podstawowe cele i kierunki reformy. Po pierwsze, niezbędne jest podwyższenie środków na fundusz pomocy materialnej, a mając na uwadze ograniczone możliwości budżetu, także ich koncentracja na stypendiach socjalnych. Po drugie, należy przyspieszyć możliwość składania wniosków – skoro proces ich weryfikacji z różnych powodów musi trwać kilka tygodni, trzeba go przesunąć na sierpień. Wtedy większość osób, po potwierdzeniu statusu studenta na konkretnej uczelni, będzie mogła otrzymać środki już w październiku. Z tym jednak wiąże się konieczność automatyzacji procesu wnioskowania i przeniesienia go poza uczelnie. Nie sposób bowiem oczekiwać, aby uczelnie weryfikowały wnioski kogoś zanim oficjalnie stanie się ich studentem. Po trzecie, konieczne jest uproszczenie procedury i przeniesienie części obowiązków na świadczeniodawcę. W tym obszarze powinna zostać wdrożona wspomniana automatyzacja. Wzoru-jąc się na rozwiązaniach stosowanych przy systemie e-deklaracje, student za pomocą internetowego formularza podawałby jedynie pod-

stawowe dane swoje i rodziców (po wcześniejszej weryfikacji tożsamości), a system, korzystając z baz danych podatkowo-składkowych, sam zasysałby informacje o dochodach. Pamiętając o dochodach nieopodatkowanych, do takiego formularza należałoby dodać możliwość załączenia autoryzowanego (np. profilem zaufanym) oświadczenia. Po czwarte wreszcie, warunkiem koniecznym skutecznego wprowadzenia takiego rozwiązania jest zakrojona na szeroką skalę akcja informacyjno-edukacyjna kierowana nie tylko do obecnych studentów, ale także, a może przede wszystkim, do uczniów szkół średnich. Tym bardziej, że planowane zmiany wejdą prawdopodobnie najwcześniej od roku akademickiego 2023/2024.

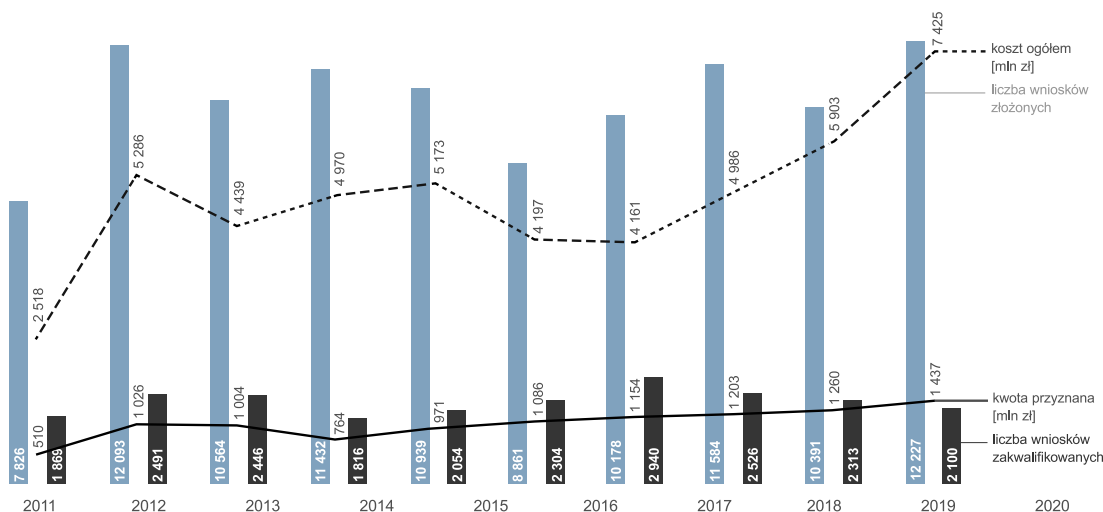
Należy podkreślić, że wszystkie inne mechanizmy wsparcia – pomoc materialna dla osób niepełnosprawnych, dopłaty do przewozów, dopłaty do domów studenckich czy wreszcie dopłaty do ubezpieczeń zdrowotnych – pozostałyby bez zmian. Nie chcemy bowiem dokonywać rewolucji w całym systemie, a jedynie zmodyfikować tę jego część, która od lat domaga się gruntownych zmian.

Obecnie trwa faza prekonsultacji kierunkowych założeń reformy. Po ich zakończeniu zespół badawczy we współpracy z Ministerstwem Edukacji i Nauki przystąpi do przygotowania projektu ustawy wraz z uzasadnieniem i oceną skutków regulacji, które trafią pod obrady rządu. W tym momencie nasza rola się skończy. Mamy jednak nadzieję, że urzędnicy ministerstwa, którzy od samego początku towarzyszą nam na każdym etapie trwania projektu, doprowadzą go do szczęśliwego końca i najpóźniej za dwa lata studenci, ubiegając się o stypendium socjalne, nie będą musieli najpierw czekać w nieskończoność w kolejkach na uczelni, a później na wypłatę świadczeń.

Dr Marcin Kędziński, adiunkt w Kolegium Gospodarki i Administracji Publicznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, członek zespołu przygotowującego projekt reformy systemu pomocy materialnej dla studentów

Narodowe Centrum Nauki od dziesięciu lat wspiera finansowanie badań podstawowych w Polsce. Do końca 2020 roku ogłosiło 125 konkursów w trybie krajowym (bez konkursów wspólnych z NCBR i NAWA), a rozstrzygnęło 114 z nich. Przyznało 22 859 grantów o wartości 10 mld 420 mln zł. Największymi beneficjentami grantów NCN są badacze z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy w uzyskali 2492 granty o wartości 1 mld 197 mln zł, Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, którzy uzyskali 2460 grantów o wartości 1 mld 258,6 mln zł oraz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, którzy uzyskali 1209 grantów o wartości 544,4 mln zł. Łącznie te trzy instytucje zdobyły prawie 29% środków i 27% grantów rozdysponowanych przez NCN.

Poniżej oraz na stronach 24, 47 i 73 korzystając z jubileuszowej publikacji NCN przedstawiamy jak Centrum finansowało badania podstawowe w Polsce.



Liczba i wartość finansowa projektów złożonych i zakwalifikowanych do finansowania w konkursach krajowych NCN.

Gdańszczanie potwierdzili dominację

Studenci Politechniki Gdańskiej na dobre rozsiedli się na tronie akademickich mistrzów Polski. Swoją prymat potwierdzili broniąc tytułu zdobytego dość niespodziewanie przed rokiem. Przypomnijmy, że wcześniej przez 6 lat kończyli rywalizację na trzecim miejscu.

W tegorocznym cyklu również nie obyło się bez przeszkód. W związku z narastającą trzecią falą pandemii koronawirusa rywalizację zawieszono na ponad miesiąc. Po wznowieniu na początku maja zmagania toczyły się w zawrotnym tempie – w dwa miesiące wyłoniono zwycięzców większości dyscyplin. W unihokeju doszło do niecodziennej sytuacji. Wprawdzie na boisku najlepszy okazali się zawodnicy AWF Poznań, ale ponieważ w ich szeregach wystąpili gracze z filii w Gorzowie Wielkopolskim (mogli reprezentować tylko filię, która posiada własny AZS), tytuł trafił ostatecznie do Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

W tym sezonie Akademickich Mistrzostw Polski sklasyfikowano 123 uczelnie, o 10 mniej niż przed rokiem. Studenci PG, podobnie jak przed rokiem, jako jedyni wystartowali we wszystkich 48 dyscyplinach, uzyskując 2689,5 pkt. Prawdziwymi hegemonami okazali się żeglarze, których już od ośmiu lat nikt nie zdołał pokonać. Trzecie zwycięstwo z rzędu odnieśli lekkoatleci i reprezentantki trójboju siłowego.



Fot. AZS

Indywidualnie studenci PG sięgnęli po 7 złotych, 7 srebrnych i 9 brązowych krążków, co dało im 7 miejsce w klasyfikacji medalowej. Złoto wywalczyli: żeglarska załoga Marcina Styborskiego, lekkoatletka Paulina Borys (skok wzwyż), Natalia Kuzioła w karate (kumite do 55 kg), trójboiści: Paulina Szymanel (do 52 kg) i Kamil Linstedt (74 kg), a także Paulina Czyż, Kristina Tverdokhleba i Agata Wiśniewska, które zdobyły złoto w aerobiku sportowym.

W klasyfikacji generalnej PG wyprzedziła o 58 pkt. Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie (powrót na podium z 4 miejsca w ub.r.) i o 104,5 pkt. Uniwersytet Warszawski (spadek z 2 miejsca). Trzecia w poprzednim cyklu Politechnika Śląska zajęła tym razem 5 miejsce, ustępując jeszcze Uniwersytetowi Gdańskiemu (awans z 6). W pierwszej dziesiątce znalazły się także: Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach, Uniwersytet Medyczny w Łodzi, Uniwersytet Śląski w Katowicach i Politechnika Warszawska. Dopiero na 12 pozycji skończyli zmagania studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Oprócz już wymienionych dyscyplin, do końcowej punktacji liczyły się wyniki osiągnięte w: **aerobiku sportowym** (Gdański Uniwersytet Medyczny), **badmintonie** (AWF Wrocław), **biegach przełajowych** (k: Politechnika Wrocławska, m: AWF Warszawa), **brydżu** (UW), **ergometrze wioślarskim** (k: Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, m: AGH), **futsalu** (k: UJ, m: Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy), **jeździectwie** (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie), **judo** (AWFiS Gdańsk), **karate** (Politechnika Łódzka), **kolarstwie górskim** (k: UW, m: AWF Kraków), **koszykówce** (k: UW, m: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni), **koszykówce 3x3** (k: UMK, m: UMCS Lublin), **narciarstwie alpejskim** (k: AWF Katowice, m: AWF Kraków), **piłce nożnej** (k: AWF Katowice, m: Uniwersytet Szczeciński), **lekkoatletyce** (k: Uniwersytet Gdański), **piłce ręcznej** (k: AWF Katowice, m: Politechnika Opolska), **plywaniu** (AWF Katowice), **siatkówce** (k: PWSZ w Tarnowie, m: Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji w Opolu), **siatkówce plażowej** (k: UŚ, m: UW), **snowboardzie** (k: AGH, m: Politechnika Krakowska), **strzelectwie**

TERAZ BYŁO ZNACZNIE TRUDNIEJ

Krzysztof Kaszuba, dyrektor Centrum Sportu Akademickiego PG:

Powtórny sukces smakuje o wiele lepiej. W tamtym roku sprawiliśmy niespodziankę, teraz było znacznie trudniej, bo w myśl zasady „bij mistrza” każdy stawiał sobie za punkt honoru wygranie z nami. Sukces cieszy tym bardziej, że na tle takich uczelni, jak AGH czy UW, jesteśmy skromnym „kopciuszkiem”. Mamy przecież tylko 14 tys. studentów, z czego ledwie około 500 należy do AZS. Kluczem do sukcesu okazała się nasza wszechstronność. Już jakiś czas temu przyjęliśmy taktykę, by brać udział we wszystkich zmaganiach, nawet jeśli nie mamy szans medalowych. Jak widać, przynosi to efekt. Najbardziej ucieszył mnie srebrny medal w badmintonie oraz brązowy w unihokeju. To prawdziwe zaskoczenia, w przeciwieństwie do żeglarstwa czy lekkiej atletyki, gdzie od lat nie mamy sobie równych. Robimy wszystko, by postęp był widoczny również w innych dyscyplinach. Ostatnio podpisaliśmy umowę z Zespołem Kształcenia i Wychowania w Stężycy, jednej z bogatszych polskich gmin położonej na Kaszubach. Mocno stawiają na



sport. Liczę, że kilka naszych studentek trafi do ich drużyny siatkarek. Postanowiliśmy też przyciągnąć sportowców na studia i od października na Wydziale Zarządzania i Ekonomii uruchamiamy specjalizację II stopnia: zarządzanie w sporcie.

W przyszłym roku można się będzie kształcić na tym kierunku już od poziomu licencjatu. Sportowcom, którzy wybiorą te studia, umożliwimy indywidualny tok studiów, by równolegle mogli jeździć na zgrupowania i zawody. Duże nadzieje wiąże z federacją gdańskich uczelni. W obszarze sportowym już łączymy siły i pod nazwą Fahrenheit Universities powołaliśmy drużynę koszykówki 3x3, która niedawno wygrała turniej w Estonii. Mocno stawiamy na tę nową dyscyplinę: mamy pięć boisk, chcemy stworzyć największe w Polsce centrum treningowe, zamierzamy wystąpić o organizację Mistrzostw Europy. Jeśli się uda, za 2-3 lata nad Bałtyk przyjechałyby najlepsze reprezentacje Starego Kontynentu. W następnej kolejności myślimy o łączonym zespole szczypiornistów.

sportowym (AWF Wrocław), **szachach** (Akademia Leona Koźmińskiego), **szermierce** (AWF Katowice), **tenisie** (k: ALK, m: Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu), **tenisie stołowym** (k: Uniwersytet Eko-

nomiczny we Wrocławiu, m: Uczelnia Państwowa im. Szymona Szymonowicza w Zamościu), **trójboju siłowym** (m: Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie), **wioślarstwie** (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy), **wspinaczce** (k: Uniwersytet Medyczny w Lublinie, m: AGH).

W klasyfikacji medalowej dominowały AWF-y: z Katowic (22 złote, 14 srebrnych, 15 brązowych), Wrocławia (13-7-9) i Warszawy (10-7-7). Wśród uczelni medycznych najlepszy okazał się Uniwersytet Medyczny w Łodzi. Rywalizację uczelni społeczno-przyrodniczych wygrała Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. W gronie wyższych szkół niepublicznych bezkonkurencyjna była Akademia Leona Koźmińskiego, zaś w klasyfikacji publicznych uczelni zawodowych pierwsze miejsce zajęła PWSZ w Tarnowie. Wśród uczelni sportowych bezkonkurencyjna była AWF z Warszawy.

Mariusz Karwowski



Fot. ALK

Strategia na różne sposoby

Pierwszy rok nowej kadencji władz rektorskich upłynął nie tylko pod znakiem koronawirusa, ale także finalizacji prac nad uczelniami strategiami. To dokumenty definiujące wizję, misję i cele każdej ze szkół wyższych. W niektórych przyjęto perspektywę krótkoterminową – kilku najbliższych lat, gdzie indziej nakreślono w ten sposób zakres działań na całą najbliższą dekadę. Różnym koncepcjom strategii polskich uczelni przyjrzyli się dwaj badacze z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu: prof. Jerzy Niemczyk i mgr Jakub Jurczyk. Uwzględnili zarówno podmioty publiczne, jak i niepubliczne. Analizie poddali strategię 54 uczelni (wybór na podstawie rankingu Perspektyw), w tym wszystkich badawczych wyróżnionych w 2019 roku w ministerialnym programie IDUB. Porównywali dokumenty uchwalone przed okresem pandemii.

Z pięciu wyróżnionych przez autorów badania koncepcji dominują dwie klasyczne. Najwięcej uczelni (52%) stosuje podejście planistyczne. Główną jego cechą jest koncentracja na wyniku finansowym i na działalności wytwórczej. Przy czym nie musi tu chodzić o maksymalizację zysku, wystarczy kierowanie się rachunkiem ekonomicznym. Jak wskazują, w przypadku uczelni strategia przybiera formę planu z zadanymi celami i przyporządkowanymi zasobami w trzech obszarach: efektywnej nauki, dydaktyki i współpracy z otoczeniem. Współgra to z algorytmem ewaluacji jakości działalności naukowej.

Co trzecia uczelnia publiczna i aż 40% niepublicznych decyduje się na podejście pozycyjne. Koncentruje się ono na budowaniu przewagi konkurencyjnej, a długoterminowym celem jest zajęcie uprzywilejowanej pozycji, pozwalającej czerpać efekty z bycia np. monopolistą. W tym ujęciu szkoły wyższe mogą obrać dwie drogi: kosztową – ukierunkowaną na zwiększenie naboru studentów, pozyskiwanie znaczących grantów, zawłaszczanie istotnych relacji z otoczeniem, oraz jakościową – charakteryzującą się m.in. uruchamianiem wyróżniających się nowych kierunków i specjalności, zintensyfikowaniem promocji, rekrutowaniem studentów zagranicznych, wzmożonym budowaniem prestiżu i wizerunku.

Kolejne podejście – zasobowe – wybierają tylko uczelnie publiczne (11%). Kluczowe są w nim zasoby niematerialne typu wiedza, marka, wizerunek, prestiż i relacje z otoczeniem. To one budują wartość organizacji, czynią ją unikalną, trudno kopiowalną i przede wszystkim zaspokajającą potrzeby jej interesariuszy – wyjaśniają naukowcy

z UEWr. Dodają, że w uczelniach tego typu strategię sprowadzają się do identyfikowania kluczowych kompetencji, dbania o dobre notowania w cenionych rankingach, dążenia do uzyskania prestiżowych akredytacji i afiliacji czy do rozwijania zasobów związanych z marką i z wizerunkiem.

Tylko 5% uczelni publicznych i co dziesiąta niepubliczna przyjęły podejście innowacyjno-przedsiębiorcze. Jego wyróżnikiem jest poszukiwanie radykalnych innowacji zmieniających reguły gry i koncentrowanie się na działaniach zamiast na ich efektach. Jak podkreślają badacze, innowacyjność powinna być istotą funkcjonowania uczelni, a w zderzeniu z ich autonomią nadawać wszystkim działaniom cechę proaktywności i specyficznej kooperacji, czyli jednoczesnej współpracy i konkurencji między podmiotami.

Ostatnie z podejść – sieciowe – nie wystąpiło w żadnej analizowanej uczelni, choć niejedna korzysta już z zalet sieci jako formy organizacji działań.

Dla wrocławskich naukowców uzyskane wyniki nie są zaskoczeniem. Zauważają, że większość badanych uczelni to duże organizacje działające w mocno regulowanym sektorze i gdyby tę miarę przyłożyć do biznesu, rezultaty byłyby podobne. „Gdy nie ma zagrożenia konkurencyjnego, a przynajmniej nie ma takiej świadomości, to słusznym działaniem jest ilościowe i jakościowe rozwijanie nauki, dydaktyki i współpracy z otoczeniem bez oglądania się na zewnątrz. W Polsce uczelnie, poza tymi w Warszawie, mają silnie regionalnie zbudowane obszary rekrutowania studentów i pracowników. Stąd zagrożenie konkurencyjne nie jest realne. Zdecydowanie silniej odczuwać to może obszar nauki, ale i tutaj zdecydowana większość badań finansowana jest ze środków pochodzących z subwencji kierowanych do uczelni, a nie z grantów naukowych” – komentują.

Niski odsetek uczelni z podejściem innowacyjno-przedsiębiorczym oraz brak w jakiegokolwiek podejścia sieciowego tłumaczą wysokim ryzykiem takich działań.

Z grupy uczelni badawczych sześć wykorzystuje podejście planistyczne, jedna – pozycyjne i trzy – zasobowe. Wśród uczelni zawodowych 60% wybrało podejście planistyczne, pozostałe – pozycyjne. To ostatnie, jak sugerują autorzy, związane jest z regionalnym charakterem PUZ-ów i konkutowaniem na rynku z wieloma podmiotami. O rosnącej presji konkurencyjnej może też świadczyć fakt, że na podej-

ście pozycyjne zdecydowała się co trzecia uczelnia badawczo-dydaktyczna, z czego aż 73% publicznych.

Z kolei podejście zasobowe zidentyfikowano w trzech uczelniach badawczych. Autorzy badania uznają to za logiczny wybór, skoro mają to być „uczelnie, które realnie myślą o budowaniu prestiżu i marki przede wszystkim w oparciu o rozwój nauki, będącej zdecydowanie częściej niż dydaktyka miarą sukcesu w światowych rankingach”.

W podsumowaniu Niemczyk i Jurczyk zwracają uwagę, że z uwagi na zachodzące zmiany na rynku szkolnictwa wyższego, uczelnie będą

podlegać coraz wyższej presji konkurencji. Dodatkowo muszą się mierzyć z postępującymi trendami w zakresie globalizacji i internacjonalizacji, społecznej odpowiedzialności, cyfryzacji procesu uczenia czy kulturowej różnorodności. To wszystko, ich zdaniem, znajdzie odzwierciedlenie w przyjmowanych przez nie strategiach na kolejne lata. Przewidują, że uczelnie częściej sięgać będą do podejścia zasobowego, innowacyjno-przedsiębiorczego i sieciowego.

MK

W dążeniu do uczelni badawczej

Strategię Uniwersytetu Łódzkiego na lata 2021-2030 przedstawia dr hab. Agnieszka Kurczewska, prof. UŁ, prorektor uczelni ds. współpracy z otoczeniem.

Naszą nową strategię tworzyła cała społeczność uniwersytetu. Służyły temu bezpośrednie spotkania z władzami (w formie zdalnej), jak i specjalny formularz, poprzez który można było wysłać opinie i propozycje. Tekst stworzony był przez kierowany przeze mnie zespół, w skład którego weszli reprezentanci wszystkich grup funkcjonujących na uczelni (pracownicy naukowcy, administracyjni, doktoranci, studenci).

Szukaliśmy podstawowego pojęcia spajającego wizję rozwoju uczelni. Wyszliśmy od wiedzy. Uniwersytet to wiedza. W takiej perspektywie nauka to tworzenie i rozwijanie wiedzy, kształcenie to jej systematyka i upowszechnianie, współpraca z otoczeniem to sprawne wdrażanie wyników badań. Całość spaja społeczność uniwersytecka skupiona wokół kultury wiedzy. W strategii wyznaczyliśmy cztery kluczowe obszary: naukę, kształcenie, współpracę z otoczeniem, społeczność UŁ. Wszystkie wzajemnie przenikają się i wzmacniają.

Podstawowym kierunkiem rozwoju UŁ w najbliższej dekadzie jest jego przekształcanie w uczelnię badawczą o silnej pozycji w kraju i za granicą. Chcemy inwestować w naukę, rozwijając ją, robić „dobrą robotę”, zgodnie z filozofią prof. Tadeusza Kotarbińskiego, i dzielić się jej wynikami ze studentami i całym społeczeństwem. Tym samym chcemy utrwalać i popularyzować etos naukowca, zachęcając kolejne pokolenia do pracy na rzecz nauki i rozwoju działalności akademickiej. W dobie ruchów antynaukowych i osłabienia zaufania do nauki uważamy za nasz obowiązek obronę prawdy, która zawsze

wyływa z nauki. Za misję uniwersytetu uznaliśmy rzetelne prowadzenie badań naukowych oraz aktywne głoszenie prawdy z nich płynącej, tak by mądrze kształcić kolejne pokolenia, być użytecznym dla społeczeństwa oraz odważnie odpowiadać na wyzwania współczesnego świata.

Strategia UŁ zorientowana jest na rozwój samej instytucji i tworzących ją pracowników, doktorantów i studentów. Jesteśmy bardzo dużą społecznością, istotne zatem było uchwycenie różnorodności rozumianej jako utrzymanie wszystkich dyscyplin, dbanie o ich równomierny rozwój, otwartość w kształceniu, współpraca z otoczeniem. Kolejne założenie to kontynuacja idei uczelni klasycznej, czyli mającej szerokie spektrum kształcenia i dyscyplin naukowych. Taka jest tożsamość Uniwersytetu Łódzkiego. Ważnym elementem jest również niezależność. Nasz świat naukowy wyznaczają międzynarodowe standardy i normy.

Strategia Uniwersytetu Łódzkiego jest długofalowa. Staraliśmy się w niej przedstawić ramy funkcjonowania uczelni, nie rozpisywać drobiazgowo każdego kroku, bo rzeczywistość jest, jak pokażało choćby ostatnie półtora roku, bardzo zmienna. Chcemy też zostawić przestrzeń do podejmowania działań zgodnych z wiedzą, kompetencjami i doświadczeniem pracowników, doktorantów czy studentów. Zamierzamy budować dynamicznie rozwijającą się uczelnię badawczą, którą wyróżniają: nowoczesność, postępowość i odwaga w myśleniu oraz działaniu, tradycja międzykulturowości, siła różnorodności i sprawność działania.



Na rzecz miasta i regionu

O strategii PWSZ w Koninie na lata 2021-2024 pisze dr hab. Artur Zimny, prof. PWSZ w Koninie, rektor PWSZ w Koninie.

Prace nad strategią uczelni rozpoczęliśmy wraz z początkiem nowej kadencji władz rektorskich. Do diagnozy oraz nakreślenia wizji, misji i celów wykorzystaliśmy takie metody analizy, jak: dedukcja, indukcja, porównania w czasie i przestrzeni. Analizy strategicznej dokonaliśmy przy wykorzystaniu popularnej metodologii SWOT, uwzględniając czynniki otoczenia zewnętrznego, wyznaczone przez metodologię PEST. Z kolei cele strategiczne i opera-

cyjne zostały skonstruowane zgodnie z zasadą SMART. Wypracowaną propozycję zapisów strategii poddaliśmy szerokim konsultacjom z przedstawicielami społeczności akademickiej i otoczenia społeczno-gospodarczego. Rezultaty zostały odzwierciedlone w finalnym dokumencie, który został przyjęty 15 grudnia 2020 roku.

Sformułowano w nim wizję, misję i cele rozwoju, do osiągnięcia których powinny dążyć władze i wspólnota uczelni. Mając na

uwadze wizję – „Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Koninie podmiotem o kluczowym znaczeniu dla zrównoważonego rozwoju subregionu konińskiego” – będziemy dążyli do tego, aby uczelnia w jeszcze większym stopniu została włączona do sieci podmiotów działających na rzecz rozwoju miasta i regionu, a w efekcie, by stała się instytucją współwytwarzającą kierunki rozwoju Wielkopolski Wschodniej. Za naszą misję uznaliśmy „tworzenie odpowiednich warunków do studiowania, pozwalających na sprawne zaspokajanie nie tylko wszechstronnych aspiracji edukacyjnych subregionu konińskiego, lecz także przygotowanie absolwentów do zaistnienia na rynku pracy oraz uświadomienie potrzeby ciągłego dokształcania i doskonalenia zawodowego”. Jeśli chodzi o cele strategiczne to zamierzamy – jak na publiczną uczelnię zawodową przystało – skoncentrować się na doskonaleniu oferty edukacyjnej i jakości kształcenia, a w szczególności rozwijaniu form kształcenia ustawicznego i dualnego, rozwijaniu



współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym, w tym świadczeniu specjalistycznych usług na rzecz mieszkańców subregionu, oraz wzmacnianiu potencjału kadrowego i infrastrukturalnego uczelni, aby stała się ona jeszcze bardziej nowoczesna i zarazem elastyczna, przyjazna dla studentów i pracowników.

Jestem przekonany, że wdrażanie strategii, która uwzględnia aktualne zjawiska i tendencje zachodzące w różnych sferach życia społeczno-gospodarczego, na czterech poziomach, tj. subregionalnym, regionalnym, krajowym i międzynarodowym, przyczyni się do skuteczniejszego konkurowania na rynku edukacyjnym, lepszego dostosowania się do dynamicznych zmian zachodzących w sferze regulacyjnej, demograficznej, gospodarczej i społeczno-kulturowej, a jednocześnie zaowocuje dalszym harmonijnym rozwojem PWSZ w Koninie i w konsekwencji zwiększeniem roli uczelni w zrównoważonym rozwoju Wielkopolski Wschodniej.

Aspirujemy do miana uniwersytetu przyszłości

Strategię Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu na lata 2021–2030 prezentuje prof. Andrzej Kaleta, rektor uczelni.

Poprzednia strategia Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu powstała w 2016 roku. Odegrała istotną rolę w rozwoju uczelni. Nowe uwarunkowania prawne skłoniły nas do prac nad kolejną. Rozpoczęliśmy je jesienią 2019 roku w pięciu zespołach tematycznych. To było szczególne zadanie dla młodych, którzy chcą swoją przyszłość związać z pracą w naszej uczelni – oni będą tworzyć nową jakość oraz nowe standardy.

Przyjęliśmy dwa kluczowe założenia: długi horyzont czasowy i partycypacyjny model podejścia do strategii. Zależało nam na tym, żeby dokument był wyrazem dążeń całej społeczności uniwersytetu. Uchwalona przez Senat w marcu tego roku Strategia 2030, będąca mapą drogową rozwoju UEWr, zawiera wizję uczelni, jej misję, podzielane wartości, strategiczne priorytety oraz mechanizm ich realizacji. Nakreślone kierunki rozwoju są odpowiedzią na kilka silnych mega trendów: transformacje modeli gospodarki, zmiany klimatyczne, rewolucję cyfrową i klimatyczną oraz zmiany socjodemograficzne. Zrozumienie istoty tych zjawisk pozwoliło po pierwsze zdefiniować główne wyzwania, przed którymi stoimy, a po drugie przygotować adekwatne odpowiedzi.

Aspirujemy do tego, by być uniwersytetem kompetencji przyszłości, musimy w kształceniu studentów wyprzedzać potrzeby gospodarki. W naszej wizji chcemy połączyć uniwersytecki charakter uczelni z jej biznesową specyfiką i stworzyć wiodący ośrodek oryginalnych badań naukowych, miejsce nowoczesnego kształcenia



i pracy. Ponadto pragniemy być uniwersytetem efektywnym, gotowym na przyszłość. Wreszcie będziemy dążyć do uniwersytetu zrównoważonego rozwoju. Chodzi zarówno o równowagę zewnętrzną, jak i wewnętrzną, między nami a otoczeniem.

„Kreujemy ekspertów i liderów biznesu, tworząc środowisko rozwoju wiedzy, kompetencji i umiejętności przyszłości” – tak brzmi sformułowana przez nas misja. Zdecydowaliśmy się na kilka priorytetów, które uważamy za kluczowe dla przyszłości uczelni: zaangażowani pracownicy, nowoczesna organizacja odpowiadająca realiom współczesnego cyfrowego świata, szeroka współpraca z biznesem, badania inspirowane praktyką, ustawiczne rozwijanie kompetencji przyszłości.

Zasadniczą rolę w implementacji tych założeń będzie odgrywać Rada Strategii, której przewodniczę. Będziemy spotykać się co najmniej raz na dwa miesiące i nadawać projektom status projektów strategicznych. Ich ambasadory będą stymulować działania służące osiągnięciu efektów oraz m.in. ustalać cele i mierniki dotyczące danego priorytetu.

Założenia naszej strategii doskonale wpisują się w wizję rozwoju uniwersytetów w Europie, zaprezentowaną przez European University Association (EUA). Publikacja Strategii 2030, będącej owocem pracy ponad dwustu pracowników UEWr, została przez EUA potraktowana jako ważny głos w dyskusji o przyszłości europejskiej nauki i dydaktyki.

Rozmowa z prof. Jackiem Kuźnickim, przewodniczącym Rady Narodowego Centrum Nauki, neurobiologiem i biochemikiem z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej

Chcemy finansować tylko najlepsze projekty

Warto pamiętać, że jesteśmy jedyną albo jedną z nielicznych agencji grantowych na świecie, która daje pieniądze „do ręki” doktorantom. To ogromne zaufanie w stosunku do ludzi, którzy dopiero mają być naukowcami.

Jest pan czwartym przewodniczącym Rady NCN. Na czym polega jej wyjątkowa rola w Narodowym Centrum Nauki?

NCN tworzą dwie uzupełniające się części: biuro, czyli administracja jako część wykonawcza, oraz Rada NCN, czyli dwadzieścia cztery osoby, które reprezentują różne dziedziny i dyscypliny naukowe oraz ośrodki akademickie w różnych częściach Polski. Rada pełni kluczową rolę w funkcjonowaniu NCN – organizacji działającej na rzecz naukowców i prowadzonej przez naukowców. Członkowie Rady NCN, dyrektor oraz koordynatorzy dyscyplin to właśnie naukowcy.

W działaniach rady staramy się zachować wszelkie zasady etyki, unikając przede wszystkim konfliktu interesów ze strony członków rady oraz przy wyborze ekspertów. Chodzi o to, aby NCN finansował tylko najlepsze projekty badawcze, zapewniając optymalny rozwój badań w różnych dyscyplinach naukowych. Członkowie rady nie mogą aplikować do NCN o finansowanie ich projektów, a więc w żaden sposób nie mogą korzystać z budżetu grantowego NCN, ponieważ decydują o zasadach konkursów. My jednak nadal jesteśmy aktywnymi naukowcami. Decydując się na pracę w Radzie NCN, świadomie rezygnujemy na okres czterech lat z jednej z ważnych możliwości uzyskiwania środków na własne badania i utrzymanie zespołów naukowych.

Rolę rady można opisać przez wskazanie trzech głównych obszarów jej działania. Pierwszy to udział w różnych wyborach: dyrektora NCN, koordynatorów dyscyplin, polskich i zagranicznych ekspertów do paneli, które oceniają projekty badawcze zgłoszone do konkursów, a także do zespołów, które potem rozliczają wyniki poszczególnych projektów realizowanych ze środków NCN. Dlatego sposób wyborów do rady jest tak ważny: robią to naukowcy spośród naukowców. Druga forma działalności Rady NCN to ustalanie zasad konkursów. Od nas bowiem zależy, jakie konkursy ogłosi NCN i do kogo będą adresowane, jakie są zasady konkursów, oceny wniosków, a także podział środków finansowych na poszczególne panele grantowe. Decydujemy zatem o tym, jak najlepiej wykorzystać budżet NCN na finansowanie badań podstawowych w Polsce. I wreszcie – jakie są kryteria oceny poprawności realizacji grantu. Trzecią

rolą rady jest ustalanie zasad współpracy z różnymi instytucjami krajowymi, jak np. NAWA, NCBR, oraz zagranicznymi i międzynarodowymi. No i wreszcie prowadzimy działania zlecone przez organy państwa oraz reagujemy na głosy płynące ze środowiska akademickiego pod adresem NCN. Czasem krytykuje się NCN, że wciąż zmienia zasady konkursowe. Wynika to często właśnie z reakcji na uwagi środowiska, które zawsze starannie analizujemy. Na przykład ostatnio w ramach programu PRELUDIUM BIS umożliwiliśmy udział osobom, które już kierują trzema projektami finansowanymi przez NCN. Generalnie wolno kierować najwyżej trzema projektami albo dwoma realizowanymi i jednym wnioskiem w ocenie. Środowisko wskazało, że konkurs PRELUDIUM BIS ma specyficzny charakter i nie powinien być w tym aspekcie traktowany tak samo jak pozostałe.

Rada NCN wybierana jest w specjalny sposób z udziałem zespołu nominującego.

A ten jest tworzony przez ministra nauki. Następnie ów zespół wybiera na każde miejsce w Radzie NCN dwóch kandydatów wskazanych przez polskie instytucje naukowe. Minister powołuje jedną z tych osób na cztery lata. Natomiast co dwa lata zmienia się połowa składu. Z tego powodu połowa pierwszego składu rady została powołana tylko na dwa, a nie na cztery lata, zatem w ich wypadku dwie kadencje to sześć lat, a nie osiem. Ta sama osoba może w radzie pracować najwyżej przez dwie kadencje. Przewodniczący rady wybierany jest przez samych jej członków na okres dwóch lat i może kierować pracami najwyżej przez dwie kadencje.

Jak pan ocenia ofertę programową NCN?

Z podziwem odnoszę się do pomysłów członków rady poprzednich kadencji, którzy stworzyli program grantowy odpowiadający na różnorodne potrzeby środowiska. To pozytywna ocena. Zdecydowanie popieram też to, że co najmniej 20% środków NCN przeznaczone jest dla młodych naukowców. Faktycznie młodzi uzyskują znacznie więcej funduszy.

Oprócz kierowania swoimi grantami mogą być wykonawcami w projektach kierowanych przez inne osoby. Programy centrum zmieniają się, pojawiają się nowe, a inne znikają. W celu wzmocnienia aktywności naszych badaczy w konkursach ERC Narodowe Centrum Nauki uruchomiło we współpracy z ERC specjalny program o nazwie UWERTURA. Gdy dwa i pół roku temu wszedłem w skład rady, przedstawiłem argumenty wskazujące, iż nie jest to dobry program, bowiem nie gwarantuje realizacji głównego założenia i nie jest atrakcyjny dla potencjalnych wnioskodawców. Obawy te potwierdziły się i został on zamknięty. Z kolei PRELUDIUM BIS to nowy program, który jest odpowiedzią na pojawienie się szkół doktorskich.

Początkowo miał zastąpić „klasyczne” Preludium...

Chodziło o to, żeby stworzyć program, który ochroni doktoranta przez cały okres jego kształcenia, a zwłaszcza badań, w szkole doktorskiej. Gwarantuje on czteroletnie wynagrodzenie dla doktoranta oraz fundusze na realizację badań, a dzięki współpracy z NAWA zapewnia także pokrycie kosztów wyjazdu zagranicznego na okres do pół roku. W programie tym krytykowano m.in. zbyt niski fundusz, np. w naukach o życiu, który można przeznaczyć na zakup odczynników i materiałów zużywanych. Na ostatnim posiedzeniu rady uznaliśmy ten postulat za słuszny i podnieśliśmy kwotę, jaką można przeznaczyć na ten cel.

Kontrowersje budziło zwłaszcza to, że beneficjentem tego programu jest promotor, podobnie jak początkowo w Preludium – tam ta koncepcja upadła.

Warto pamiętać, że jesteśmy jedyną albo jedną z nielicznych agencji grantowych na świecie, która daje pieniądze „do ręki” doktorantom, właśnie w programie PRELUDIUM. To ogromne zaufanie w stosunku do ludzi, którzy dopiero mają być naukowcami. Zastanawialiśmy się, czy wprowadzając PRELUDIUM BIS nie zrezygnować z PRELUDIUM. Były jednak bardzo mocne głosy...

M.in. Krajowej Reprezentacji Doktorantów i Rady Młodych Naukowców...

Tak. Te środowiska, ale nie tylko one, uważały, że PRELUDIUM „klasyczne” jest bardzo potrzebne, zwłaszcza dla nauk humanistycznych, i jego likwidacja byłaby niekorzystna także z tego powodu, że dawało ono szansę młodym na wczesną samodzielność w staraniach o środki na własne badania. Warto jednak zastanowić się, kto faktycznie jest beneficjentem PRELUDIUM BIS. Jeżeli patrzymy na to, kto dostanie doktorat w wyniku realizacji projektu, to beneficjentem jest doktorant. Większość funduszy z grantu idzie na jego wynagrodzenie przez cztery lata. Kolejna część na jego badania. Około 15% promotorów rezygnuje w tym programie z własnego niewielkiego wynagrodzenia, w ogóle nie wnioskując o nie i przeznaczając te środki na wsparcie programu naukowego doktoranta. Podobnie środki z NAWA na średnioterminowy wyjazd zagraniczny – one także są wyłącznie dla doktoranta. Zatem choć to promotor składa wniosek i zyskuje w swoim zespole doktoranta, to prawdziwym beneficjentem środków finansowych w PRELUDIUM BIS jest właśnie doktorant. Dodatkową korzyścią dla niego jest to, że rozliczenie grantu jest obowiązkiem promotora.

Czy jako przewodniczący rady, niegdyś dyrektor instytutu naukowego, widzi pan miejsce na nowy program NCN?

To trudne pytanie. Z jednej strony jest już duża oferta programowa, ale jest pewien obszar, który chyba nam trochę

umknął, a może po prostu się go obawiamy, tj. finansowanie naprawdę ryzykownych projektów badawczych.

Często spotykałem się z opinią, że już we wniosku należy wskazać cele, a tak naprawdę to przewidywane wyniki projektu, co sugeruje, że są one po prostu znane już w chwili składania wniosku. Mówi się, że do NCN lepiej nie przysyłać ryzykownych projektów.

Niesłusznie. Eksperti paneli i recenzenci oceniają, czy projekt jest wystarczająco nowatorski, choć także, czy ma szansę na realizację. A zatem zachowawczy i odtwórczy projekt raczej nie uzyska wysokich ocen. Jednak rzeczywiście często brakuje jasnego powiedzenia: ryzykujemy, bo to jest ważne w nauce. Proszę też zauważyć, że w czasie epidemii wprowadziliśmy program typu top-down dotyczący badań nad COVID-19, czyli odwrotnie niż w typowych konkursach NCN, ponieważ to my zadaliśmy temat i cel badań. Był to jednak wyjątek. Jest pytanie, czy co pewien czas Rada NCN nie powinna ogłaszać konkursów tego rodzaju. Jednak wiele osób twierdzi, że oferta NCN jest zbyt szeroka i rozproszona. Sugerowano również, że powinniśmy stworzyć dodatkowy program skierowany dla przedstawicieli średniego pokolenia, którzy jeszcze nie mają dużych szans na uzyskanie OPUS-u. Z tego pomysłu zrezygnowaliśmy, gdyż w trakcie oceny projektów w OPUS-ie bierze się pod uwagę etap kariery naukowej, co jest zaznaczone w formularzu i dzięki temu konkurs stwarza równe szanse dla wszystkich. Chodzi o to, aby nie stracić dobrego pomysłu, gdy wnioskodawca jest na wczesnym etapie kariery i już choćby z tego powodu ma mniejszy dorobek publikacyjny niż osoby pracujące od wielu lat.

Myślę, że właśnie poruszył pan kwestię relacji między dwoma najważniejszymi elementami oceny wniosku: wartością samego projektu oraz dorobkiem wnioskodawcy i jego afiliacją zawodową, czyli szansą na realizację zaplanowanych badań. Jak w praktyce waży się te dwie części oceny?

W konkursie OPUS jest to 60% oceny za projekt, a 40% za dorobek. Podobnie 60% oceny za projekt jest w SONACIE i SONATINIE. Natomiast w SONATINIE BIS mamy już 65%, a w PRELUDIUM 80% za projekt. To oznacza, że znaczenie dorobku w ocenie tych projektów jest mniejsze, najważniejszy jest sam projekt. Inaczej w MAESTRO, gdzie aplikują sami doświadczeni naukowcy: w tym konkursie 55% jest za projekt, a 45% za dorobek. Odbyła się dyskusja, także wśród członków rady, czy te proporcje są właściwe. Byłem recenzentem w pewnej zagranicznej agencji, gdzie dorobek decydował tylko w 30% oceny, czyli w mniejszym stopniu niż w programach OPUS, SONATA i SONATINA.

Przez lata zarzucano NCN, że pewna grupa badaczy – głównie z małych ośrodków, ale mówiło się też o humanistach – nie ma szans na wejście w grantowy system finansowania badań. Powstał zatem program Miniatura – na niewielkie projekty, osławiające badacza z systemem grantowym. Mam wrażenie, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Częściowo trzeba się zgodzić z tą opinią. Komisja rady ds. oceny efektów działalności NCN przeanalizowała cztery pierwsze konkursy MINIATURA. Wiemy, z jakich ośrodków pochodzą wnioskodawcy, jakimi sukcesami mogą się pochwalić laureaci i, co najważniejsze, czy i w jaki sposób zdobycie oraz realizacja grantu MINIATURA wpłynęły na dalsze funkcjonowanie beneficjenta w systemie grantowym NCN. Okazuje się, że nie ma jednoznacznej korelacji. Tylko dla części laureatów czterech pierwszych konkursów MINIATURA stanowiła wstęp do aplikowania w innych konkursach systemu grantowego. Są uczelnie

Fot. MIBANK



Prof. dr hab. **Jacek Kuźnicki** (ur. w 1952 r.) jest przewodniczącym Rady Narodowego Centrum Nauki. Jego badania dotyczą chorób neurodegeneracyjnych: Alzheimera, Parkinsona i Huntingtona oraz ich modeli z wykorzystaniem myszy i dano przegławanego, zaburzeń homeostazy wapniowej, roli białek STIM w pojemnościowym napływie wapnia w neuronach. Jest współautorem ponad 120 publikacji dostępnych w bazie Web of Science, cytowanych ponad 3,5 tys. razy, a także 3 patentów i 1 aplikacji patentowej. Wypromował 14 doktorów. Jest laureatem: Nagrody im. Mozołowskiego PTBioch dla wybitnego młodego biochemika (1977 r.), Kryształowej Brukselki za wybitne osiągnięcia w 7. PR UE, subsydium profesorskiego FNP, Nagrody Prezesa Rady Ministrów za wybitne osiągnięcie naukowe. W latach 2001–2008 był dyrektorem Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie, a od 2001 r. kieruje Laboratorium Neurodegeneracji w tym instytucji. Pracował też w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. Był profesorem wizytującym w Narodowych Instytutach Zdrowia w Bethesda 1992–1995 i 2018, na Uniwersytecie w Leiden (2014) oraz na Uniwersytecie w Cambridge (2015). Jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Nauk oraz wielu zagranicznych i międzynarodowych towarzystw naukowych.

z dużych miast, które mają dużo wniosków w tym programie, co jednak nie przekłada się na wzrost sukcesów w innych programach NCN. Są też mniejsze ośrodki, które złożyły wiele wniosków i zdobyły wiele grantów. Na przykład uniwersytet ze wschodniego województwa w pierwszym konkursie MINIA-TURA zdobył sporo grantów i miał ponad 50% skuteczności. W drugim też było nieźle, ale już w czwartym wskaźnik sukcesu naukowców z tej uczelni wyniósł tylko kilka procent. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, ale możemy się domyślać. W niektórych uczelniach władze wprowadzają regulacje, które zmuszają pracowników do składania wniosków grantowych, co przy braku dobrego pomysłu naukowego i małej pomocy ze strony uczelni w ich przygotowaniu skutkuje słabą skutecznością. W efekcie do centrum trafiają kiepskie wnioski, które nie mają szansy powodzenia. NCN prowadzi szkolenia dla potencjalnych wnioskodawców i pracowników administracji ich wspierających, ale te działania nie są do końca skuteczne. Rada rozważa rozszerzenie tej formy działalności w ramach współpracy z władzami uczelni i instytucji z mniejszych ośrodków w celu wskazania sposobów optymalnego wykorzystania ich potencjału naukowego.

Czy NCN powinien w ogóle brać udział w finansowaniu zrównoważonego rozwoju kraju – w tym wypadku pod względem naukowym – czy też tylko w finansowaniu doskonałości naukowej, jakby to nie brzmiało? Fundacja na rzecz Nauki Polskiej głosi jasno: wspieramy najlepszych, żeby byli jeszcze lepsi. Czy agencja rządowa, jaką jest NCN, powinna robić tak samo,

czy jednak powinna uwzględniać politykę naukową państwa, kreowaną i realizowaną przez aktualny rząd?

Odniosę się do FNP, która pierwsza wprowadziła zasadę wydłużania okresu możliwości aplikowania w różnych programach dla kobiet, które urodziły dzieci – to jest wyraźnie wyrównywanie szans. Powołana przez Radę NCN komisja ds. analiz aktywności naukowej stwierdziła m.in., że szanse kobiet na uzyskanie grantu NCN w niektórych panelach różnych konkursów są mniejsze niż szanse mężczyzn. Zespół ten przygotował ankietę skierowaną do naukowców, którzy mieli grant NCN w celu zrozumienia, jaki mechanizm za tym stoi. Ankieta jest próbą uzyskania pełniejszego obrazu uwarunkowań rozwoju karier naukowych w Polsce. Cieszy się ona bardzo dużą popularnością i będzie zakończona pod koniec września. Stanowi formę nawiązania dialogu ze środowiskiem naukowym oraz jest sposobem poznania czynników wpływających na aktywność w inicjowaniu projektów badawczych i pozyskiwaniu grantów nie tylko przez kobiety, ale i mężczyzn.

NCN, podobnie jak FNP, realizuje obie misje, wspierając zarówno doskonałość naukową, jak i dążąc do zrównoważonego rozwoju kraju. Uważam, podobnie jak inni członkowie rady, że pierwszorzędną zasadą powinno być wspieranie dążenia do doskonałości, czyli finansowanie najlepszych projektów naukowych. Ale – duże ALE – zastanawia nas, dlaczego w mniejszych ośrodkach jest mniejsza skala sukcesu. Może zamiast dawania dodatkowych pieniędzy dajmy wędkę? Na przykład powinniśmy spowodować, aby mniejsze ośrodki stały

się bardziej atrakcyjne dla osób wykształconych w dużych centrach akademickich, które tam zdobyły szlify naukowe i obycie badawcze. W Krakowie czy Warszawie z powodu dużej konkurencji trudno szybko zdobyć samodzielne stanowisko badawcze. Gdy uczeni stamtąd trafią do mniejszych ośrodków – co w NCN staramy się wspierać, promując mobilność naukową – wzmacniają tamtejszy potencjał naukowy, w tym zdobywanie grantów. Dążymy zatem do zrównoważonego rozwoju nauki przez to, że wymuszamy mobilność naukowców i do niej zachęcamy. Jeśli np. mówimy o postdokach, to nie zgadzamy się, aby dzięki finansowaniu z grantu NCN doktor został w ośrodku, w którym zrobił doktorat. Ma on pracować w innej instytucji. W ten sposób zwiększy szanse tego ośrodka na zdobywanie grantów NCN. Ponadto, zachowując podstawową zasadę, że finansujemy najlepsze projekty i najlepszych naukowców, wprowadziliśmy w konkursach inne ograniczenia, które służą zrównoważonemu rozwojowi nauki, na przykład limity w liczbie realizowanych grantów. Gdyby nie one, wielu naukowców miałooby znacznie więcej niż trzy granty równocześnie, ograniczając szanse innych badaczy. NCN wspiera najlepszą naukę w Polsce, ale przez zasady konkursów wpływamy na to, aby grono grantobiorców stale się poszerzało, także o badaczy z mniejszych ośrodków.

NCN dysponuje raptem miliardem czterystoma milionami złotych. To niewielka część wydatków polskiego budżetu na naukę. Jak powinna być finansowana nauka: głównie ze środków konkursowych czy może raczej ze środków podmiotowych?

Żle by było, gdyby ograniczono finansowanie statutowe instytucji naukowych. Te fundusze są bardzo potrzebne, nie tylko na administrację czy obsługę badań. Trzeba również zapewnić funkcjonowanie zespołów, które nie zawsze, nie przez cały czas mają granty. Kończę w tym roku realizację grantu OPUS i bez wsparcia instytucyjowego w przyszłym roku nie mógłbym kontynuować badań. Zmniejszyłoby to moje szanse na kolejny grant NCN po zakończeniu pracy w Radzie NCN. Stabilność, którą zapewnia finansowanie statutowe, jest ważna, ponieważ brak takich funduszy prowadziłby do rozpadu lub zapaści niektórych zespołów naukowych. Natomiast zdecydowanie za mało środków przeznaczamy w Polsce na konkursowe finansowanie badań podstawowych. Radikalnie spadł w NCN wskaźnik sukcesu. Teraz wynosi on średnio około 15%. Oznacza to, że nawet bardzo dobre projekty mogą nie otrzymać finansowania. Aby ten wskaźnik nie ulegał dalszemu zmniejszeniu, obniżyliśmy poziom kosztów pośrednich z 40 do 20%, co nie jest korzystne dla nauki. Na początku swojej kadencji na stanowisku przewodniczącego Rady NCN zasugerowałem na posiedzeniu rady, że musimy zwiększyć wskaźnik sukcesu nawet bez dodatkowych funduszy. Na szczęście ministerstwo dołożyło nam dwukrotnie znaczące środki, które możemy od razu przeznaczyć na zwiększenie tego wskaźnika. Wiemy, że mamy poparcie środowiska akademickiego, aby nadal zwiększać budżet NCN. Mamy też wyliczenia, jakie środki są potrzebne, żeby utrzymać wskaźnik sukcesu na dawnym poziomie około 25%, a koszty pośrednie ponownie zwiększyć do 40%. Potrzeba na to dodatkowo prawie miliarda złotych, co umożliwiłoby zwiększenie liczby grantów o około 900 rocznie. Zatem budżet NCN musiałby wzrosnąć do niemal 2,4 mld złotych. Nie dalibyśmy rady zagospodarować sensownie tego miliarda w ciągu jednego roku, ale gdyby budżet NCN rósł po około 200 milionów zł rocznie, to w ciągu pięciu lat doszlibyśmy do zadowalających wskaźników. Taka sytuacja zachęcałaby kolejne osoby do udziału w konkursach i radykalnie zwiększyła liczbę grantów uzyskiwanych przez osoby z mniejszych ośrodków.

Dochodzi do tego zewnętrzny czynnik motywujący, czyli nacisk uczelni na aktywność grantową pracowników.

Tak. To też się liczy, choć jak wspomniałem, ma też swoje słabe strony w postaci nieprzemyślanych i słabych projektów składanych przez osoby z niewystarczającym dorobkiem.

Są badacze, głównie humaniści, którzy mówią, że obejdą się bez grantów.

Zapewne są takie badania, które można realizować bez poważnych środków zewnętrznych, jednak w mojej dziedzinie – nauk przyrodniczych – nie jest to możliwe. Po drugie, w każdej dziedzinie granty dają szansę młodym na szybsze wybiecie się na niezależność naukową, to bardzo ważny argument za tą formą finansowania. Własny grant wzmacnia motywację naukową. Daje też nowy sposób funkcjonowania, który nie jest możliwy przy korzystaniu wyłącznie ze środków statutowych uczelni lub instytutów. Mając grant, wychodzi się poza dotychczasowy sposób działania jednostki, albowiem to laureat grantu wnosi dodatkowe środki do swojej instytucji i staje się naukowo niezależny. Ponadto praca nad własnym projektem poszerza spojrzenie na badania i pokazuje nowe możliwości. Warto zmierzyć się z napisaniem projektu, ponieważ już tylko jego opracowanie może nam bardzo dużo uświadomić. Podsumowując odpowiedź na to pytanie, dotychczasowe finansowanie statutowe nie powinno ulegać zmniejszeniu, ale z pewnością należy znacząco wzmocnić finansowanie grantów NCN.

NCN a humaniści?

Nasza nauka może pokazać siłę i znaczenie tylko w konfrontacji z nauką zagraniczną. Można to robić przede wszystkim publikując po angielsku, może z wyjątkiem dziedzin, w których inny język uznaje się za dominujący. Jednak nawet jeśli bada się np. szczególne kwestie polskiej historii czy języka, to dlaczego nie porównywać tego z podobnymi wydarzeniami czy faktami mającymi miejsce za granicą? Dlaczego nie szukać dla nich szerszego kontekstu? Jeśli chcemy kogoś przekonać do naszych polskich racji, musimy do niego przemawiać w powszechnie zrozumiałym języku i posługiwać się akceptowaną metodologią. Aplikacje grantowe i publikacje po angielsku w humanistyce właśnie temu służą i nic nie stoi na przeszkodzie, aby ponadto powstał na dany temat artykuł lub monografia po polsku. Ostatnio na posiedzeniu rady NCN dyskutowaliśmy o jakości wniosków w naukach humanistycznych. Poprosiłem członków komisji oceniających realizację projektów o przedstawienie sytuacji. Stwierdzili oni, że w naukach humanistycznych widać znaczącą poprawę jakości projektów i że wielu badaczy przekonało się do używania języka angielskiego. Jest jednak pewna grupa osób, która narzeka na NCN z powodu konieczności stosowania angielskiego, mimo że większość to akceptuje.

Są jednak sytuacje wyjątkowe: badacze Ameryki Łacińskiej mówią, że dla nich podstawowy jest język hiszpański i nawet Amerykanie piszą po hiszpańsku.

To ciekawy, ale specyficzny przykład. Zapewne ci badacze znają także język angielski i mogą również publikować w tym języku, aby ich prace mogły mieć szerszy oddźwięk. Dla większości członków paneli NCN aplikacja po hiszpańsku byłaby trudna do oceny.

Inny przypadek budzący kontrowersje: recenzenci zagraniczni wniosków z zakresu polskiego literaturoznawstwa i językoznawstwa.

Jak duży jest środowisko polskie i czy rzetelnie oceni wnioski swoich kolegów? Wiem, że czasem o wyniku decyduje nie tylko jego merytoryczna ocena, a niektórzy dobrzy naukowcy

nie są przez to środowisko wspierani. Myślę, że dla dobra tych dyscyplin jest korzystne, aby oceniali je zagraniczni naukowcy, którzy są pozbawieni emocji towarzyskich i konfliktu interesów naukowych. Jeśli nasi badacze napiszą wniosek po angielsku, tym samym przybliżą się do tego, aby potem również jego wyniki opublikować po angielsku, czyli wyjść do świata ze swoją wiedzą i odkryciami.

Jaka jest sytuacja w zakresie międzynarodowej oceny wniosków?

Na początku ekspertami byli sami Polacy, rozmawialiśmy na panelach po polsku. Dziś dyskutuje się wyłącznie po angielsku, gdyż większość ekspertów jest z zagranicy. Polskie środowisko jest małe, zatem unikamy w ten sposób konfliktu interesów i zależności towarzyskich. Są plusy i minusy tej sytuacji. Ekspertów powołuje dyrektor, ale to koordynatorzy kontaktują się z potencjalnymi panelistami wskazanymi przez członków rady. My nie wiemy, która z tych osób zgodzi się uczestniczyć w ocenie. Staramy się wskazywać badaczy o bardzo dobrym i znaczącym dorobku, zatem projekty NCN oceniają naprawdę dobrzy fachowcy. Ich opinie o projekcie mogą pomóc w jego realizacji oraz wskazać elementy do poprawienia wniosku w przyszłości. Podnosi się zarzut, że korzystając z pomocy zagranicznych ekspertów oddajemy za darmo swoje pomysły. Teoretycznie jest to możliwe, ale tak funkcjonują agencje w najbardziej rozwiniętych naukowo krajach. Poza tym może się tak stać również wtedy, gdy wysyłamy swoje artykuły do redakcji czasopism – nasze pomysły także mogą zostać przejęte. Nie ma idealnego systemu oceny, ale staramy się robić to jak najlepiej i dobrać ekspertów o nieposzlakowanej opinii. Wielu ekspertów angażuje się w nasze sprawy, komentując np. słabości systemu, co pozwala nam inaczej spojrzeć na funkcjonowanie NCN. To niezaplanowana dodatkowa korzyść.

Dlaczego osoby składające wniosek do konkursu OPUS 21 nie zostały wyrażnie powiadomione o tym, że nie będą mogły sła-

dać wniosku (jako kierownicy) w konkursie SONATA BIS 11? Jakie jest uzasadnienie takich ograniczeń?

Prawdopodobnie te osoby nie przeczytały dokładnie Regulaminu. Jest w nim napisane, iż „We wniosku w konkursie SONATA BIS jako kierownika projektu nie można wskazać osoby, która jest wskazana jako kierownik projektu we wniosku złożonym w konkursie OPUS dla którego decyzja dotycząca finansowania nie stała się ostateczna. Nie dotyczy kierowników projektów we wnioskach OPUS LAP”. Około 1/3 wniosków złożonych do SONATY BIS to były wnioski złożone w poprzedzającym konkursie OPUS. W momencie zamknięcia SONATY BIS nie było jeszcze wyników pierwszego etapu OPUSa, więc wnioskodawcy składali wnioski, nie znając jego wyniku i nie mogąc np. uwzględnić uwag recenzentów. Natomiast NCN musiałoby je przekazywać do ponownej oceny. Biorąc pod uwagę bardzo dużą liczbę aplikacji w konkursie SONATA BIS powielaloby to prace koordynatorów i ekspertów znacząco ją zwiększając.

Jak sobie radzicie z recenzjami?

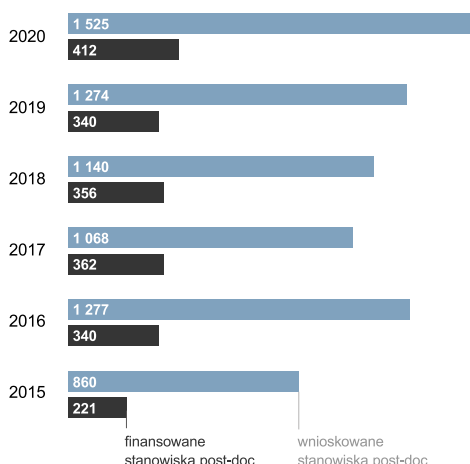
Mamy z tym pewien problem. Zgłaszamy kilkunastu kandydatów na ekspertów w panelu, a tylko nieliczni się zgadzają. Podobnie jest z recenzentami. Aby ułatwić sobie pracę i utrzymać ciągłość funkcjonowania, tworzymy bazę ekspertów. Wiemy, kto odmawia, a kto chętnie z nami współpracuje i rzetelnie wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Zwracamy też uwagę na tych, którzy w rozmaity sposób sprzeniewierzyli się zasadom etycznym. Chciałbym podkreślić rolę koordynatorów dyscyplin w działalności Narodowego Centrum Nauki. Trudno ich znaczenie przecenić. Są kompetentni, rzetelni, świetnie zorganizowani. Potrafią bronić swoich racji, nawet przeciwstawić się członkom paneli, jeśli nie stosują się oni do zasad NCN. To koordynatorzy w dużej mierze decydują o tym, jak NCN praktycznie realizuje postanowienia rady i dyrekcji.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

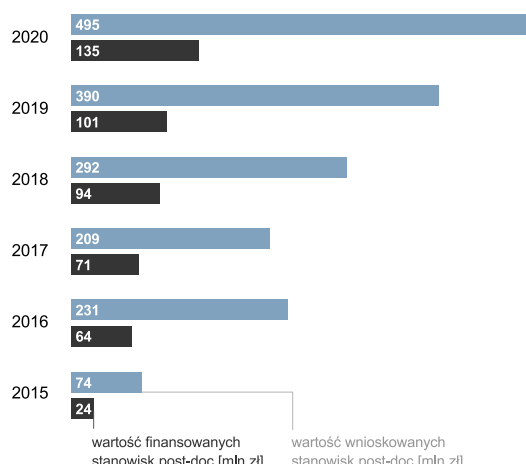


Narodowe Centrum Nauki było pionierem finansowania postdoków. W latach 2015-2020 sfinansowało kwotą prawie 0,5 mld zł ponad 2 tys. takich stanowisk.

Liczba stanowisk post-doc



Wartość stanowisk post-doc



Wykresy przedstawiają liczbę i wartość postdoków finansowanych w grantach NCN.

Czytelnia czasopism

Najważniejsze: ocalić

Zmiany klimatyczne powodują katastrofalne skutki dla naszej planety, alarmują od lat naukowcy. Co możemy zrobić, by tej degradacji przeciwdziałać? Czy w ogóle dysponujemy wystarczającą w celu ich powstrzymania siłą sprawczą? Oczywiście, że tak, odpowiadają pomysłodawcy i członkowie Interdyscyplinarnego Centrum Badań nad Edukacją Humanistyczną Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Wiara w to, że nie tylko nauki ścisłe mogą wnieść znaczący wkład w ratowanie przyszłości Ziemi, sprawia, że w ramach ICBEH realizowanych jest wiele interesujących inicjatyw. Jedną z nich jest projekt *Edukacja humanistyczna V4 dla klimatu. Rozpoznania-dobre praktyki-rekomendacje*.



Osią przedsięwzięcia tworzonego wspólnie z członkami środowiska naukowego oraz dydaktycznego czterech państw Grupy Wyszehradzkiej, Polski, Czech, Słowacji oraz Węgier, jest wypracowanie narzędzi „dla nowoczesnej edukacji humanistycznej odpowiedzialnej za teraźniejszość oraz przyszłość klimatyczną naszej planety”. Naukowcy z ICBEH zachęcają, by ćwiczyć wyobraźnię i współodpowiedzialność. Namawiają do mówienia i myślenia przy użyciu języka, który będzie przełamywał dotychczas obowiązujący, szkodliwy dla Ziemi paradygmat antropocentryczny. Zastąpienie go dużo bardziej przyjaznym paradygmatem biowspólnotowym pozwoli, ich zdaniem, otworzyć się na zupełnie nowe doświadczenia.

Rezygnacja z rywalizacji na rzecz empatycznego traktowania każdego z istniejących bytów, da szansę zbudowania świata sprawiedliwszego, a co za tym idzie bardziej solidarnego, czytamy w „Gazecie Uniwersyteckiej UŚ” (nr 8/2021).

Rezygnacja z rywalizacji na rzecz empatycznego traktowania każdego z istniejących bytów, da szansę zbudowania świata sprawiedliwszego, a co za tym idzie bardziej solidarnego, czytamy w „Gazecie Uniwersyteckiej UŚ” (nr 8/2021).

Przyjemne i użyteczne

Zdalna edukacja. Niektórym to sformułowanie już zawsze kojarzyć się będzie z przedłużającym się czasem panowania koronawirusa. Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzenie, że uczenie on-line jest wykorzystywane wyłącznie z uwagi na ciężki okres pandemii. Zalety tego typu edukacji doceniono już wcześniej, o wadach natomiast w ostatnim czasie. Po miesiącach nauki przed monitorem wiadomo już, że stanowi ona wymagające wyzwanie, zarówno dla studentów, którzy muszą utrzymać uwagę i koncentrację przez wiele godzin, jak i dla wykładowców, pozbawionych możliwości otrzymania potrzebnej informacji zwrotnej. O tym, jak może pomóc przełamać ten impas narzędzie prze-



nie sione ze świata gier, donosi czasopismo Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie „e-mentor” (nr 1/2021).

Wykorzystanie rozwiązania zarezerwowanego na co dzień do zajęć potencjalnie rozrywkowych tylko z pozoru wydawać się może ryzykownym posunięciem. Zalety grywalizacji doceniła już branża sportowa, rekreacyjna, marketingowa i sprzedażowa. Każdy, kto miał do czynienia z tą metodą, dostrzegł jej niezaprzeczalny atut, jakim jest umiejętność pozbawiania wykonywanych czynności niezdolnej otoczki monotonii. W przypadku procesu uczenia się jest to o tyle ważne, że pozwala zniwelować element zmęczenia ilością przekazywanych treści. Wyzwolenie koniecznej do nauki aktywności odbywa się tutaj w sposób przyjemny, a wzbudzona dzięki elementom gry motywacja wewnętrzna skłania uczących się do wykonywania nawet najtrudniejszych zadań.

O skuteczności grywalizacji zaświadczać mają różne teorie psychologiczne. Jej potwierdzenie znaleźć można m.in. w modelu behawioralnym Fogga, hierarchii potrzeb Masłowa czy teorii modyfikacji zachowań Skinnera.

Bezcenne wsparcie

Monitorowanie gospodarki budżetowej szkoły wyższej, opiniowanie jej planu rzeczowo-finansowego, jak też zatwierdzanie sporządzonych sprawozdań, to tylko niektóre z zadań, jakie ma do wypełnienia rada uczelni. Ów organ kolegialny, powołany na mocy ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, dysponuje realnym potencjałem mogącym w znacznym stopniu przyczynić się do poprawy jakości funkcjonowania szkoły wyższej – potwierdza w rozmowie z miesięcznikiem Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego „Gazeta GUMed” (nr 6/2021), przewodniczący RU, Paweł Orłowski.

Wybrany na drugą kadencję interlokutor dzieli się swoimi przemyśleniami na temat dotychczasowych dokonań.



Jak przyznaje, działanie w ramach tej stosunkowo niedługo funkcjonującej struktury jest dla każdego z jej członków ambitnym wyzwaniem. Uczestnictwo w tych pracach pozwala nie tylko wzbogacić posiadane doświadczenie o wiedzę na temat funkcjonowania instytucji tak specyficznej, jaką jest uczelnia medyczna, ale umożliwia także dzielenie się własnymi umiejętnościami.

Najbliższa przyszłość wymagać będzie, zdaniem Orłowskiego, konieczności podjęcia wielu trudnych decyzji. Realne straty, jakie poczyniła w działalności szkół wyższych pandemia Covid-19, wymagają podjęcia koniecznych środków zaradczych i zmodyfikowania dotychczasowej strategii. Rosnące z powodu koronawirusa koszty utrzymania połączone ze spadającymi przychodami, co wynika z niższego wykorzystania infrastruktury oraz obniżenia popytu na płatne studia, generują potrzebę pilnego wypracowania nowych rozwiązań. Przed radą uczelni stoi więc wymagające zadanie znalezienia sposobu, po pierwsze, na racjonalne gospodarowanie posiadanymi środkami, po drugie – na odkrycie źródła dodatkowych przychodów.

Aneta Zawadzka

Wszyscy mają jakieś kompleksy. W minionym trzydziestoleciu polskie elity i media częściej pracowały nad wzbudzeniem i utwierdzeniem w Polakach kompleksów niższości niż nad pobudzeniem dumy z uzyskanych osiągnięć. Dziś, kiedy porzuciliśmy koncepcję społeczeństwa jako bariery modernizacji, nadal obserwujemy kompleks Zachodu w polskiej kulturze (wtórność, naśladownictwo, bezkrytyczność) czy gospodarce. A jak ta sprawa wygląda na polu nauki? Czy mamy kompleks Zachodu w nauce? Jeśli tak, to z czego on wynika, jakie ma podłoże? W czym się przejawia? Czy poczucie niższości wobec Zachodu jest uzasadnione? Jakie niesie konsekwencje? Co mogłoby nas wyprowadzić z tej sytuacji? A może istnieją pozytywne aspekty kompleksu niższości? Jak to było w czasach PRL i co się zmieniło po przewrocie politycznym 1989 roku? Tym sprawom poświęcamy cykl tekstów w „Forum Akademickim”. Chcemy przedstawić naszym Czytelnikom sytuację w różnych dyscyplinach naukowych.

Redakcja

Wojciech Rypniewski

Wychodzimy z kompleksów

Jesteśmy na dobrej drodze, bo wyrastamy z biedy, a багаż kompleksów wyniesiony z PRL-u też z czasem zostawiamy za sobą. Stopniowo odchodzimy od stereotypu Polaka biednego, ale obrotnego, który wszędzie się wkręci.

Z perspektywy ostatnich kilku dziesięcioleci prostą miarą sukcesu polskiej nauki może być stopień, w jakim udało się odrzucić багаż PRL-u i dołączyć do krajów rozwiniętych. Podobnie też oceniamy inne dziedziny życia w Polsce. PRL zostawił nas w trudnej sytuacji materialnej i w bolesnej świadomości problemów, które przeszkadzały nam w tym, „żeby było jak na Zachodzie”. Mogę od razu przejść do konkluzji, że nie powinniśmy mieć kompleksu Zachodu, bo niczego nam nie brakuje, a nasze trudności wynikały ze złych warunków, jakie mieliśmy, żyjąc za „żelazną kurtyną”, pod rządami komuny. Mimo że, obiektywnie rzecz biorąc, nie powinniśmy mieć kompleksów, to lata upokarzającej mizerności zostawiły jakieś piętno, szczególnie w pokoleniu, które doświadczyło tamtych czasów. Przynajmniej takie jest moje zdanie. Natomiast młodzi nie mają już powodu do jakichkolwiek kompleksów, bo ich lata formacyjne przypadają na czas stosunkowo dobrych warunków do rozwoju.

Komuna poczyniła wiele szkód w nauce polskiej, podobnie jak w innych dziedzinach życia w kraju. Psuto standardy i dezintegrowano społeczność akademicką, wprowadzając do środowiska „docentów marcowych” i innych nominatów z nadania partyjnego. Z drugiej strony prześladowano naukowców wybitnych a niewygodnych dla reżimu, jak choćby genialnego Jana Czocharalskiego, o którym pamięć przywracana jest dopiero w ostatnich latach. Wyrzucano z uczelni niepokornych pracowników i studentów. Niektórzy z nich byli jednak przygarniani przez inne placówki. Była to swoista zabawa w kotka i myszkę. Środowisko akademickie próbowało bronić się przed komunistyczną barbarią. Instytucje akademickie były jednak intensywnie infiltrowane przez konfidentów SB. Wiele akt zniszczono, a z tego co przetrwało, większość do dziś leży niezbadana w archiwach IPN. Pobeżny ogląd pokazuje jednak, że w instytucjach naukowych roilo się od tajnych współpracowników (TW) i kontaktów operacyjnych (KO). Ich pseudonimy

pozostają nierozszyfrowane, poza nielicznymi wyjątkami. Środowisko naukowe przeszło do porządku dziennego nad nieprzyjemnymi aspektami przeszłości i tylko nieliczni naukowcy chcą wiedzieć, kto kryje się za pseudonimami esbeckich donosicieli w ich gronie. Ludzie, którym SB pomagała w karierze, bo donosili na swoich kolegów, przeszli gładko do nowej rzeczywistości, ramię w ramię z ofiarami swoich donosów, wychowując młodzież i kształtując przyszłe elity.

Zatem nie dość, że polska społeczność naukowa wyszła z komuny osłabiona, to jeszcze poniosła w przyszłość haniebny balast tamtego reżimu. Problem dotyczy nie tylko środowiska naukowego, ale całości polskich elit. W jednym ze swoich ostatnich wywiadów Zbigniew Herbert powiedział: „Wielu z nas sądziło, że po roku 1989, choć nie zbudujemy od razu raju na ziemi, to przynajmniej otrząśniemy się z dawnego kłamstwa. Nie było to możliwe, ponieważ ludzie elit nie stworzyli języka prawdy”.

Dystans do Zachodu się powiększał

Wielkie dysproporcje w warunkach pracy i w zarobkach sprawiały, że wielu polskich naukowców próbowało wyjechać na Zachód na stałe albo chociaż na trochę. Nawet kilkumiesięczny staż za granicą pozwalał powiększyć osobisty dorobek naukowy na tyle, że po powrocie do kraju można było nawet szybko zdobyć profesurę, nie mówiąc już o tym, że zaoszczędzone „dewizy” pozwalały w kraju na zakup mieszkania albo przynajmniej na remont. W sytuacji, kiedy polskie zarobki wynosiły w przeliczeniu kilkadziesiąt dolarów miesięcznie, warto było, będąc nawet na krótkim stażu na Zachodzie, oszczędzać każdego centa.

Dysproporcje między naszym krajem a Zachodem nie mogły się odbić na samoocenie polskich naukowców. Koledzy, którym udało się „zostać na Zachodzie” i zdobyć

tam stabilną posadę, uważani byli za ludzi sukcesu. Stosunkowo wysoką estymą cieszyli się też ci polscy naukowcy, którzy nawiązali osobiste kontakty z naukowcami na Zachodzie, najlepiej w Ameryce, i byli zapraszani do tamtejszych laboratoriów, dzięki czemu mogli „jeździć na Zachód”. Po powrocie do kraju, przed kolejnym wyjazdem można było uporządkować przywiezione wyniki, przygotować publikację i rozmyślać o przyszłej pracy, bo na miejscu często nie można było prowadzić jakichkolwiek sensownych badań.

Takie warunki kształtowały polskich naukowców w czasach PRL-u i jeszcze trochę później. Do dziś wśród starszego pokolenia bardzo cenione są staże zagraniczne w USA, podczas gdy młodzi naukowcy często wolą odbyć staż „gdzieś nie aż tak daleko”. Nawet w polskim prawie, wśród nazbyt szczegółowych kryteriów oceny habilitantów, znalazł się wymóg odbycia stażu zagranicznego, co oznacza, że pobyt w jakiejkolwiek, nawet trzeciorzędnej uczelni zagranicznej jest bardziej ceniony niż staż nawet na najlepszej polskiej uczelni czy w instytucie naukowym.

Pod rządami komuny dystans do Zachodu powiększał się z biegiem lat i nauka polska wyszła z PRL-u zapóźniona i tragicznie niedofinansowana. Jedno z drugim jest oczywiście ściśle powiązane. Bardziej tradycyjne i mniej kosztochłonne dziedziny nauk doświadczalnych, jak np. chemia, utrzymywały się na wyższym poziomie niż kierunki, które powstały dopiero w okresie powojennym. Natomiast najnowsze technologie, jak na przykład inżynieria genetyczna, która na Zachodzie zrewolucjonizowała badania biologiczne, były w czasach komuny w Polsce praktycznie nieobecne. W archiwach IPN zachowały sięteczki operacyjne polskiego naukowca (<https://inwentarz.ipn.gov.pl/advancedSearch?q=zungo&page=1>), który wyjechał na staż do USA i jako współpracownik służb PRL wykradł z laboratorium swoich amerykańskich gospodarzy zmodyfikowane szczepy bakterii, które w amerykańskich laboratoriach były już wykorzystywane rutynowo, podczas gdy w krajach „demokracji ludowej” nie było jeszcze takich narzędzi. Wykradzione komórki bakteryjne zostały przemycone do Polski „pocztą kaptanką”, a następnie przekazane potajemnie służbom sowieckim. Polscy naukowcy nie mieli z tego żadnego pożytku.

Wracali z nowymi metodami

To było w latach osiemdziesiątych. W latach późniejszych nowe biotechnologie były już dostępne, ale w Polsce przyjmowały się z pewnym opóźnieniem i nierównomiernie. Niektóre grupy badawcze szybko przyswajały nowinki, inne trzymały się swoich wcześniejszych projektów i tradycyjnego instrumentarium. Nowe metody i narzędzia były transferowane do kraju głównie przez młodych badaczy wracających ze staży zagranicznych. Otwierało to zupełnie nowe możliwości wyboru i zgłębiania tematów badawczych. Początkowo problemem był też koszt i dostępność zaawansowanych materiałów do badań. Poznałem wówczas grupę młodych, ambitnych biologów, którzy w swoim laboratorium w Gdańsku identyfikowali i oczyszczali nowe enzymy restrykcyjne, czyli podstawowe narzędzia inżynierii genetycznej. Produkowali je w ilościach komercyjnych, a następnie wymianą barterową pozyskiwali od zachodnich firm biotechnologicznych inne potrzebne im preparaty.

Jeżeli chodzi o informatyzację, to popularne komputery typu PC pojawiły się w Polsce dość wcześnie, podobnie jak Internet, chociaż ze względu na cenę były sprzętem dość luksusowym. Natomiast bardziej wydajne komputery, zwłaszcza te z szybkimi kartami graficznymi, objęte były embargiem i nie wolno ich było wwozić do państw Układu Warszawskiego. Trzeba było różnych pomysłowych zabiegów, żeby taki przestarzały i niechciany już gdzie indziej sprzęt przywieźć do kraju. Dużo rze-

czy wówczas trzeba było „załatwiać”. Słowo „załatwiać” nie ma adekwatnego odpowiednika w języku angielskim i nasza umiejętność „załatwiania” spraw była dowodem polskiej zaradności i sprytu. Z drugiej strony było to upokarzające przed naszymi zachodnimi kolegami, którzy patrzyli na te zabiegi z życzliwością, ale i politowaniem.

Wychodzenie z PRL-owskiej zapaści trwało dwie dekady i związane było z różnymi problemami przejściowymi.

Starszemu pokoleniu naukowców należy oddać to, że przyniosło „kaganek oświaty” przez ciemne dekady komuny. Dzięki temu nasz system uprawiania nauki i kształcenia młodych pokoleń, który od wieków był osadzony w tradycji cywilizacji zachodniej, przetrwał niszczycielskie czasy komunistycznego reżimu. Było więc na czym budować, gdy wróciła możliwość rozwoju.

Trzy obszary

Jeżeli chodzi o budowanie, to trzeba zaznaczyć, jak ważna w nauce jest relacja mistrz-uczeń. Dlatego zarówno pozytywne, jak i mniej pozytywne wzorce przechodzą z pokolenia na pokolenie. Sprawia to, że w czasach przeobrażeń ich tempo jest zróżnicowane, zależnie od inicjatywy wykazywanej przez lokalnych liderów. Także w czasach komuny były jednostki i środowiska mniej albo bardziej wyróżniające się pod względem dynamiki i poziomu uprawianej nauki, ale w czasie od końca PRL-u zróżnicowanie zaszło dalej niż kiedykolwiek. Doprowadziło to do sytuacji, w której mamy już oficjalny, prawnie usankcjonowany podział na uczelnie bardziej i mniej akademickie. Słusznie bądź niesłusznie. Moim zdaniem naukę tworzą naukowcy, nie instytucje, więc najsensowniej jest oceniać indywidualnych badaczy. Natomiast kategoryzowanie instytucji według coraz bardziej zawiłych algorytmów nie prowadzi do niczego sensownego, a tylko do coraz bardziej zawiłych algorytmów.

Nie wdając się w żadne algorytmy, pozwolę sobie zauważyć w nauce polskiej trzy obszary: pierwszy – elitarny i wolny od obciążeń, drugi – dobry, ale obciążony słabościami systemu, i trzeci – niespełniający wymagań współczesnej nauki, ale egzystujący dzięki słabościom systemu.

Pierwszy obszar to instytucje i zespoły badawcze, w których dominują ambitni badacze zdobywający dużą część wciąż bardzo niewielkich funduszy krajowych. Dlatego, mimo ogólnego niedoinwestowania nauki w Polsce, nie brak im pieniędzy na badania, a ich laboratoria są świetnie wyposażone. Wielu tych badaczy pracuje w instytutach naukowych, więc mogą się skupić na badaniach, ale na uczelniach też istnieją grupy badawcze, którym udaje się godzić badania z dydaktyką. Bardzo dobry dotychczasowy dorobek tych naukowców uwiarygadnia ich w oczach recenzentów, którzy decydują o przyznaniu im dalszych funduszy. Te grupy badawcze działają jak dobrze naoliwione mechanizmy. Co najważniejsze, kierownicy takich zakładów promują swoich młodych następców w podobnym duchu. Nie ma tam kwestii jakichkolwiek kompleksów, nie ma mowy o „gonieniu Zachodu”, nie ma tęskiego porównywania się do zagranicy, w ogóle nie ma takich dyskusji, bo po prostu nie ma tam dystansu do rozwiniętych części świata. Może być współpraca z zagranicą, o ile rzeczywiście pasuje do profilu prowadzonych badań.

Tuż za tą elitarną grupą jest spora rzesza naukowców i grup badawczych, którzy radzą sobie dobrze mimo obciążeń systemowych, z jakimi muszą sobie jakoś radzić. Kierownicy tych grup rozumieją potrzebę wykazywania się znaczącym dorobkiem. Wybierają projekty pozwalające osiągać wyniki, które można opublikować w przyzwoitych czasopiśmie. Zwykle udaje im się też zdobywać granty na badania. Trudno wymagać więcej, zważywszy na warunki, w jakich pracują ci badacze, bo

trzeba pamiętać, że większość polskich naukowców to pracownicy uczelni, którzy oprócz pracy badawczej są mocno obciążeni dydaktyką. Można wręcz powiedzieć, że w systemie panującym na polskich uczelniach dydaktyka jest podstawową racją bytu, a badania są na drugim miejscu. Ilość czasu i starań, jakie pracownik uczelni znajduje na pracę badawczą, zależy w dużej mierze od jego osobistej determinacji. Polscy naukowcy pracujący na uczelniach mają prawo czuć, że nie są doceniani jako naukowcy i z zazdrością patrzeć na swoich kolegów po fachu pracujących w instytutach naukowych i na naukowców za granicą, gdzie panuje równowaga między badaniami a dydaktyką.

Obecny stan rzeczy na polskich uczelniach jest skutkiem ich wielkiej ekspansji w okresie po PRL-u. Od razu należy zaznaczyć, że był to rozwój ilościowy, nie jakościowy. Celem i chlubą kolejnych ministrów nauki i szkolnictwa wyższego było zwiększanie wskaźników procentowych młodzieży na studiach. Zwiększano dotacje dla uczelni, przy czym ich wysokość zależała od liczby studentów. Uczelnie zwiększały nabór, bo „pieniądze szły za studentem”. Powstały też liczne prywatne uczelnie, które chętnie przyjmowały na studia płatne kandydatów, którzy nie dostali się na studia dzienne na uczelniach państwowych. Państwowe uczelnie też postanowiły walczyć o kandydatów, którzy nie dostali się u nich na studia dzienne, więc równoległe do studiów dziennych rozszerzały studia zaoczne. Aby zwiększać nabór w tak dużym stopniu, konieczne było obniżenie wymagań stawianych kandydatom, aby każdy chętny, byle zdał maturę, mógł znaleźć sobie miejsca na jakiejś uczelni. Tak też się stało. Zniesiono egzaminy wstępne na studia, a następnie obniżono wymagania stawiane maturzystom. Wystarczy uzyskać 30% punktów, aby zdać maturę. W szkole taki procent zwykle oznacza ocenę niedostateczną. Liczba nauczycieli akademickich nie zwiększyła się odpowiednio do rosnącej liczby stu-

dentów. Musiało się więc zwiększyć obciążenie dydaktyką. Pojawiła się też patologiczna w swej skali wieloletowość nauczycieli akademickich, wynikająca z tego, że prywatne uczelnie potrzebowały na swojej „liście płac” określonej liczby profesorów, aby móc nadawać stopnie naukowe.

Ta bezprecedensowa inflacja szkolnictwa wyższego nie mogła nie odbić się na standardach akademickich, na społecznej ocenie szkolnictwa wyższego, a zapewne i na samoocenie pracowników akademickich. Z jednej strony wzrosły płace pracowników naukowych i pojawiły się możliwości dorobienia sobie na dodatkowych, często mało wymagających etatach. Drugą stroną medalu było przesunięcie nacisku z badań na dydaktykę, przy jednoczesnym obniżeniu standardów akademickich. Skoro główną racją bytu uczelni stała się masowa produkcja dyplomantów, trudno, żeby nie odbiło się to na prowadzonych tam badaniach. Zapewne odbiło się to też na morale naukowców i estymie, jaką darzą swoje instytucje. Niską samoocenę potwierdzają międzynarodowe rankingi, w których polskie uczelnie zajmują dalekie miejsca. Najlepsze pojawiają się w czwartej czy piątej setce. Zupełnie pomijane w tych doniesieniach jest stosunkowo wysokie miejsce instytutów PAN, które w rankingach ujęte są zbiorczo. PAN figuruje kilkaset miejsc przed najlepszymi polskimi uczelniami. Stosunkowo niska pozycja polskich uczelni w rankingach światowych nie znaczy, że polscy naukowcy są w jakiś sposób gorsi od zagranicznych kolegów. Pokazuje tylko, że rezultaty zależą od celów jakie sobie stawiamy. Jeżeli stawiamy na masową dydaktykę, to skutkiem będą miliony dyplomantów raczej niż przełomowe odkrycia naukowe.

Spokojne przystanie i koła ratunkowe

Trzeci, ostatni, obszar polskiej nauki, na jaki chcę zwrócić uwagę, jest problematyczny. To ta część środowiska, która nie



Rys. Sławomir Majal

spełnia wymagań współczesnej nauki. Wychodzenie z PRL-owskiej mizerności wymagało przyspieszenia i zmian w sposobie działania. Od początku można było obserwować różne prędkości wychodzenia z bloków startowych. Różnice były widoczne na poziomie indywidualnym, na poziomie grup badawczych i w skali całych instytucji. W ostatniej kategoryzacji 15% wydziałów uczelnianych i instytutów badawczych (czyli tych rządowych, nie PAN-owskich) zostało sklasyfikowanych w kategorii C. Oznacza to obciążenie funduszy statutowych, co stawia te instytucje w jeszcze gorszej sytuacji, przypominającej wegetację. Ze względu na duże zróżnicowanie poziomów rządzący dzielą uczelnie na bardziej i mniej akademickie, zależnie od wyników kategoryzacji. Słysz się też o „nadmiernym rozproszeniu” i konieczności łączenia uczelni i niektórych instytutów, czy o potrzebie reform wciąż niezreformowanych instytutów badawczych. Są to jednak działania dość nieśmiało i odkładane w czasie. Polacy bardzo nie lubią rozwiązań radykalnych. Nie lubią kontrowersji i unikają sytuacji, gdy jedni wypadają lepiej, a inni gorzej. Wołają „święty spokój”. Także na poziomie lokalnym osoby stojące na czele instytucji naukowych niechętnie wyciągają konsekwencje wobec pracowników niewykazujących się twórczą aktywnością. Szukają dla nich „spokojnej przystani”, na przykład na stanowiskach technicznych, niepodlegających ocenie pod kątem aktywności naukowej.

Swoistym kołem ratunkowym dla najmniej twórczej części polskiego środowiska naukowego jest polski rynek wydawnictw naukowych, obfitujący w czasopisma, które chętnie publikują prace niekwalifikujące się do publikacji gdziekolwiek indziej. Zaznaczam, że piszę o naukach ścisłych i przyrodniczych, które charakteryzują się tym, że są uniwersalne, podczas gdy nauki humanistyczne, jak polonistyka, mogą mieć wymiar lokalny. Humanistyka wymaga osobnego podejścia. Jeżeli jednak chodzi o nauki uniwersalne, to polski biolog może równie łatwo dyskutować z biologiem argentyńskim czy chińskim, jak ze swoim polskim kolegą. W tej dyskusji używa języka uniwersalnego, jakim dziś jest angielski. Rynek wydawniczy dla nauk ścisłych i przyrodniczych uległ globalizacji. Zatem, o ile nie trudno zrozumieć, dlaczego polonista publikuje w czasopiśmie o zasięgu krajowym, to nie ma powodu, dlaczego biochemik nie miałby publikować w czasopiśmie o zasięgu globalnym. Miarą osiągnięć badacza jest to, czy potrafi przebić się z wynikami badań do renomowanych czasopism międzynarodowych.

Innym ważnym testem jest to, czy i jak często jego publikacje są cytowane przez innych autorów. W czasach PRL-u problemy z prowadzeniem badań w kraju sprawiały, że trudno było badaczom krajowym publikować w prasie międzynarodowej. Często więc publikowano w czasopiśmie krajowym o znikomym zasięgu, gdzie można było publikować nawet bez recenzji. Dziś nadal mamy wiele takich czasopism i autorów publikujących tam artykuły. Czasopisma te nie są notowane w międzynarodowych indeksach czasopism naukowych, a zawarte w nich artykuły nie są zauważane na świecie. Za to ministerstwo dowartościowuje wiele z nich tzw. punktami ministerialnymi. Służą to sporej rzeszy naukowców, dla których Zachód ze swymi międzynarodowymi czasopismami pozostaje poza zasięgiem. Mogą za to ciulać „punkty ministerialne”, publikując „u kolegi”. Nie muszą nawet wiele badać, bo zawsze można pisać „prace przeglądowe”. Najbardziej produktywni wśród takich autorów potrafią przegonić w punktacji kolegów prowadzących ambitne badania i publikujących w renomowanych czasopiśmie międzynarodowych.

Pływanie w kisieliu

Mamy zatem dwa bieguny. Z jednej strony naukowców, którzy wykorzystują możliwości konkurowania z najlepszymi i robią to z powodzeniem. Z drugiej strony mamy tych, któ-

rzy wyzwania współczesnej nauki omijają raczej niż je podejmują. Jeżeli ktokolwiek miałby czuć kompleksy wobec Zachodu, to właśnie oni. Pomiędzy tymi biegunami jest zdecydowana większość polskiej nauki. Jak napisałem powyżej, jest to ta część, która próbuje radzić sobie mimo obciążenia systemowych. Znany publicysta porównał taką sytuację do pływania w kisieliu. W kisieliu da się pływać, ale każdy ruch wymaga większego wysiłku niż pływanie w wodzie. To w tym obszarze tkwi największy potencjał rozwojowy polskiej nauki. Biorąc pod uwagę suche liczby, w porównaniu z Zachodem wypadamy nie najłepiej, ale żeby takie porównanie miało sens, musimy uwzględnić warunki, w jakich pracują naukowcy, zwłaszcza na uczelniach, oraz środki, jakimi dysponują naukowcy w Polsce i na Zachodzie. Należy wziąć pod uwagę, że inwestujemy w naukę dużo mniej nie tylko niż kraje rozwinięte, ale także mniej niż kraje na porównywalnym do nas etapie rozwoju. Na badania przeznaczamy niewiele więcej niż czterokrotnie mniejsze od nas Czechy (Według danych Banku Światowego Polska przeznaczona na R&D 0,94% PKB, a Czechy 2,0%. PKB Polski szacuje się na 596 mld USD, a Czech na 251 mld USD – dane z 2019 roku. Zatem Polska przeznaczona na R&D niespełnia 6 mld USD, a Czechy 5 mld USD). Jeżeli weźmiemy pod uwagę wysokość naszych grantów, można nawet dojść do wniosku, że polscy naukowcy w większości bardzo dobrze gospodarują dostępnymi środkami. Krytykom można powiedzieć, że tak krawiec kraje, jak materii staje.

Czy mamy powód do kompleksów? Wręcz przeciwnie: powinniśmy być bardziej asertywni. A mamy w tym zakresie jeszcze spore zaległości. Od czasu do czasu ogólnopolskie media donoszą z dumą, że polscy naukowcy wzięli udział w jakichś przełomowych badaniach. Najczęściej oznacza to, że byli uczestnikami programu kierowanego przez kogoś z zagranicy. Chciałbym częściej słyszeć, że to polscy naukowcy kierują międzynarodowym zespołem badaczy. Czy dobrze wykorzystujemy swoje szanse ku temu? Chyba jeszcze nie. Przypomina się historia polskich przyrodników (mniejsza o szczegóły), którzy natrafili na sensacyjne znalezisko na terenie Polski, po czym zwrócili się do zagranicznego eksperta, żeby został autorem korespondencyjnym ich publikacji. Praca ukazała się w „Nature”, z czego należy się cieszyć. Ale dlaczego ci polscy badacze nie opublikowali wyników samodzielnie? Może zabrakło odwagi, może był inny powód.

W każdym razie wypada życzyć polskim naukowcom, aby śmiało i skutecznie zajmowali należne im miejsce w nauce światowej. Jesteśmy na dobrej drodze, bo wyrastamy z biedy, a bagaż kompleksów wyniesiony z PRL-u też z czasem zostawiamy za sobą. Stopniowo odchodzimy od stereotypu Polaka biednego, ale obrotnego, który wszędzie się wkręci. Po co więc płacić składki członkowskie w międzynarodowych instytucjach naukowych, skoro Polacy i tak są tam obecni i jako sobie radzą? Bo jesteśmy zaradni, bo nas cenią, bo nas lubią. Po co budować wielkoskalową infrastrukturę badawczą w Polsce, skoro można pojechać do Berlina, do Hamburga czy do Lund, a tam pozwól nam skorzystać z ich aparatury za darmo? Na szczęście chyba porzucamy już takie podejście, a państwo polskie coraz lepiej wspiera polskich naukowców pracujących za granicą. Od 2012 roku Polska jest pełnopłatnym członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), od 2019 roku jest członkiem Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej (EMBL). I zbudowaliśmy nasz własny, polski synchrotron, mimo początkowo licznych głosów: „Po co synchrotron w Krakowie, skoro jest w Berlinie?”

*Prof. dr hab. Wojciech Rypniewski, biochemik, biofizyk,
Instytut Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu*

Nie kompleks, tylko warsztat i praca

Kwestia relatywnie niższej rozpoznawalności międzynarodowej czy mniejszej „produkcji” naukowej to nie wynik niższości czy kompleksów, lecz modeli nauki w świecie zachodnim działających na zasadach biznesowych o dużych barierach wejścia, a także braku technicznej wiedzy jak włączyć się w te modele.

Czy gdyby Karol Adamiecki wygłaszał i publikował swoje oparte na obserwacji praktyki opracowania w języku angielskim, a nie polskim i rosyjskim, świat uczyłby się dziś – obok zasad Fayola – o zasadach Adamieckiego, a wykresy Ganta zwane byłyby wykresami Adamieckiego? Czy gdyby Tadeusz Kotarbiński opublikował *Traktat o dobrej robocie* jako podręcznik organizacji i zarządzania od razu w języku angielskim, to byłaby to najbardziej cytowana pozycja; lub gdyby założył w 1955 roku i redagował „Journal of Good Work”, czy byłoby to dziś wybitne czasopismo za 200 punktów z Impact Factor co najmniej 9,0? Czy wreszcie, gdyby Jan Zieleniewski napisał swój artykuł na temat efektywności badań naukowych z innymi autorami z USA, Finlandii, to byłby on opublikowany w „Academy of Management Journal”? I czy to wszystko miałyby znaczenie dla wagi odkryć dokonanych przez tych naukowców?

W świecie wiadomo o wielu polskich badaczach z obszaru organizacji pracy, nauk o zarządzaniu, filozofii zarządzania czy naukoznawstwa. Czasem można jednak odnieść wrażenie, że to mistrzowie poprzednich pokoleń, zaś tylko niewielkiemu odsetkowi współczesnej kadry akademickiej udaje się z rozmachem przekuć badania naukowe w sukces na miarę tego, czego dokonuje świat anglosaski. Mieliliśmy Adamieckiego, a tymczasem świat dziś o nim nie wspomina tak często jak o Fayolu czy Gantcie, mimo iż był jednym z nich, ważnym twórcą nauki o organizacji i kierowaniu. Rodzi się pytanie, dlaczego polskie dokonania, mimo iż często co najmniej tej samej rangi jak te, które zostały opracowane na Zachodzie, nie zawsze mogą się tam przebić i skąd bierze się kompleks anglosaskich uczelni i amerykańskich naukowców. W niniejszej refleksji dotyczącej kompleksów w polskiej nauce, za zaproszenie do której dziękuję redakcji „Forum Akademickiego”, podzielę się spostrzeżeniami wskazującymi, że kwestia relatywnie niższej rozpoznawalności międzynarodowej czy mniejszej „produkcji” naukowej to nie wynik niższości czy kompleksów, lecz modeli nauki w świecie zachodnim działających na zasadach biznesowych o dużych barierach wejścia, a także braku technicznej wiedzy jak włączyć się w te modele, przy relatywnie niższym instytu-

cjonalnym wsparciu i finansowaniu oraz nieciągłej zmianie systemu uprawiania nauki w Polsce.

Czy polska nauka jest zakompleksiona?

Kompleks w potocznym rozumieniu uznaje się za zaburzenie, a także określenie niemiłych bądź wstydliwych tematów, których poruszenie wywołuje wstyd, lęk bądź niepokój ([https://pl.wikipedia.org/wiki/Kompleks_\(psychologia\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Kompleks_(psychologia))). Jeżeli za wstydlive tematy uznaje się kwestie publikowania w języku angielskim, publikowania w indeksowanych czasopismach, kierowania grantami, współpracy międzynarodowej, dostępu do konkurencyjnych dużych grantów, odsetka kadry akademickiej odpowiedzialnej za większość produkcji naukowej, liczby publikacji w indeksowanych bazach w porównaniu z innymi krajami w Europie, to faktycznie może narodzić się pewna mało optymistyczna refleksja. Okazuje się, że w Polsce 10% najbardziej produktywnych autorów odpowiada za połowę naukowego dorobku, podczas gdy np. w Norwegii jest to 20% kadry, zaś we Włoszech 12% autorów odpowiada za ponad jedną trzecią całej produkcji naukowej (M. Kwiek: *Kim są najbardziej produktywni polscy naukowcy? Produktowność badawcza w nieodróżnionym i niekonkurencyjnym systemie nauki*, „Nauka i Szkolnictwo Wyższe” 1–2(53–54)/2019). Dodatkowo, nauki społeczne, w tym nauki o zarządzaniu i jakości, postrzegane są jako mniej konkurencyjna dyscyplina z ograniczonym dostępem do konkurencyjnego finansowania grantowego. Jest to też dyscyplina relatywnie mniej skuteczna na tle innych, jeśli chodzi o międzynarodową widoczność (http://ekulczycki.pl/warsztat_badacza/miedzynarodowa-widoczosc-prac-polskich-naukowcow-wszystkie-dyscypliny). Nie zawsze jest to kwestia zaniechania. Po prostu nie każdy ośrodek akademicki czy jednostka naukowa dysponuje finansami, aby wysłać pracownika na konferencję międzynarodową; nie każdy pracownik jest w stanie pozyskać i kierować dobrym grantem i nie każdy zna na tyle angielski, aby samodzielnie napisać tekst. Nie każdy też wie, że przetłumaczony z języka polskiego artykuł bez rzetelnych badań naukowych nie dostanie się do renomowanego czasopisma z listy.

Z drugiej jednak strony warto przyrzeć się optymistycznej dynamice zmian. Naukowcy w Polsce, mimo iż przez ostatnie trzydzieści lat (a pomijając okres po transformacji – siedemdziesiąt lat) funkcjonowali w innych warunkach niż badacze na świecie, stoją obecnie przed podobnymi wymaganiami co ich koleżanki i koledzy z innych krajów. Podczas gdy np. w Niemczech zmiana systemu uprawiania nauki trwała prawie dwadzieścia lat, w Polsce ta zmiana jest nieciągła i radykalna w niektórych punktach czasu. Mimo innego punktu startowego budujemy międzynarodowe zespoły, publikujemy za granicą, a obserwując wskaźnik research performance, widzimy wyraźnie, że przy znacząco niższych nakładach na naukę polska kadra akademicka publikuje proporcjonalnie więcej niż kadra w innych krajach zachodnich. Na tle Europy Polska – mimo, iż osiągnęła tylko połowę wartości oczekiwanego wskaźnika publikacyjnego – wypadła już całkiem nieźle kilka lat temu (*Research performance analysis for the Polish FNP, funding schemes, Poland and benchmark countries 2002-2012/13*. CWTS, Leiden University, 2015, s. 34). Współpraca międzynarodowa przejawiała się w przypadku 35,5% publikacji, podczas gdy w pozostałych krajach europejskich było to 36,1%. Co więcej, można zauważyć, że odsetek kadry akademickiej niepublikującej w czasopiśmie indeksowanych w ostatniej dekadzie spada (M. Kwiek, *Kim są...*). Obserwując dokonania osób z obszaru nauk o zarządzaniu, wyraźnie widzimy wzrost liczby książek publikowanych w języku angielskim w wydawnictwach zachodnich, wzrost publikacji w czasopiśmie zagranicznych ze „średniej lub wyższej półki”, udział w międzynarodowych zespołach badawczych czy europejskich projektach naukowych. Już teraz jest to powód do dumy, a jeżeli ten trend utrzyma się, to problem kompleksów zniknie.

Kiedy ponad dwadzieścia lat temu, po roku pracy na stanowisku asystenta, tekst autorstwa mojego i mojego zmarłego mentora prof. Mariusza Bratnickiego został przyjęty na konferencję *Strategic Management Society*, w naszej katedrze zapanało święto. Potem były wystąpienia na innych międzynarodowych konferencjach: EURAM, RENT, Academy of Management. Prezentowaliśmy ciekawe badania inicjowane w katedrze przez Profesora; nie dało się wówczas odczuć jakiegось kompleksu. Owszem wówczas Polska, będąca kilkanaście lat po transformacji, u progu wejścia do Unii Europejskiej, budziła ciekawość i zainteresowanie. Po prezentacjach konferencyjnych pytano nas o metody badawcze, o dobór próby czy sposób konstrukcji kwestionariuszy, ale w kulisach bardziej ciekawiło to, jak jest w Polsce, a później – co się zmieniło po wstąpieniu do UE. Udało się nam wówczas zdiagnozować model funkcjonowania zachodniej nauki. Duże towarzystwa, organizujące wielkie światowe konferencje za równie duże składki i opłaty, zapraszające porywających mówców i wielkie nazwiska. Wszystko z rozmachem. Do tego własne periodyki, w których publikowane były tylko najlepsze teksty z konferencji, a pozostali prelegenci dzięki pytaniom i uwagom po prezentacjach mogli ulepszyć tekst i opublikować go w czasopiśmie z „niższej półki”. Udało się też zaobserwować model funkcjonowania naukowców przed profesurą kontraktową: praktycznie ustawiczna „produkcja” i skuteczne publikowanie. W wydaniu zachodnim nauka to nie dywagacje na tematy terminologiczne, tak często obecne na polskich konferencjach, to nie dyskusja o różnicy między zarządzaniem a kierowaniem, ale zdobywanie środków na badania, prowadzenie ich oraz publikowanie uzyskanych wyników przy współpracy z innymi oraz autentyczne sprzężenie z praktyką gospodarczą. Wreszcie udało się też zaobserwować środowisko badaczy z innych krajów, m.in. z Finlandii, którzy zachęcani przez krajowych decydentów i własne uczelnie w relatywnie krótkim czasie opanowali techniczny warsztat produkcji nauko-

wej. Dobrze władali angielskim, wiedzieli, jak prowadzić konferencyjny networking, aby zebrać grupę pasjonatów z innych krajów, zorganizować się i wysłać po konferencji tekst do konkretnego „dżurnala”. My wtedy tak nie potrafiliśmy i faktycznie czuliśmy się nieco zakompleksieni, pomimo pięknie przedstawianych konferencyjnych prezentacji.

Okazuje się więc, że skuteczna produkcja naukowa to nie kwestia kompleksu, ale warsztatu i umiejętności, które zdobywa się, obcując ze środowiskiem międzynarodowym. Istnieje na ten temat sporo publikacji, które precyzyjnie przypatrują się czynnikom wpływającym na dostrzeganie i cytowanie czyjś dorobku naukowego. Przykładowo, niedawno przeprowadzone badania sugerują, że istotne znaczenie mają: (a) wybór czasopisma o wysokim impact factor, (b) finansowanie prowadzonych badań naukowych, (c) obszar, w jakim podejmuje się badania, (d) liczba krajów, z jakich pochodzą autorzy tekstu, zaś w mniejszym stopniu (e) prestiż instytucji czy (f) długość streszczenia i liczba pozycji literatury (F. Didegah, T.D. Bowman, K. Holmberg, 2018, *On the differences between citations and altmetrics: An investigation of factors driving altmetrics versus citations for Finnish articles*, „Journal of the Association for Information Science and Technology”, nr 69, s. 832-843). Wyniki te nie zaskakują, ale potwierdzają to, co intuicyjnie można przeczuwać, że opanowanie – obok niezbędnego pomysłu na temat badawczy i merytorycznej wiedzy – technicznych zasad, które zna kadra w innych krajach, a których my się jeszcze ciągle uczymy, jest podstawą, aby promować na świecie dorobek polskich badaczy. Wspomniana wcześniej dynamika zmian pokazuje jednak, że jesteśmy pojętnymi uczniami.

Czy powinniśmy bezkrytycznie przyjmować wszystko to, co oferuje model anglosaski? Oczywiście nie. Nie można zaniedbywać rynku krajowego, bo to nasz „podstawowy rynek”. Nie powinno się omijać dobrych krajowych czasopism tylko dlatego, że nie oferują wystarczającej liczby punktów lub nie mają odpowiedniej siły przebicia; nie można przestać pisać książek po polsku. Jednak nie można też „stawać okoniem” wobec tego, co dzieje się na świecie i czekać aż pociąg odjedzie. Skoro Finowie mogli się przestawić i publikują wyniki swoich badań na forum światowym, możemy i my. System awansowania w Polsce – rozwinięty w uniwersytetach pruskich, spopularyzowany w Niemczech i obowiązujący z modyfikacją radziecką w Polsce od lat pięćdziesiątych – zakładał, że po doktoracie, a przed profesurą, na podstawie znacznego dorobku i przedstawienia rozprawy, można było uzyskać samodzielność naukową, wyrażaną stopniem doktora habilitowanego. W praktyce często oznaczało to konieczność zgromadzenia po doktoracie pewnej powszechnie przyjętej w środowisku liczby artykułów, napisanie rozprawy habilitacyjnej i przejście przez wymagające kolokwium będące egzaminem z dyscypliny. Do profesury „belwederkiej” ważne było zgromadzenie liczby artykułów większej niż przy habilitacji i opublikowanie tzw. książki profesorskiej. W świecie anglosaskim między doktoratem a kontraktową profesurą nie ma stopni pośrednich, a w związku z tym i publikacji awansowych. Tam doktorat – przy którym opanowuje się warsztat naukowy i metodykę badawczą – jest potwierdzeniem samodzielności i bramą do nauki. Potem już tylko należy stale publikować, aby się utrzymywać na rynku (publish or perish). Nawet utytułowani profesorowie wciąż publikują, choć zależy to oczywiście od ich pasji, instytucji zatrudniającej i kontraktu.

Nowe regulacje awansowe w Polsce sięgają po rozwiązania anglosaskie, wymagając w sposób formalny bądź nieformalny publikacji międzynarodowych, kierowania grantami pozyskanymi w konkursach czy przyzwoitych wartości indeksu Hirscha odzwierciedlających rozpoznawalność naukowca w środowisku. W miejsce znacznego przekroczenia dorobku przy profe-

surze pojawia się wymóg wybitnych osiągnięć. Idea jest słuszna, bo z jednej strony motywuje do systematycznej pracy, konkurowania i starania się o wyniki. Z drugiej strony powoduje pewną korporatyzację nauki z presją na efektywność i pracę na wysokich obrotach do emerytury, przez co dyskusja akademicka zastąpiona zostaje punktami, indeksami i parametrami. Jakość publikacji w niektórych przypadkach spada, bo tyle samo punktów oferuje dobre czasopismo, do którego trudno się dostać, jak i czasopismo na granicy drapieżności, w którym jest nieco łatwiej i szybciej, a punkty dla jednostki zostaną.

Systemowe kierunki zmian, czyli jak pozbyć się kompleksów

Co w tej sytuacji można zrobić, aby pozbyć się poczucia niższości? Daleko mi do kaznodziejczych rekomendacji, bo sam systematycznie odpowiadam na wymagające recenzje, poprawiam kilka razy teksty, z których później jeden na cztery zostaje przyjęty do publikacji (Jak to uroczu ujął jeden z profesorów zajmujących się przedsiębiorczością: „ciągle się trzeba użerać z rewjulerami, a potem często nic z tego”). Jednak na podstawie własnych obserwacji, a także wskazań innych można pokusić się o pewne podsumowania. Z jednej strony można by spróbować stworzyć „polski model” od nowa, z własnymi silnymi instytucjami, dofinansowanymi periodykami i organizowanymi w kraju międzynarodowymi konferencjami, na których światowa czołówka będzie chciała się rokrocznie pojawiać i zrzeszać śmietankę światowych nauk o zarządzaniu. Zbudowanie takiego modelu alternatywnego do europejskiego czy anglosaskiego pochłonęłoby jednak wiele lat pracy i wiele środków. Z drugiej strony należy dalej włączać się w model anglosaski i od tego raczej nie uciekniemy, jeśli chcemy, aby wyniki polskich badań były dostrzegalne w świecie nauki. Wydaje się, że sensowna jest ścieżka łącząca oba rozwiązania. Należy stworzyć takie otoczenie prawne, instytucjonalne i finansowe, które pozwoli kadrze akademickiej wykorzystać potencjał badawczy, jeszcze bardziej umożliwi korzystanie ze światowych relacji, tworzenie międzynarodowych zespołów i publikowanie za granicą. Ale należy też rozwijać istniejącą od wielu lat bazę krajową z bogatym dorobkiem i tradycjami.

Co można konkretnie zrobić, aby polskie nauki o zarządzaniu wyzbyły się „kompleksu”, a więc tego niepokoju wynikającego z porównania z innymi w zakresie grantów, liczby publikacji, finansowania badań? Po pierwsze, można pomyśleć o zorganizowaniu – na wzór *Academy of Management*, *European Academy of Management*, *British Academy of Management* („na wzór” nie oznacza kompleksu, lecz podpatrywanie dobrych praktyk) – dorocznej, wielkiej, drogiej, wystawnej, a przede wszystkim merytorycznie wspaniałej konferencji (*Polish Academy of Management*), z zaproszonymi do sesji plenarnej naukowcami ze światowej czołówki, miejscem na międzynarodowy networking i konkretnymi możliwościami publikacyjnymi po zakończeniu wydarzenia. Na rynku krajowym taką największą i integrującą w sposób fantastyczny środowisko zarządzania konferencją jest Szkoła Letnia Zarządzania, organizowana co dwa lata pod patronatem Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania Polskiej Akademii Nauk. Międzynarodowa odsłona konferencji mogłaby być równie atrakcyjna.

Po drugie, należy rozważyć zainwestowanie w wydawane w Polsce anglojęzyczne czasopismo z obszaru nauk o zarządzaniu, które będzie indeksowane i cytowane, a po nabraniu odpowiednich parametrów stanie się polskim

flagowcem w dyscyplinie nauk o zarządzaniu. To wymaga ogromnej pracy i nakładów, a także skoordynowania działań na poziomie ponadinstytucjonalnym. Chińczykom z wydawnictwa MDPI udało się wypromować tak dużą liczbę czasopism z różnych dyscyplin niekoniecznie dlatego, że są lepsi, ale dlatego, że „rozgryźli” system naukometryczny zachodnich czasopism, rozbili go i nie zawahali się sownie zainwestować, aby stworzyć atrakcyjną alternatywę: czasopisma o podobnych wskaźnikach, oferujące szybkie publikacje, praktycznie nieograniczone, jeśli chodzi o przyrost tekstów. Teraz inwestycja zwraca się, gdy inni płacą za artykuły w otwartym dostępie publikowane w iście ognistym tempie (W roku 2020 w czasopiśmie „Sustainability” opublikowano 10 570 artykułów, a szacowane przychody brutto z tytułu opłat publikacyjnych wyniosły prawie 22 mln dolarów). Pomijam tu kwestię uczciwości i rodzące się wątpliwości dotyczące sposobu włączenia się do systemu. Faktem pozostaje to, że dobre, punktowane, rozpoznawalne czasopismo międzynarodowe z zarządzania wydawane w Polsce, umieszczone w dobrych bazach i z rozwijającym wpływem, pozwoliłoby szybciej wejść na drogę do pożądanego modelu. Czesi, Litwini, Estończycy i inni robią to z powodzeniem.

Po trzecie, konieczne jest wsparcie dla już wydawanych w Polsce czasopism z wieloletnią tradycją, często ukazują-



cych się dzięki wielkiemu wysiłkowi towarzystw naukowych, pasjonatów, uczelni czy samorządów. Przyznanie im niższej punktacji powoduje, że naukowcy w ramach punktozy uciekają często do innych wydawnictw, w tym zagranicznych, i tam kierują strumień pieniędzy badawczego. Kto przeszedł przez system recenzyjny takich czasopism jak „Przegląd Organizacji”, „E-mentor”, „Problemy zarządzania” czy „Problemy jakości”, wie, że jest on wymagający. Dobrze się stało, że po ostatniej „waloryzacji” punktów te wydawnictwa mają obecnie 40 pkt. Potrzebują jednak co najmniej 70 pkt., aby być atrakcyjnymi dla autorów. „Organizacja i Kierowanie”, najstarsze czasopismo w Polsce z obszaru zarządzania, obecnie praktycznie nie ma zgłoszeń artykułów, ze względu na wycenę 5 punktów.

A co mogą zrobić młodzi adepci, aby „wejść w system”? Po pierwsze, przegląd artykułów z czołówki czasopism polskich i zagranicznych za ostatnie dwa lata pozwala na wyszukanie w tytułach artykułów słów kluczowych i rozeznanie aktualnych na świecie luk badawczych, które mogą być podstawą do szukania interesujących poznawczo tematów, prowadzenia badań i rozwijania własnych publikacji. Czytając angielskie artykuły, warto podpatrywać ich strukturę, zawartość poszczególnych sekcji czy nawet konkretne sformułowania. Warto odejść od pisanja ogólnych, przyczynkarskich tekstów zaczynających się od „Współczesne przedsiębiorstwa funkcjonują w turbulent-

nym otoczeniu”. Po drugie, warto wyjść poza mury własnej jednostki i zorganizować międzykatedralny, międzyuczelniany, a najlepiej międzynarodowy zespół, w ramach którego zostanie przygotowany artykuł naukowy prezentujący badania. Na Uniwersytecie Ekonomicznym w Katowicach zainicjowano w tym roku „Beyond Barriers” – konkurs na interdyscyplinarne projekty badawcze z zespołami badawczymi budowanymi z osób o zróżnicowanym doświadczeniu, dzięki czemu osoby mniej doświadczone mogą uczyć się od posiadających już warsztat publikacyjny i know-how. Po trzecie, nie należy żałować środków na weryfikację językową artykułów wysyłanych za granicę (proofreading). W przeciwnym razie artykuł będzie napisany w języku angielskim, ale nie po angielsku. Po czwarte, warto wysłać teksty do czasopism z półki wyższej. Być może zostaną odrzucone, jeżeli zaś nie, można otrzymać konstruktywne recenzje pomagające w udoskonaleniu tekstu. Podobną funkcję spełniają zresztą konferencje międzynarodowe, na których uwagi i pytania po prezentacji mogą skierować wysiłek badawczy na odpowiednie tory. Po korektach można wysłać tekst do czasopism o niższych wskaźnikach.

Po piąte, warto przyglądać się, jak robią to inni. Michael Hitt, znany badacz zarządzania strategicznego, w samym tylko 2021 roku opublikował już jedną książkę w Oxford University Press i dziewięć artykułów w czasopismach ze światowej czołówki, m.in. „Academy of Management Perspectives”, „Leadership Quarterly” (na podstawie profilu Google Scholar, stan na dzień 23.08.2021 r.). Sloty jak się patrzy. Takie informacje mogą zrodzić kompleksy. Pobieźna analiza publikacji wskazuje, że (a) wszystkie są dziełem zespołu, często doktorantów profesora, którzy zapewne wykonują kawał operacyjnej roboty, np. przeglądu teoretycznego czy obliczeń statystycznych; (b) każdy artykuł publikowany jest z innego projektu w innym zespole badawczym, na inny temat i w sztytm na miarę do tematu czasopiśmie (o koronawirusie w „Journal of World Business”, o firmach rodzinnych w „Journal of Family Business Strategy”), (c) teksty przygotowywane są ustawicznie, w różnych zespołach badawczych, w regularnym tempie i „na zakładkę”; nie ma miejsca na luki w produktywności.

Podsumowanie

Czy przez polską naukę świat może wpaść w kompleksy? Na pewno tak się dzieje w przypadku nauk ścisłych i przyrodniczych, medycznych czy inżynieryjno-technicznych. Uznane publikacje w międzynarodowych czasopismach z medycyny, chemii czy astronomii, konstruowane sondy, łaziki i satelity, odkrywane egzoplanety zachwycają i napawają dumą. W przypadku nauk humanistycznych lub społecznych jest to trudniejsze. Nie oznacza to, że w tych dziedzinach nie ma sukcesów lub że z dorobku tych dziedzin nie powinniśmy być dumni. Wręcz przeciwnie. Dobrze, że są dziś naukowcy, którzy popularyzują za granicą dorobek Karola Adamieckiego, Tadeusza Kotarbińskiego, Jana Zieleniewskiego i innych. Należy zachować to co dobre w polskiej nauce, ochronić jej dorobek i tradycję, zaś z modeli zachodnich skorzystać w tym zakresie, który pomoże naukowcom pracować w międzynarodowych zespołach i być rozpoznawanym na świecie. Nie powinniśmy też mówić o kompleksach, bo to utrwała stereotyp. Powinniśmy mówić o sukcesach i chwalić się nimi; doceniać dokonania swoje i innych.

Prof. dr hab. Wojciech Dyduch, prodziekan ds. rozwoju na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach



Rys. Sławomir Małaj

Patent wart więcej niż wdrożone rozwiązanie

Rzecz o tym, jak środek stał się celem w działalności uczelni technicznych

Wartość rozwiązania technicznego powinna być oceniana nie przez pryzmat tego, czy uzyskano na nie patent, lecz poprzez obiektywne wskaźniki opisujące zasięg oddziaływania społecznego wynalazku (zyski ze sprzedaży, liczba użytkowników rozwiązania, ograniczenie szkodliwego oddziaływania czynników, które dany wynalazek minimalizuje itd.).

Ewaluacja jednostek naukowych „po reformie” zbliża się wielkimi krokami. Zasady tej oceny są pełne absurdów opisanych dotychczas w wielu publikacjach, m.in. na łamach FA, które dotyczyły punktowania artykułów i monografii. Jednakże ewaluacja ma uwzględniać także inne kwestie, w tym działalność uczelni w obszarze tworzenia nowych rozwiązań technicznych. Rodzi się w tym miejscu pytanie: czy reformatory polskiej nauki stanęli na wysokości zadania, przygotowując wytyczne dotyczące zasad oceny działalności wynalazczej prowadzonej na polskich uczelniach?

Temat poruszany w niniejszym materiale jest zapewne doskonale znany przedstawicielom nauk technicznych, przypisanym po zmianach w 2018 r. do dziedziny nauk inżynieryjno-technicznych. Stoimy na stanowisku, że warto go przedstawić specjalistom z innych dziedzin nauki. Słynna „parametryzacja” będzie przebiegała według silnie zunifikowanych zasad, a wszelkie, niekiedy bardzo różniące się i specyficzne w swoim charakterze dziedziny i dyscypliny nauki, będą oceniane według zbliżonych kryteriów. Wyjątek stanowi równiejsza pośród równych humanistyka. Jako reprezentanci nauk technicznych w niniejszym artykule chcielibyśmy przedstawić kilka obserwacji na temat oceny wartości patentów i wdrożeń w procesie ewaluacji jednostek naukowych.

Nauki techniczne stanowią specyficzne obszary wiedzy, ich przedstawiciele łączą w swojej pracy badania podstawowe i przemysłowe oraz działalność rozwojową i wdrożeniową. U podstaw inżynierskich elementów tych nauk leży działal-

ność w celu uzyskania przydatnych społeczeństwu rozwiązań, wśród których wyliczyć można wynalazki i wzory użytkowe podlegające ochronie z tytułu patentów lub praw ochronnych na wzory użytkowe. Na praktyczny wymiar nauki (przynajmniej w obszarach tzw. nauk stosowanych) wskazuje wprost ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (Dz. U. 2018 poz. 1668), której artykuł 2. stanowi, że „misją systemu szkolnictwa wyższego i nauki jest prowadzenie najwyższej jakości kształcenia oraz działalności naukowej, kształtowanie postaw obywatelskich, a także uczestnictwo w rozwoju społecznym oraz tworzeniu gospodarki opartej na innowacjach”.

Zacniemy od tego, że nowatorskie rozwiązania techniczne nie są tożsame z osiągnięciami naukowo-badawczymi i tu w pełni zgadzamy się z opinią prof. Czesława Grabarczyka (patrz: *Rozwój kwalifikacji naukowych nauczycieli akademickich nauk technicznych*, Impuls, Kraków 2012), który stwierdza, że patenty udzielone na wynalazki i prawa ochronne na wzory użytkowe „ze swojej natury zwykle są osiągnięciami technicznymi (niewątpliwie wartościowymi), a nie naukowymi” oraz że tylko „w niektórych, rzadkich przypadkach osiągnięcia tego rodzaju mogą być uwieńczeniem działalności naukowo-badawczej”.

Dowodem na powyższe stwierdzenie jest fakt, że przeważająca większość światowych wynalazców to nie naukowcy, a uprawnionymi do ochrony swoich dóbr na mocy przepisów prawa własności przemysłowej są głównie prywatne

firmy i koncerny, nie zaś jednostki naukowe. Oczywiście zawsze można polemizować, gdyż wyjątki od zasad istnieją, tzn. pracownik polskiej uczelni może być odnoszącym sukces finansowy biznesmenem, twórcą wynalazku i do tego dydaktykiem. Nie ukrywamy jednak, że taka kombinacja skutkuje raczej uszczerbkiem dla któregośkolwiek z pozostałych, wymienionych obszarów aktywności na uczelni. Zatem w dalszej części wypowiedzi nie będziemy argumentowali, czy jest tak, czy nie jest, lecz odniesiemy się wyłącznie do stanu rzeczy, czyli do tego, co jest przedmiotem oceny jednostek naukowych w kontekście prowadzonej przez nie działalności wynalazczej.

Problem przypisania wynalazku do danej dyscypliny

Pośród osiągnięć ocenianych w kryterium pn. „poziom naukowy prowadzonej działalności” wymieniane są uzyskane przez pracowników ewaluowanej jednostki patenty i prawa ochronne na wzory użytkowe. Natomiast w kryterium „efekty finansowe badań naukowych lub prac rozwojowych” ocenione zostaną przychody osiągnięte w okresie objętym oceną przez ewaluowany podmiot albo inny podmiot utworzony przez niego w celu komercjalizacji wyników badań naukowych lub prac rozwojowych, prowadzonych w ewaluowanym podmiocie w ramach danej dyscypliny naukowej lub know-how związanego z tymi wynikami. Pojawia się tu dodatkowy problem przypisania wynalazku do danej dyscypliny naukowej. Międzynarodowa klasyfikacja patentowa nie pokrywa się z obowiązującym obecnie w Polsce wykazem dziedzin i dyscyplin nauki, a więc przypisanie do dyscypliny będzie realizowane wyłącznie na podstawie deklaracji twórców. Tych zapewne nikt nie podważy, gdyż mogłoby się okazać, że klasyfikacja tematyczna większości wynalazków opracowanych na polskich uczelniach nie współgra z dziedziną i dyscypliną nauki zadeklarowaną w systemie POL-on.

Widzimy więc, że ocenie w omawianym obszarze osiągnięć związanych z działalnością wynalazczą podlegają: patenty na wynalazki, prawa ochronne na wzory użytkowe oraz przychody z komercjalizacji (wynalazków, wzorów, know-how etc.). Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że w ocenie jednostek naukowych patent powinien być mniej ważny niż docelowa komercjalizacja wynalazku, który ten patent chroni. Sprawdzmy zatem, czy punkt ciężkości nie został przesunięty z celu (komercjalizacji wyników badań) na środek drogi do tego celu (patent lub prawo ochronne na wzór użytkowy).

Przeprowadzimy prostą kalkulację, wykorzystując do tego informacje zawarte w rozporządzeniu ministra nauki i szkolnictwa wyższego z 22 lutego 2019 roku w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej (Dz. U. 2019 poz. 392). Jest to analiza zgrubna, ale obrazująca dość wyraziście nakład pracy i „zysk” punktowy dla jednostki. Patenty i zyski z komercjalizacji mogą oczywiście dotyczyć tego samego rozwiązania technicznego. Porównajmy jednak korzyści punktowe płynące osobno z osiągnięcia, jakim jest zysk z komercjalizacji oraz patent na wynalazek.

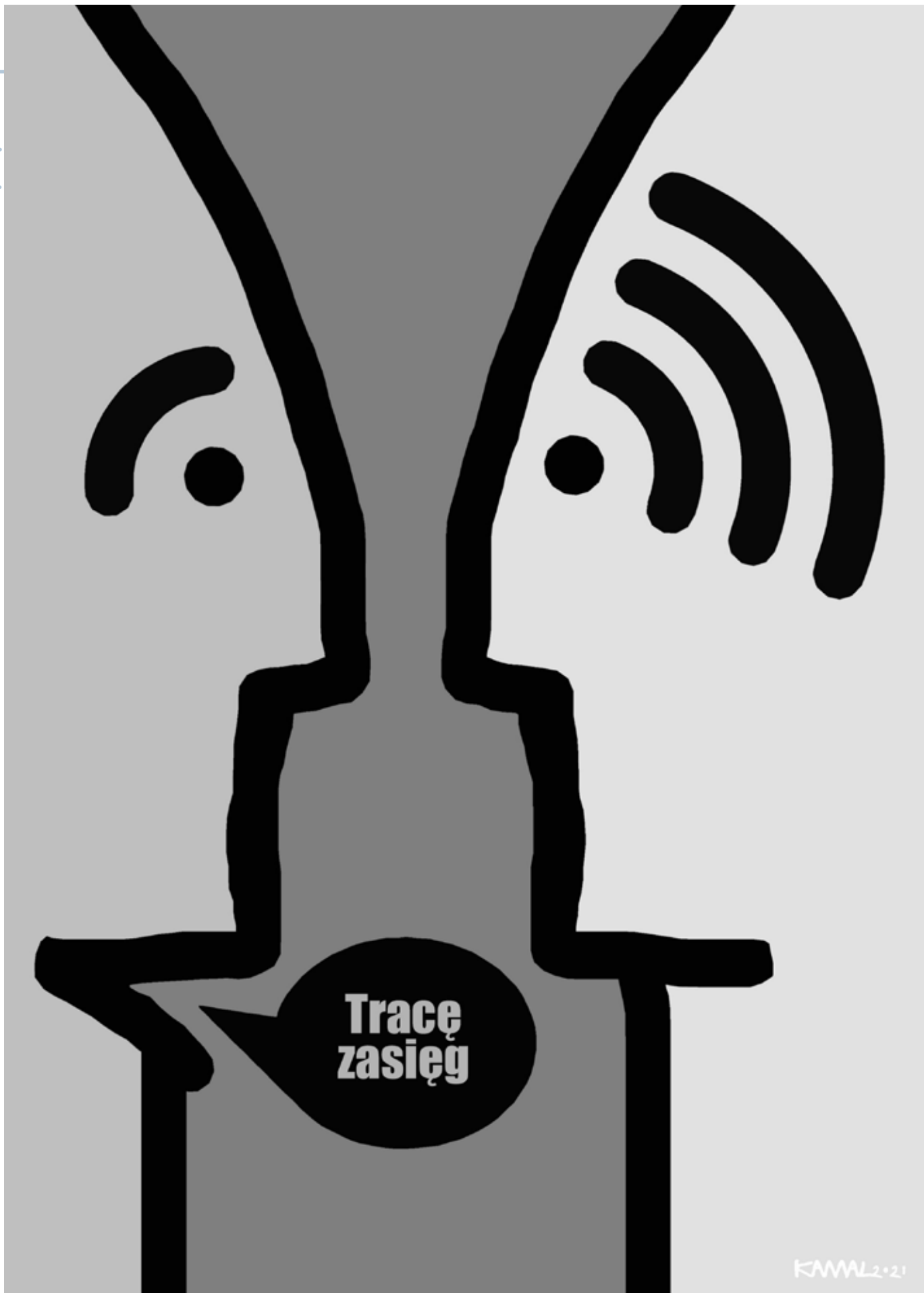
Algorytm wyliczenia całkowitego wyniku punktowego nie jest złożony, ale został skutecznie skomplikowany. Szczęśliwie wagi poszczególnych kryteriów dla każdej dyscypliny naukowej sumują się do liczby 100. W wyliczeniu końcowej wartości punktowej dla danej jednostki w danej dyscyplinie konieczne jest odniesienie punktów w każdym ocenianym kryterium oceny tej dyscypliny do wartości referencyjnej. Ponadto wprowadzono ograniczenie wartości skrajnych punktacji w danym kryterium dla danej dyscypliny, wprowadzając tzw. próg pełnego przewyższenia. Różnica punktów w danym kryterium i punktacji referencyjnej, podzielona przez wartość progu i pomnożona przez wagę kryterium, daje punktację całkowitą. Dla jednostek, które

przekroczyły w punktacji danego kryterium wartość progu, punktacja całkowita wynosi 100% danego kryterium, czyli tyle, ile wynosi waga kryterium. Dla wartości niższych niż referencyjne analogicznie wyliczane są punkty ujemne. Sumaryczna liczba punktów dla najlepszych jednostek naukowych w danej dyscyplinie wynosić będzie więc 100 punktów całkowitych („globalnych”), zaś dla najgorszych jednostek 100 punktów całkowitych. Aby więc nasz przykład nie został zdyskredytowany komentarzami dotyczącymi braku pełnych informacji o wartościach punktowych w kryteriach, wartościach punktowych referencyjnych, wartościach wag i wartościach „progów pełnego przewyższenia”, musimy przyjąć pewne założenia. Przyjmijmy więc dla uproszczenia niniejszej analizy, że wartość referencyjna punktacji jednostki wynosi 0 dla każdego kryterium, wartości „progów przewyższenia” każdego kryterium wynoszą 1000 oraz że w poszczególnych kryteriach dla danej jednostki i dyscypliny jesteśmy z naszą punktacją poniżej „progów przewyższenia”. Dzięki takim założeniom będziemy mogli w sposób możliwie obiektywny porównać wartości punktowe w różnych kryteriach. Wszakże rozporządzenie zaproponowało wagi punktowe dla każdego kryterium, więc można przypuszczać, że decydenci wzięli pod uwagę różne efekty działalności naukowej w różnych dziedzinach i dyscyplinach nauki.

Hipotetyczna jednostka naukowa

A więc, zgodnie z § 22 rozporządzenia, pośród rodzajów osiągnięć dotyczących efektów finansowych badań naukowych i prac rozwojowych znajduje się komercjalizacja wyników badań naukowych lub prac rozwojowych albo know-how związanego z tymi wynikami. Założmy, że w ocenianej jednostce powstał wynalazek będący wynikiem badań. W takiej sytuacji jednostka uzyskuje 1 pkt za każde „10 000 zł sumy przychodów osiągniętych w okresie objętym ewaluacją przez ewaluowany podmiot albo inny podmiot utworzony przez niego w celu komercjalizacji wyników badań naukowych lub prac rozwojowych prowadzonych w ewaluowanym podmiocie w ramach danej dyscypliny naukowej lub know-how związanego z tymi wynikami”. Wartość maksymalna uzyskanych punktów nie może przekraczać dla danej dyscypliny dziesięciokrotności liczby N, czyli liczby pracowników ewaluowanego podmiotu prowadzących działalność naukową w danej dyscyplinie naukowej albo artystycznej, którzy złożyli odpowiednie oświadczenia. Przyjmijmy więc, że ewaluowana będzie hipotetyczna jednostka naukowa, która w dyscyplinie inżynieria materiałowa zadeklarowała liczbę $N = 28$.

Tak więc z tytułu udzielenia licencji na wynalazki, które powstały w tej jednostce i są przypisane do dyscypliny inżynieria materiałowa, jednostka może maksymalnie uzyskać w kryterium „efekty finansowe badań naukowych i prac rozwojowych” wartość $10 \cdot N = 280$ pkt. Biorąc pod uwagę wagę punktową tego kryterium równą 35 dla nauk inżynierskich i technicznych, globalna wartość punktowa tego osiągnięcia wyniesie $35 \cdot [(280 - 0) : 1000] = 9,8$ pkt. w wyniku całkowitym. Podsumujmy: 9,8 pkt. „globalnych” (spośród maksymalnych możliwych do uzyskania w tym kryterium 35 pkt. w wyniku całkowitym), z tytułu tego kryterium jednostka uzyska za przychody z komercjalizacji 2,8 mln zł. To bardzo duża kwota dla większości uczelni technicznych. Rzecz jasna uzyskanie takiego wyniku wymaga dużych nakładów finansowych (badania i rozwój, poszukiwanie odbiorców, negocjacje, przygotowanie umów, promocja, marketing, ochrona itp.) i udziału sztabu ludzi (naukowcy, kwestura, konsultanci od transferu technologii, brokerzy innowacji, prawnicy, specjaliści od marketingu, analitycy rynkowi). Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że w wymienionym przypadku zgodnie z rozporządzeniem żadna dodatkowa złotówka z przychodów powyżej wyliczonej



kwoty nie będzie już generowała dodatkowych punktów. Z czego to wynika? Dlaczego komercjalizacja wyników badań ma ograniczenia, choć jest dużo trudniejsza w osiągnięciu, a punktacja z tytułu wysokości środków pozyskanych na realizację projektów badawczych ograniczeń nie ma? Tego nie wiemy.

Porównajmy teraz wynik, który umownie przyjęta jednostka uzyskała za otrzymany patent krajowy w kryterium „poziomu naukowego prowadzonej działalności naukowej w zakresie badań naukowych i prac rozwojowych” (pomijamy tu przedstawioną we wstępie opinię, że patent formalnie nie jest miarą osiągnięcia naukowego). To niewielki nakład pracy, biorąc pod uwagę wartość N oraz fakt, że w praktyce spora część wynalazków znajduje się na niskim poziomie gotowości technologicznej (ang. Technology Readiness Level, TRL) w momencie zgłaszania do ochrony. Koszty uzyskania patentu również są stosunkowo niewielkie i mogą się różnić, jeśli wziąć pod uwagę możliwe zniżki i opłaty dodatkowe ze strony urzędu patentowego oraz indywidualne koszty rzecznika. Zwykle całe koszty uzyskania pojedynczego patentu krajowego powinny się zamknąć w kwocie 5.000 zł brutto. Na przykładowy koszt uzyskania patentu składać się mogą: opłata za zgłoszenie wynalazku – 550 zł, opłata publikacyjna – 90 zł, honorarium rzecznika patentowego – 2000 zł, opłata za pierwszy okres ochrony (1., 2., i 3. rok ochrony) – 480 zł, a więc w takiej sytuacji w sumie daje to 3.120 zł. W przypadku patentów zagranicznych ta kwota jest kilkakrotnie większa, ale to temat na odrębną analizę. Za pojedynczy patent krajowy zgodnie z rozporządzeniem można uzyskać 75 pkt. w ww. kryterium. Waga punktowa tego kryterium, równa dla nauk inżynierskich i technicznych, wynosi 50, a więc za jeden patent uzyskany w ocenianym okresie jednostka uzyska $50 \cdot [(75-0):1000] = 3,75$ pkt. wyniku całkowitego. Przy trzech patentach jednostka uzyska więc $50 \cdot [(3 \cdot 75-0):1000] = 11,25$ pkt. „globalnych” z tytułu ww. kryterium (spośród maksymalnych możliwych do uzyskania w tym kryterium 50 pkt. w wyniku całkowitym).

Łatwiej uzyskać patent niż skomercjalizować wynalazek

Jak widać, analiza punktacji „globalnej” dla hipotetycznej jednostki naukowej z tytułu uzyskania trzech patentów (11,25 pkt., koszt ca. 15 tys. zł) względem punktacji „globalnej” z tytułu wdrożenia wyników badań w postaci skomercjalizowanego rozwiązania technicznego (9,8 pkt., przychód 2,8 mln zł pomniejszony o poniesione nakłady) przemawia na niekorzyść tej drugiej, bowiem łatwiej i szybciej można uzyskać patent niż skomercjalizować wynalazek. Ta druga opcja jest zwykle czasochłonna, wymaga dużego nakładu pracy oraz znacznych środków finansowych. Powoduje to powstanie naturalnej bariery w polskim środowisku naukowym i demotywuje władze jednostek naukowych do działań na rzecz komercjalizacji. Oczywiście duże zyski z komercjalizacji mogą prowadzić do przynajmniej częściowego uniezależnienia się jednostki od finansowania ze środków budżetu państwa. Fakty są jednak takie, że w uczelniach wybierane są rozwiązania wymagające mniej wysiłku, a przedstawiony w rozporządzeniu sposób oceny dorobku działa jako demotywator do tworzenia użytecznych dla społeczeństwa rozwiązań.

Poza tym mamy poważne wątpliwości, czy naprawdę dobre rozwiązanie wymaga opatentowania w urzędzie patentowym. Ochrona wynalazku jest terytorialna, więc ogranicza się do wybranego kraju/krajów, zaś informacje szczegółowe o przedmiocie ochrony są upowszechniane na forum światowym. Warto więc każdorazowo rozważyć celowość ubiegania się o patent. Są oczywiście obszary takie, jak biotechnologia czy nauki medyczne, w których ochrona jest kluczowa.

Z działalnością wynalazczą związany jest zakaz upowszechniania istoty wynalazku lub wzoru użytkowego m.in. w publi-

kacjach naukowych przed zgłoszeniem tych rozwiązań do ochrony w urzędzie patentowym. Taka publikacja skutkuje bowiem utratą nowości rozwiązania, czyli istnieje ryzyko nieotrzymania patentu lub prawa ochronnego na wzór użytkowy. Działanie w odwrotnej kolejności daje możliwość uzyskania punktów do celów ewaluacji jednostki z dwóch źródeł: publikacji i patentu/prawa ochronnego. Przygotowanie zgłoszenia do ochrony w urzędzie patentowym oczywiście opóźnia czas wydania artykułów naukowych lub monografii i dodatkowo pojawia się wątpliwość, czy w działalności badawczej, realizując postulaty otwartej nauki, upubliczniamy istotę wynalazku, czy też zależy nam na jego komercjalizacji, a te dwa cele zwykle nie idą w parze.

W przypadku rozwiązań technicznych opartych na know-how opublikowanie artykułu naukowego prezentującego istotę rozwiązania jest nieopłacalne, gdyż upowszechnienie istoty wynalazku może skutkować utratą przychodów np. z udzielonych licencji. Tylko powstaje pytanie, ile polskich uczelni technicznych wdrożyło w ostatnich latach dochodowe rozwiązania oparte na know-how? Zakładamy, że niewiele.

Analizując powyższy stan rzeczy, można wysnuć następujące wnioski:

Patent służy ochronie wynalazku, a więc jest i powinien być elementem strategii wdrażania wynalazku i sposobem ochrony właściciela, lecz nie jest dobrem społecznym samym w sobie.

Liczba uzyskanych przez ocenianą jednostkę patentów nie jest miarą oddziaływania wyników pracy badawczej na społeczeństwo, lecz ukazuje jedynie liczbę rozwiązań technicznych zgłoszonych do ochrony patentowej, które uzyskały akceptację urzędu patentowego.

Wartość rozwiązania technicznego powinna być oceniana nie przez pryzmat tego, czy uzyskano na nie patent, lecz poprzez obiektywne wskaźniki opisujące zasięg oddziaływania społecznego wynalazku (zyski ze sprzedaży, liczba użytkowników rozwiązania, ograniczenie szkodliwego oddziaływania czynników, które dany wynalazek minimalizuje itd.).

Podsumowując, pozwolimy sobie stwierdzić, że ocena wartości dorobku naukowego w naukach inżyniersko-technicznych na podstawie liczby patentów jest nietrafiona i świadczy nie wzięciu pod uwagę przez decydentów i reformatorów systemu ewaluacji polskiej nauki krytycznych głosów ze strony przedstawicieli środowisk tychże nauk oraz osób zaangażowanych w proces komercjalizacji wyników badań (w tym zrzeszonych w Porozumieniu Akademickich Centrów Transferu Technologii PACTT). Pozostaje nam zaapelować o korektę kryteriów ewaluacji jednostek naukowych, tak aby położyć większy nacisk na praktyczne wyniki, których powinny dostarczać społeczeństwu uczelnie techniczne. Wówczas oceniane byłyby wyniki końcowe, nie zaś elementy pośrednie ścieżki tworzenia i wdrażania nowatorskich rozwiązań. Zapobiegłoby to także traktowaniu patentów na wynalazki jako wartości w rozwoju społeczeństwa, a przecież znaczna część opatentowanych wynalazków nie opuści przysłowiowej półki, więc nie zostanie wdrożona do praktyki gospodarczej. Pamiętajmy, że patent jest wyłącznie elementem łańcucha „od pomysłu do przemysłu” (ang. from field to fork), a skoro zgodnie z ustawą misją nauki jest m.in. uczestnictwo w tworzeniu gospodarki opartej na innowacjach, powinniśmy kłaść większy nacisk na praktyczne wyniki badań w obszarze nauk stosowanych.

*Dr hab. inż. Leszek Chybowski, MBA,
kierownik Wydawnictwa Naukowego Akademii Morskiej w Szczecinie*

*Prof. dr hab. inż. Wojciech Przetakiewicz,
emerytowany profesor Akademii Morskiej w Szczecinie i Wojskowej Akademii Technicznej*

Plagiaty byłego rektora UG

Sytuacja po roku

Stwierdzone naruszenie praw autorskich w monografii habilitacyjnej sprzed dziesięciu lat również wymaga wszczęcia dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego. Plagiaty się nie przedawniają!

Jesienią 2020 r. ukazały się w tym cyklu trzy artykuły, w których opisano zarzuty naruszenia praw autorskich przez ówczesnego rektora Uniwersytetu Gdańskiego, dr. hab. Jerzego Gwizdałę, prof. UG. Dotyczyły one przede wszystkim książki profesorskiej *Instrumenty ograniczenia ryzyka w instytucjach naukowych* wydrukowanej w 2018 r. bez recenzji wydawniczej przez Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego. Cały jej tekst był już wcześniej opublikowany w artykułach naukowych. Uważam, iż to jawny konflikt interesów, gdyż dyrektor Wydawnictwa UG, Joanna Kamień, podlegała rektorowi.

Postępowanie profesorskie, które przebiegało na Wydziale Zarządzania UG (dziekan: prof. dr hab. Mirosław Szreder), dość szczegółowo opisałem w artykule *Wstrzymana profesura* („Forum Akademickie” 9/2020). Mimo dwóch krytycznych recenzji (prof. Janiny Harasim z Katowic i prof. Jana K. Solarza z Warszawy) kandydatura przeszła znaczną liczbą głosów i następnie po pozytywnej opinii superrecenzenta, prof. Jerzego P. Węclawskiego z UMCS, została potwierdzona przez Prezydium Centralnej Komisji i przesłana do Kancelarii Prezydenta. Stamtąd – po otrzymaniu informacji o zarzucie plagiatu w dwóch rozdziałach książki profesorskiej J. Gwizdały – dokumenty w grudniu 2019 r. zostały zwrócone do Biura CK. Ówczesny jej przewodniczący zgodnie z prawem poprosił wtedy Komisję Etyki w Nauce PAN o opinię, czy nastąpiło naruszenie praw autorskich. Pod koniec lutego 2020 r. pozytywną opinię w tym względzie przekazał prof. Andrzej Górski, przewodniczący Komisji. Spowodowało to konieczność powołania biegłego, którym został prof. Bogudar Kordasiewicz z Instytutu Nauk Prawnych PAN. Jego opinia z 1 września 2020 r. stwierdzała, że w artykule J. Gwizdały o metodzie szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem banku dopuszczono się niedozwolonych zapożyczeń. Z tego powodu Prezydium CK podjęło 28 września 2020 r. uchwałę o unieważnieniu postępowania profesorskiego Jerzego Gwizdały.

Zawieszenie z obniżeniem

Liczne artykuły red. Krzysztofa Katki w trójmiejskiej „Gazecie Wyborczej” informowały opinię publiczną o kolejnych zdarzeniach dotyczących sprawy rektora Gwizdały. Ten bagatelizował zarzuty. Dopiero ukazanie się w GW konkordancji prawie dosłownego plagiatu z doktoratu Błażeja Kochańskiego z Poli-

techniki Gdańskiej zmusiły rektora do dymisji 28 września 2020 r., jak napisał: „ze względu na pogarszający się stan mojego zdrowia”. Na początku listopada 2020 r. J. Gwizdała został odwołany przez prorektora Krzysztofa Bielawskiego z funkcji kierownika Katedry Bankowości i Finansów Wydziału Zarządzania UG. Prokuratura Okręgowa w Bydgoszczy wszczęła postępowanie prokuratorskie z powodu naruszenia praw autorskich dr. B. Kochańskiego. Na uczelni zawieszono byłego rektora w czynnościach nauczyciela akademickiego na okres 6 miesięcy, z obniżeniem uposażenia podstawowego o 20%.

W 2014 r. J. Gwizdała był recenzentem doktoratu B. Kochańskiego. Z treści tej dysertacji w 2015 r. „wykroił” sobie artykuł *Wpływ systemowego ryzyka płynności na stabilność gospodarki polskiej*, który opublikował w warszawskim czasopiśmie „Problemy Zarządzania”. Tekst w 95% był plagiatem. Trzy lata później artykuł ten przetłumaczył na angielski i umieścił w swojej książce profesorskiej. Znalazła się w niej także praca J. Gwizdały pt. *Metoda szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem banku*, którą autor najpierw wydrukował w szczecińskim czasopiśmie „Finanse, Ubezpieczenia, Rynki Finansowe” (nr 38 z 2011 r.). Co więcej, tekst ten znalazł się także wcześniej w monografii habilitacyjnej J. Gwizdały z 2011 r. *Ryzyko kredytowe w działalności banku komercyjnego* jako podrozdział 6.2 *Metoda szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem*. Należy podkreślić, że ten trzykrotnie wykorzystany tekst w olbrzymiej większości został przepisany z pracy z 2003 r. ówczesnej adiunkt z Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, dr hab. Katarzyny Kuziak, bliskiej współpracownicy prof. Krzysztofa Jajugi, który był recenzentem monografii w przewodzie habilitacyjnym J. Gwizdały. Obie redakcje, szczecińska i warszawska, niezależnie od siebie unieważniły poprzez formalną retrakcję plagiatowe prace J. Gwizdały, uznając, że oba artykuły jednoznacznie naruszają prawa autorskie.

Skrucha wyparowała

Początkowo, zapewne przytłoczony lawiną wydarzeń, prof. Gwizdała próbował się tłumaczyć, pisząc w liście z 8 października 2020 r. do członków Senatu UG: „[...] Zdaję sobie sprawę, że cieniem na tej dyskusji może się kłaść sprawa moich błędów i zaniedbań w przygotowaniu do uzyskania tytułu profesora. Wiem, że zaszkodziła ona całemu naszemu środowi-

sku i reputacji Uniwersytetu Gdańskiego. Rozumiem każdego, kto poczuł się w tych okolicznościach zawiedziony. Wszystkie te osoby pragnę szczerze przeprosić. W obecnym stanie zdrowia trudno mi jest w pełni wyjaśnić, jak mogło dojść do moich zaniedbań i w jakich nastąpiło to okolicznościach. To co mogłem uczynić natychmiast, aby nie narażać dalej na szwank reputacji Uczelni zrobiłem bezzwłocznie – ustąpiłem z funkcji Rektora, nie podejmowałem w przestrzeni medialnej żadnych prób obrony własnych błędów, co przedłużałoby tylko sytuację kryzysową Uczelni. Nie wskazuję też nikogo kogo pragnąłbym obarczać współodpowiedzialnością za całą tą przykrą sytuację. Potrzebuję czasu i spokoju na przemyślenie ostatnich lat mojej pracy, której intensywność i jej skutki boleśnie dzisiaj odczuwam”.

I rzeczywiście, po przemyśleniu prof. Gwizdała przy pomocy swojej pełnomocniczki prawnej, radcy Magdaleny Necel-Gizowskiej, złożył jednak na początku listopada ub.r. wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy, czyli praktycznie odwołał się od unieważnienia postępowania profesorskiego. W piśmie zażądano uchylecia zaskarżonej decyzji i umorzenia postępowania jako bezprzedmiotowego, zarzucając organowi szereg uchybień prawnych. Podniesiono m.in., że opinia Komisji ds. Etyki w Nauce jest wstępną, nie ma formy wymaganej ustawowo, a jej treść jest niejednoznaczna i nie spełnia przesłanki negatywności. Zarzucono też, iż recenzja prof. Bogudara Kordasiewicza „nie spełnia wymogów”, zaś jej zakres recenzent jakoby samowolnie zmienił i rozszerzył w stosunku do prośby organu. Zarzut naruszenia praw autorskich w monografii profesorskiej jest bezzasadny, gdyż z dniem odwołującego się, zostały w niej przywołane źródłowe prace autorów, których prawa autorskie miał naruszyć.

Rozpatrując odwołanie J. Gwizdały, CK powołała dwóch recenzentów rzeczoznawców. Jednym był prof. Jan Czekaj z Katedry Rynków Finansowych Akademii Ekonomicznej w Krakowie, który stwierdził, że „istnieje duże prawdopodobieństwo niedozwolonych zapożyczeń” w rozdziale *Metoda szacowania VaR w zarządzaniu ryzykiem banku*, stąd wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy jest bezpodstawny. Drugim został prof. Jacek Sobczak, prawnik, em. sędzia Sądu Najwyższego, em. profesor UAM w Poznaniu, obecnie kierownik Katedry Ochrony Prawa Własności Intelektualnej na Uniwersytecie SWSP w Warszawie. Jego recenzja była krytyczna wobec opinii Komisji ds. Etyki w Nauce i podniósł on, że przepisana praca *Metoda szacowania VaR...* składa się z wielu wzorów i równań matematycznych, które nie są pod ochroną prawa autorskiego (podkreślenie moje – MW), stąd „brak podstaw do jednoznacznego stwierdzenia”, że dr hab. J. Gwizdała dopuścił się plagiatu z pracy Katarzyny Kuźniak.

Jednak o tym jak wygląda prawdziwy, znaczący zakres „kradzieży” intelektualnej J. Gwizdały, świadczy zestawienie podobieństw obydwu artykułów. Czytelnik może je sam porównać na podstawie tekstów oryginalnych, które przytaczamy na internetowej stronie „Forum Akademickiego” pod niniejszym artykułem, razem z konkordancją ze splagiatowaną pracą dr. Błażeja Kochańskiego.

Z końcem 2020 r. zakończyła się działalność Centralnej Komisji i niezadowolone przez nią sprawy przejęła Rada Doskonałości Naukowej. Trzech jej członków z mocy prawa wyłączono z postępowania: prof. Grzegorza Węgrzyna, przewodniczącego RDN, oraz prof. Małgorzatę Omilanowską, przewodniczącą Zespołu I Nauk Humanistycznych RDN, dlatego że są zatrudnieni na Uniwersytecie Gdańskim, a także prof. Krzysztofa Jajugę z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, przewodniczącego Zespołu V Nauk Społecznych RDN, gdyż był recenzentem przewodniacza J. Gwizdały.

Z tego powodu Zespół V, rozpatrując na początku marca 2021 r. odwołanie J. Gwizdały, pracował pod kierownictwem zastępcy przewodniczącego, prof. dr hab. Iwony Hofman (UMCS w Lublinie). Uznano, że z powodu odmiennych zdań rzeczoznawców należy zawiesić postępowanie do czasu uzyskania ekspertyzy prawnej z prowadzonego dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego, która rozwieje wszystkie wątpliwości. Chciałbym zwrócić uwagę, że zarówno Zespół V, jak i recenzenci nie otrzymali dokumentacji ilustrujących jednoznaczny plagiat pracy dr. B. Kochańskiego, co wyszło na jaw w końcu września 2020 r.

Prezydium RDN w postanowieniu z 29 marca 2021 r. zawiesiło postępowanie odwoławcze z tego powodu, że w Prokuraturze Okręgowej w Bydgoszczy oraz przed Rzecznikiem Dyscyplinarnym Ministra Edukacji i Nauki toczą się postępowania wyjaśniające w sprawie plagiatów dr. hab. J. Gwizdały. Zdaniem organu, może mieć to wpływ na rozstrzygnięcie, czy uchylić decyzję o nieważności postępowania unieważniającego.

Postępowanie wyjaśniające

Przed rokiem, po wrześniowym artykule w FA oraz po kilku publikacjach w trójmiejskiej „Gazecie Wyborczej”, ukazujących poważne naruszenie przez J. Gwizdałę praw autorskich B. Kochańskiego, prorektor UG Krzysztof Bielawski pismem z 1 października 2020 r. powiadomił ministra nauki i szkolnictwa wyższego o plagiacie popełnionym przez rektora UG. Po pewnych deliberacjach prawnych minister Wojciech Murdzek 15 października 2020 r. polecił swojemu rzecznikowi dyscyplinarnemu, dr. hab. Michałowi Królikowskiemu, prof. UW z Katedry Prawa Karnego Porównawczego UW, wszczęcie dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego. Trzeba wiedzieć, że M. Królikowski jest czynnym adwokatem, byłym podsekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości (2011-2014) i byłym dyrektorem Biura Analiz Sejmowych (2006-2011); był również ekspertem w MNiSW w czasie kadencji ministra Jarosława Gowina.

W ciągu kilku miesięcy rzecznik zebrał dokumentację z kilku instytucji i przesłuchał poszkodowanych: dr hab. Katarzynę Kuźniak, prof. UE we Wrocławiu, oraz dr. Błażeja Kochańskiego z Politechniki Gdańskiej, jak również świadka – prof. Monikę Marcinkowską z UŁ. Nie powołał biegłego, ale rzecznik dysponował opinią prof. Bogudara Kordasiewicza (stwierdził plagiat z pracy K. Kuźniak oraz prof. S. Piątka (potwierdził plagiat z doktoratu B. Kochańskiego). Rzecznik nie był w stanie przesłuchać obwinionego, dr. hab. Jerzego Gwizdały, który nie odpowiedział na wezwania kierowane na adres Wydziału Zarządzania UG w Sopocie.

W końcu marca br. prof. Michał Królikowski złożył wniosek o ukaranie dr. hab. Jerzego Gwizdały, prof. UG, do ministerialnej Komisji Dyscyplinarnej w Warszawie, zarzucając byłemu rektorowi naruszenie praw autorskich poprzez przywłaszczenie sobie autorstwa obszernych fragmentów cudzych publikacji, tj. czynu mającego znamień przewinienia dyscyplinarnego i uchybiającego godności zawodu nauczycielskiego. Rzecznik zażądał ukarania karą pozbawienia prawa do wykonywania zadań promotora, recenzenta i członka komisji w postępowaniach awansowych. Wniosekował też o zaniechanie wzywania na rozprawę świadka i pokrzywdzonych, a w zamian o odczytanie ich zeznań złożonych w toku postępowania wyjaśniającego. Mimo upływu 5 miesięcy nie wyznaczono dotąd ani składu orzekającego, ani terminu pierwszej rozprawy.

Rzecznik nie podjął zarzutu naruszenia praw autorskich w habilitacji J. Gwizdały i na moje zapytanie o tę sprawę odpowiedział, że nie miał o tym wiedzy (nie jest to prawda, gdyż poinformowali go o tym przesłuchiwni świadkowie). Nie

znał też artykułów z „Forum Akademickiego”. Z kolei łagodność kary dyscyplinarnej jest w mojej opinii poważną aberracją w działaniu rzecznika dyscyplinarnego i ukazuje środowisku akademickiemu, że profesura może liczyć na praktyczną bezkarność nawet przy bardzo poważnych naruszeniach rzetelności naukowej. Wymiar kary prof. M. Królikowski tłumaczył tym, że było to pierwsze takie naruszenie praw autorskich przez J. Gwizdałę (sic!) i trzeba do tego podejść łagodnie.

Pytam więc, czy okradzenie doktoranta przez recenzenta nie powinno dyskwalifikować tego ostatniego z zawodu nauczyciela akademickiego i powodować zwolnienia z pracy na uczelni? Czy brak skruchy nie jest okolicznością obciążającą? Czego trzeba by dokonać, aby zostać ukaranym karą zwolnienia z pracy lub/i zakazu wykonywania zawodu?

Unieważnienie habilitacji

W końcu października 2020 r. wystąpiłem formalnie do przewodniczącego Centralnej Komisji, prof. Kazimierza Furtaka, o wznowienie przewodu habilitacyjnego Jerzego Gwizdały, gdyż w jego monografii habilitacyjnej *Ryzyko kredytowe w działalności banku komercyjnego*, wydanej w 2011 r. przez Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, są liczne przykłady naruszenia praw autorskich, z których kilka najpoważniejszych przytoczyłem (patrz artykuł: *Tajemnice Uniwersytetu Gdańskiego*, FA 11/2020). W połowie stycznia 2021 r. RDN, jako następca prawny rozwiązanej CK, przekazała mój wniosek do Rady Dyscypliny Ekonomii i Zarządzania UG, argumentując, że obecne przepisy pozwalają na unieważnienie doktoratu czy habilitacji tylko przez organ, który nadał stopień na podstawie pracy, która jest plagiatem. Ta ostatnia – mimo znacznego konfliktu interesów, bo przecież wielu członków rady dobrze znało prof. J. Gwizdałę, który pracował tam od kilkunastu lat – 18 lutego

2021 r. wznowiła postępowanie administracyjne w przedmiocie unieważnienia nadanego przed 10 laty stopnia.

Dr hab. Przemysław Borkowski, prof. UG, który kieruje Radą Dyscypliny, sprawnie przeprowadził cały proces. Ponad 360-stronicowa książka habilitacyjna została podzielona na kilkanaście części i każdą z nich dostał do przeanalizowania pod względem naruszenia praw autorskich inny samodzielny pracownik naukowy rady. Wcześniej cały tekst książki poddano też badaniu programem antyplagiatowym, co pokazało „analitikom”, na co zwrócić uwagę i czego oraz gdzie szukać. Było to istotne, gdyż źródła, z których przepisywano, często pochodziły ze starych pozycji z lat 1995–2005, których nie zeskano- wano do internetu.

Po zgromadzeniu wszystkich konkordancji zapożyczeń cały zebrany materiał (niestety bez ujednolicenia) przekazano powołanej przez Radę Dyscypliny biegłej z prawa autorskiego, prof. Ewie Nowińskiej z Katedry Prawa Własności Intelektualnej UJ w Krakowie. Aczkolwiek w jej opinii pokazano wiele przykładów naruszenia prawa autorskiego przez J. Gwizdałę, to moim zdaniem zabrakło jasnych wniosków i podsumowania, koniecznego w tego typu dokumentach, nie wspominając o braku daty sporządzenia.

Zarówno zbiór konkordancji (zestawienie tabelaryczne podobieństw), jak i opinię prof. Nowińskiej przedstawiono w połowie czerwca 2021 r. prof. J. Gwizdałę oraz jego pełnomocnikowi i poproszono o ustosunkowanie się do zarzutów.

Dwa tygodnie później odpisała pełnomocnik prawny, radca Małgorzata Necel-Gizowska. Zarzuciła, że konkordancji brakuje podpisów i nie wiadomo, kto imiennie sporządził poszczególne części tego dokumentu prywatnego, który w tej sytuacji nie ma żadnej mocy dowodowej (art. 245 K.p.c.). Jej zdaniem, cały „materiał źródłowy” stanowiący podstawę oceny mono-



grafii, na podstawie którego powstała opinia prof. Nowińskiej, „jest w całości nieprofesjonalny, tendencyjny i nierzetelny. (...) Innymi słowy, praca anonimowego zespołu nie prowadzi do ustalenia czy zachodzi przypisanie sobie autorstwa istotnych elementów lub ustaleń, lecz że występują przypadkowe zbieżności leksykalne, zdaniowe lub tabelaryczne. Z kolei niektóre wskazane zbieżności nie zawsze występują w zestawieniu z naukowymi źródłami lub kompletnie ignorują fakt, że fragmenty monografii habilitacyjnej J. Gwizdały temporalnie powstały wcześniej niż porównywany w zestawieniu zbieżny fragment. (...) Zarzut «plagiatu» (...) bez holistycznej analizy kwestionowanych treści jest ponad wszelką wątpliwość nierzetelny i nieprofesjonalny”. Dalej podano konkretne przykłady, których ze względu na szczupłość miejsca nie jestem w stanie przytoczyć. Zakwestionowano też opinię prof. Niwińskiej, zarzucając jej brak konkluzji i brak wskazania, czy przejęte fragmenty są istotne dla ustalenia naukowego. Te ostatnie powinien ocenić ekonomista, a nie prawnik, dlatego opinia jest niepełna. Na koniec wniesiono o pominięcie dowodu z opinii prof. E. Nowińskiej i przegłosowanie odmowy podjęcia uchwały o nieważności habilitacji.

Rada Dyscypliny zapoznała się z odpowiedzią pełnomocnika i 15 lipca 2021 r. odbyło się posiedzenie, na którym rozważano podjęcie uchwały o nieważności decyzji Rady Wydziału Zarządzania UG z 26 października 2011 r. o nadaniu J. Gwizdale stopnia doktora habilitowanego w dyscyplinie ekonomia. Przewodniczący rady kolejno omówił i odsunął zarzuty wysunięte przez radcę M. Necel-Gizowską. Następnie, po upewnieniu się, że każdy z członków rady otrzymał całą dokumentację, zaproponował dyskusję.

Prof. Monika Bąk stwierdziła, że „duża część habilitacji została zbudowana na podstawie zapożyczeń treści przeniesionych wprost z publikacji innych autorów, bez zastosowania cytowania, szczególnie jeśli chodzi o rozdziały 6 i 7 monografii, aczkolwiek w pozostałych rozdziałach takie fragmenty też występują”. Prof. Marcin Wołek zgodził się, że skala zapożyczeń jest duża i dotyczy większości pracy. Potwierdził to prof. Ernest Czermański, który znalazł duże fragmenty tekstu przejęte metodą „kopiuj i wklej” i w dużej mierze nieoznaczone ani cudzysłowem, ani przypisem. Prof. Andrzej Letkiewicz stwierdził, że kopiowanie było intencjonalne, dlatego nie można nadać stopnia. Z kolei prof. Anna Zamojska zwróciła uwagę, że 10 lat temu ówczesnym recenzentom habilitacji trudno było odkryć zapożyczenia, gdyż nie funkcjonowały tak dobre systemy antyplagiatowe jak dzisiaj. Jednak prof. Jacek Zaucha zwrócił uwagę, że jednak niektórzy recenzenci „uchylenia” (czyli zapożyczenia – MW) wskazywali, ale ówczesna RW nie zajęła się tym problemem. Z kolei prof. Ryszard Rolbiecki podkreślił, że analizował I rozdział monografii i znalazł, że w podanych źródłach literatury i w podawanych zakresach stron nie można było odnaleźć treści, które były przedstawione w monografii. Prof. Leszek Czerwinka zwrócił uwagę, że oprócz wielu zapożyczeń obszerne fragmenty świadczą o przypisaniu sobie autorstwa cudzego utworu. Potwierdził to prof. Dariusz Toczyński, który dopatrzył się wielu fragmentów „kopiuj i wklej”, co stawia autora monografii w złym świetle. Z kolei prof. Stanisław Umiński oświadczył, że w analizowanym przez niego fragmencie nie było zapożyczeń, jednak wierzy kolegom, iż w ich fragmentach zbieżności były, dlatego uważa, że trzeba głosować za nieważnością habilitacji. Prof. Tomasz Brodzicki stwierdził, że zapoznał się z całością materiałów i nie ma wątpliwości, że praca jest nierzetelna. Nie rozumie, dlaczego 10 lat temu nie nastąpiła weryfikacja, co pokazuje, że wówczas nie zachowano należytych standardów. Prof. Paweł Miłobędzki

zauważył, że w owym czasie nie było tak ostrych przepisów. Brał udział w owej Radzie Wydziału, ale nie przypomina sobie szczegółów dyskusji, która toczyła się w czasie kolokwium habilitacyjnego. Dzisiaj uważa, że po odrzuceniu wszystkich zapożyczonych fragmentów monografia habilitacyjna nie spełnia wymogów sprzed 10 lat i jej wkład w dyscyplinę jest niewystarczający. Prof. Danuta Ciolek podkreśliła, że w 2010 r. obowiązywała ustawa z 2003 r., gdzie fakt naruszenia praw autorskich dyskwalifikował habilitanta. Rozdział 6., który w oczach ówczesnych recenzentów miał być istotnym osiągnięciem habilitanta, jest w dużej części przejęty od innego autora, dlatego jej zdaniem ocena monografii jest negatywna. Zgodził się z nią prof. Krzysztof Dobrowolski, który stwierdził, że zawsze w środowisku akademickim plagiat był zjawiskiem nagannym. Tych zapożyczeń jest niesłychanie dużo i jego zdaniem Jerzy Gwizdała przekroczył dobre obyczaje i normy. Prof. Julia Koralum-Bereźnicka dodała, że gdyby ówcześni recenzenci byli bardziej stanowczy, dzisiaj nie byłoby tej sprawy, która zabrała wszystkim tyle godzin pracy.

Podsumowując dyskusję, przewodniczący rady prof. Borkowski stwierdził, że w monografii J. Gwizdały „zauważono trzy typy nieuprawnionych zapożyczeń i kwestię autoplagiatu. (...) Są tam całe fragmenty tekstu, których nie opatrzone żadnym odwołaniem do źródła; zapożyczenia, które mają odwołanie do źródła, ale liczba tych zapożyczeń na stronę i kompilacyjny charakter tych zapożyczeń oraz brak dyskursu autora z tymi twierdzeniami budzą wątpliwości; przypisywanie sobie opracowania dzieła innej osoby np. tablice w pracy opatrzone podpisem »Opracowanie własne na podstawie...« (plus podane jest źródło), ale tabela jest wprost przejęta ze źródła, nie nastąpiło żadne jej opracowanie przez autora monografii”. Przewodniczący rady stwierdził, że teraz każdy ma rozpoznanie wielkości i charakteru zapożyczeń, zatem musi sam rozstrzygnąć, czy mimo tego monografia J. Gwizdały wnosi znaczący wkład do nauki.

Następnie głosowano w sposób tajny nad uchwałą o unieważnieniu decyzji RW z 2011 r. o nadaniu byłemu rektorowi stopnia doktora habilitowanego. W głosowaniu uczestniczyły 23 osoby, z których 19 głosowało na „tak”, zaś 4 się wstrzymały. Prof. Borkowski przypomniał, że do tej uchwały Rady Dyscypliny konieczne jest uzasadnienie, które będzie przygotowywane, a projekt będzie konsultowany.

Uchwała wraz z uzasadnieniem i zatwierdzonym protokołem z posiedzenia była gotowa 6 sierpnia 2021 r. Przesłano ją prof. Gwizdale oraz jego pełnomocnicze. Zaraz po tym informacja o unieważnieniu habilitacji obiegła trójmiejską prasę. Zapewne będzie odwołanie do RDN, a później do WSA i NSA, co zajmie ok. 3 lata.

Trudno wyobrazić sobie, że przez ten czas Uniwersytet Gdański będzie utrzymywał skompromitowanego byłego rektora na etacie profesorskim wśród swoich pracowników. Stwierdzone naruszenie praw autorskich w monografii habilitacyjnej sprzed 10 lat moim zdaniem również wymaga wszczęcia dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego. Plagiaty się nie przedawniają!

Ten nieprzyjemny obowiązek spoczywa teraz na Uniwersytecie Gdańskim, apeluję więc do obecnego rektora, prof. Piotra Stepnowskiego, o podjęcie formalnych kroków. Wymaga tego zarówno rzetelność instytucjonalna, jak i postawa J. Gwizdały, który nie potrafił zaakceptować decyzji organów akademickich unieważniających jego awanse naukowe.

O dalszych losach profesury, postępowania dyscyplinarnego oraz karnego, jak również habilitacji będziemy informować.

Marekwro@gmail.com

Rozmowa z prof. Sylwestrem Czopkiem, archeologiem, rektorem Uniwersytetu Rzeszowskiego

Podejmujemy rękawicę

Młode uniwersytety – wolę takie sformułowanie niż określenie uniwersytet regionalny – czeka trudna i zapewne długa droga ku doskonałości, ale jest ona do pokonania. Nie mamy wyboru. Nie możemy jeszcze myśleć o statusie uczelni badawczych, ale w niektórych dyscyplinach stać nas na równą konkurencję.

W jakiej kondycji jest Uniwersytet Rzeszowski po dwudziestu latach działalności i wprowadzeniu nowego systemu organizacyjnego?

Uniwersytet Rzeszowski jest w coraz lepszej kondycji. Początki rzeczywiście były trudne, ale przemyślane i konsekwentne działania w ciągu całego dwudziestolecia przyniosły oczekiwane efekty. Najpierw należało doprowadzić do całkowitej integracji trzech podmiotów założycielskich, co dotyczyło nie tylko organizacji, ale także różnych przyzwyczajęń, a nawet odmiennych mentalności, co wciąż daje o sobie znać. W kolejnym okresie staraliśmy się wykorzystać boom inwestycyjny i wzbogacić uczelnię o nową, bardzo nam potrzebną infrastrukturę. Jej rozwój był pomyślany tak, aby jak najpełniej mogła być wykorzystywana w budowaniu potencjału naukowego oraz realnej obecności i rozpoznawalności w nauce polskiej i światowej. To zadanie, które staramy się realizować w ostatnich latach. Służyć temu ma nowa struktura uniwersytetu: cztery kolegia dziedzinowe – nauk humanistycznych wraz z dyscyplinami obejmującymi sztuki piękne i muzyczne, nauk społecznych, nauk przyrodniczych wraz z rolniczymi oraz nauk medycznych. W obrębie kolegiów istnieją instytuty jednodyscyplinowe. Dwuletnie funkcjonowanie uczelni w tej strukturze – i to w trudnym, pandemicznym czasie – pokazało sprawność tego systemu, zwłaszcza w perspektywie przyszłej ewaluacji, współpracy między dyscyplinami oraz bardziej efektywnej gospodarki finansowej.

Czy ograniczenie kompetencji organów kolegialnych jest dobrym rozwiązaniem dla uniwersytetu?

Uściślijmy. Zmiany, które należało wprowadzić, rzeczywiście ograniczyły kompetencje organów kolegialnych, choćby w zakresie zadań obecnie jednoznacznie przypisanych rektorowi lub radzie uczelni. Duch, a w pewnym stopniu także litera prawa – choć niezbyt konsekwentnie – wymusiły zmiany i nieco inne niż dotychczas postrzeganie uczelni. Autorzy ustawy, zapatrzeni we wzorce anglosaskie, zaproponowali ustrój uczelni, będący połączeniem tradycji i nowego modelu zarządzania i organizacji, który jest bliski korporacjom. W książce Billa Readingsa pod znanym tytułem *Uniwersytet w ruinie* znajdujemy ważną obserwację: „uniwersytet nie jest jakby korporacją, ale jest nią naprawdę”. Jeśli ta diagnoza jest słuszna, to usprawiedliwia ona kierunki niektórych zmian, ale ich pogodzenie z tradycją wydaje się trudne, a nawet sprzeczne. Za najważniejszą uznaję autonomię, która umożliwia wybór wielu różnych ścieżek polityki

uczelni we wszystkich zakresach, w tym w modelach organizacji i zarządzania. W Uniwersytecie Rzeszowskim nie dostrzegam ograniczenia podmiotowości poszczególnych instytutów czy kolegiów, ani też tej w wymiarze indywidualnym.

Cieszy pana większy zakres kompetencji rektora. Czy to już autokracja, jak chcą niektórzy?

W zarządzaniu uniwersytetem nie ma oczywiście mowy o autokracji. Jest zwiększona odpowiedzialność rektora, ale wszystko zależy przecież od kultury zarządzania i umiejętności współpracy z niższymi szczeblami kierowania strukturami uczelni. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że moja druga kadencja rektorska, czyli już po reformie, jest dużo trudniejsza od poprzedniej. Składa się na to wiele powodów, nie tylko pandemia i ograniczenie działalności uczelni, ale zwłaszcza nowy sposób kierowania tak złożoną strukturą jak uniwersytet. To wymaga czasu na dostosowanie się, nabrania doświadczenia przez samego rektora i zrozumienia przez całą społeczność akademicką.

Czy Rada URZ jest panu jako rektorowi, ale także uniwersytetowi (społeczności akademickiej, innym organom uniwersytetu) realnie potrzebna w takiej postaci i przy takich kompetencjach, jakie daje jej ustawa PSW?

Obecność rad uczelni trzeba oceniać w kontekście wszystkich zmian, jakie wprowadziła Ustawa 2.0. Są one tym ogniwem, który w zarządzaniu zbliża nas do korporacji. Przy jednoosobowej odpowiedzialności rektora za całą uczelnię obecność rady jest konieczna, nie tylko po to, aby patrzyła mu na ręce, ale aby pomagała w trudnych momentach podejmowania kluczowych, strategicznych decyzji. Z moich obserwacji wynika, że rada powinna zbudować własny model współpracy z władzami uczelni, który winien charakteryzować się większą kreatywnością. Obecność w radzie osób spoza wspólnoty akademickiej może być inspirująca w zakresie nowych programów studiów czy nawet kierunków kształcenia, a także efektywnej współpracy z otoczeniem, np. sferą biznesu czy kultury.

Wyraźnie widać, że uniwersytety poza wielkimi centrami akademickimi (poza UMK) odbiegają poziomem, skutecznością, ale także aktywnością w pozyskiwaniu grantów, cieszą się też mniejszym zainteresowaniem kandydatów na studia od uczelni w wielkich ośrodkach akademickich. Czy można to jakoś przezwyciężyć?

W podtekście tej diagnozy odczytuję pytanie, czy takie uniwersytety jak nasz mają szansę dorównania najlepszym? W konsekwencji możemy też dojść do pytania, czy są w ogóle potrzebne? Młode uniwersytety – wolę takie sformułowanie niż określenie uniwersytet regionalny – czeka trudna i zapewne długa droga ku doskonałości, ale jest ona do pokonania. Nie mamy wyboru. Nie możemy jeszcze myśleć o statusie uczelni badawczych, ale w niektórych dyscyplinach stać nas na równą konkurencję. Co do drugiego pytania, to odpowiedź brzmi: zdecydowanie tak. Uzasadnia to choćby niewątpliwý sukces – edukacyjny (rekordy rekrutacyjne) oraz naukowy (znaczące publikacje, współpraca międzynarodowa) – kierunku lekarskiego i całego Kolegium Nauk Medycznych URz. To najbardziej dynamicznie rozwijająca się jednostka naszego uniwersytetu. Trzeba także zwrócić uwagę na kierunki artystyczne – mamy sztuki plastyczne i muzykę – które spełniają istotną misję kulturotwórczą dla regionu, podobnie jak cała humanistyka i nauki społeczne. Wybory miejsca studiowania są różnie motywowane i decydują o nich różne konteksty, o co wystarczy zapytać studentów. Nie decydują o tym ani nie pomagają w tym rankingi uczelni, które od lat proponują te same kryteria i sprzyjają raczej petryfikowaniu pewnego obrazu niż odzwierciedlają rzeczywisty poziom poszczególnych kierunków studiów i całych uczelni. Problem zdobywania grantów jest bardzo ważny, ale proszę mnie zwolnić ze szczegółowej odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje, że nie tyle mniejsze, co młodsze ośrodki akademickie okupują ostatnie miejsca w zestawieniach beneficjentów NCN-u, NAWA czy NCBR-u. Na ten temat wiele już napisano, także na łamach „Forum Akademickiego”. Nie jest to sytuacja fatalistyczna, ale raczej pochodna wielu nakładających się na siebie błędnych decyzji, w tym systemowych, a także cech naszego charakteru. Całe środowisko akademickie zostało zmuszone do permanentnej rywalizacji i przyzwyczajają się powoli do ciągłych zmian. Nie zapewnia to skupienia i spokoju tak potrzebnego działalności naukowej.

Wiele lat temu byłem członkiem Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej (obecnie już nie istnieje) oceniającej jeden z kierunków na renomowanej uczelni. Jej przewodniczący już na samym początku wypowiedział znaczące zdanie: nie będziemy się przecież wygłupiać, w końcu to uniwersytet... Chodziło o duży, renomowany uniwersytet. Myślę, że tego typu rozumowanie pokazuje, że większym i starszym łatwiej wybaczają się błędy i niedociągnięcia, a podobne w mniejszych i młodszych uczelniach mogą drogo kosztować.

Od kilku lat kształcimy młodzież we własnym Dwujęzycznym Liceum Uniwersyteckim im. S. Barańczaka. Może ono poszczycić się wysokimi wskaźnikami zdawalności matur, a część absolwentów wybiera naszą uczelnię. Swoisty paradoks polega na tym, że najlepsi z nich trafiają także do innych, renomowanych, dużych ośrodków. Generalnie zmiany, które wprowadzamy, podyktowane są wymogami polityki projakościowej. Zakłada ona m.in. szczególną opiekę nad doktorantami i młodą kadrą akademicką. W Uniwersytecie Rzeszowskim działa Rada Młodych Naukowców, która prócz innych działań w systemie konkursowym przydziela granty uczelniane właśnie dla tej grupy. Konkursy obowiązują również koła naukowe, aplikujące o środki na działalność związaną z własnymi projektami. Najważniejszym jednak środkiem pobudzającym działalność naukową, w tym zdobywanie grantów, jest tzw. dodatek projakościowy. Płaca jest podzielona na dwie części: znacznie większą, stałą i jednakową, a przez to transparentną, na określonych stanowiskach od asystenta do profesora, oraz ruchomą, korygowaną raz w roku w oparciu o dorobek naukowy mierzony publikacjami. System ten, zaakceptowany przez całą społeczność uniwersytetu, stosujemy od kilku lat. Według moich obserwacji sprawdza się on w coraz większym



Prof. dr hab. **Sylwester Czopek** (ur. w 1958 r.) jest archeologiem, rektorem Uniwersytetu Rzeszowskiego od 2016 r. (wcześniej przez rok pełnił obowiązki rektora). Ukończył archeologię na Wydziale Humanistycznych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (1981), doktoryzował się w Instytucie Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk (1989), a habilitował na Uniwersytecie Jagiellońskim (1997). Po studiach podjął pracę w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, a od 1991 r. do 2008 r. był dyrektorem tej placówki. Równocześnie już w 1997 r. rozpoczął pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Był współtwórcą i dyrektorem Instytutu Archeologii URz. Potem w swojej uczelni pełnił funkcje: dziekana Wydziału Socjologiczno-Historycznego (2008-2012) i prorektora ds. nauki (2012-2015). Prowadzi badania nad epoką brązu i wczesną epoką żelaza, głównie na terenie południowo-wschodniej Polski. Jest autorem lub współautorem 260 publikacji, w tym 15 książek. Jest członkiem Komisji Prehistorii Karpat PAU oraz Komitetu Nauk Pra- i Protohistorycznych PAN. Jest członkiem Polskiej Akademii Umiejętności.

zakresie. Trzeba także wymienić możliwość zatrudniania na etatach badawczych czy czasowe obniżenie pensum dydaktycznego.

Jak ocenia pan program RID?

W Uniwersytecie Rzeszowskim prowadzimy projekt Regionalnej Inicjatywy Doskonałości dotyczący nauk rolniczych. Jego realizacja rzeczywiście przyczyniła się do wzrostu aktywności badawczej mierzonej znaczącymi publikacjami, patentami oraz intensyfikacją współpracy z podmiotami zewnętrznymi. Dowodem na to są coroczne nominacje do nagród Elsevier Research Impact Leaders Awards w kategorii Agricultural Sciences, w tym już trzykrotne zwycięstwo (także za rok 2020). RID to z pewnością dobra inicjatywa, ale należałoby zmienić zasady konkursowe w postępowaniach rozstrzygających przyznawanie środków. Nawet sam fakt ograniczenia „doskonałości” do trzech arbitralnie ustalonych dyscyplin budzi uzasadnione wątpliwości. Na podsumowanie całociowych efektów RID-u trzeba jednak poczekać do końca jego realizacji.

Mocno wierzę w to, że zmieniona struktura organizacyjna uczelni przyniesie po pewnym czasie pozytywne efekty. Dyrektorzy instytutów odpowiadają bowiem za naukę i związane z tym sprawy (np. współpraca z otoczeniem społeczno-gospodarczym). Natomiast kształcenie studentów – jego planowanie, organizacja i realizacja – leży po stronie pionu dydaktycznego, kierowanego przez dziekana każdego kolegium. Można to nazwać pewną centralizacją, w której łatwiej o efektywne zarządzanie i wdrażanie jednakowych, wysokich standardów.

Czy system grantowy, który oferuje NCN, odpowiada na potrzeby polskiej nauki, zwłaszcza tej uprawianej w mniejszych ośrodkach, takich jak Rzeszów? Widzi pan szansę na grant ERC dla jakiegoś badacza z URz?

Zróżnicowanie nauki na tę uprawianą w mniejszych i większych ośrodkach jest z gruntu niedobre. Nauka jest jedna i może

być oceniana wartościująco tylko w kategorii rangi osiągnięć. Być może jestem idealistą, ale skoro tych grantów nie zdobywamy, to zapewne dlatego, że nie zasługujemy, bo nasze wnioski są słabe merytorycznie. Korekta systemu i zastosowanie „dwóch prędkości” to zły pomysł, a kolejna rewolucja w systemie nie jest potrzebna. Naszym pomysłem na granty ERC są wspólne projekty składane z partnerami zagranicznymi. W pewnym sensie substytutem grantów NCN są na Podkarpaciu środki regionalne. Aktywnie działa Podkarpackie Centrum Innowacji, będące jednostką samorządu wojewódzkiego, finansowaną ze środków europejskich, w którym w trybie konkursowym można ubiegać się o środki na badania, zwłaszcza realizowane z prze-mysłem lub innymi podmiotami zewnętrznymi. Dla uczelni jest to zastrzyk kilku do kilkunastu milionów złotych.

Czy i jak URz korzysta z możliwości finansowania uczelni przez samorządy, którą daje nowe prawo?

Nie licząc wspomnianego projektu, w przypadku naszych lokalnych samorządów możemy mówić o niewielkich w skali budżetu uczelni dotacjach celowych, głównie na inwestycje w infrastrukturę lub zakup aparatury badawczej. Cieszymy się jednak ze współpracy innego rodzaju, a dobrym przykładem jest wykorzystywanie szpitali rzeszowskich, podlegających samorządowi wojewódzkiemu, w kształceniu studentów na kierunkach medycznych, w tym zwłaszcza lekarskim. Uniwersytet nie ma jeszcze własnego szpitala klinicznego. Inną ważną dla nas formą pomocy są mieszkania dla kadry akademickiej, które przekazuje prezydent miasta.

Może właściwe byłoby wzmocnienie systemu subwencji podmiotowej?

Zwiększenie finansowania w formie subwencji przyjąłbym z radością. Zmiana dotacji na subwencję jest bardzo korzystna, umożliwia bowiem prowadzenie bardziej racjonalnej polityki finansowej wewnątrz uczelni, co oczywiście koreluje z nowymi kompetencjami rektora i w pełni autonomicznymi decyzjami organów uczelni, ograniczonymi tylko przez ustawę o finansach publicznych. W przypadku naszego uniwersytetu możliwe stało się skierowanie większych środków do instytutów na prowadzenie badań naukowych, a na ich rozwoju nam szczególnie zależy.

Pana komentarz do sytuacji finansowej uniwersytetu – do raportu UKF, w tym do wysokości płac w URz w stosunku do innych uniwersytetów.

Aktualna sytuacja finansowa Uniwersytetu Rzeszowskiego jest dobra. Jak się wydaje, tej stabilności raczej nic nie zagraża, o ile nie będzie kolejnych korekt i zmian w algorytmie subwencyjnym. W raporcie UKF także nie dostrzegam, z naszego punktu widzenia, niekorzystnych trendów czy choćby sygnałów świadczących o zagrożeniach bezpieczeństwa finansowego. W kilku sprawach, jak np. pozyskiwanie środków na badania czy przychody z działalności naukowej, jest oczywiście wiele do zrobienia, ale wynik finansowy od trzech lat systematycznie rośnie. Co do wynagrodzeń: jesteśmy wśród pięciu uniwersytetów, które mogą pochwalić się największą dynamiką wzrostu płac w latach 2016-2020, wynoszącą 130% i więcej. Wartość bezwzględna średniego rocznego wynagrodzenia mieści się co prawda w dolnych rejestrach uniwersyteckich, ale jest ona porównywalna z kilkoma podobnymi uczelniami, a za URz jest jeszcze sześć innych uniwersytetów. Nie jest więc źle, ale mam wyższe oczekiwania.

Jak wielu pracowników URz zatrudnionych jest na umowach czasowych i dlaczego?

Na umowach czasowych są zatrudniani tylko pracownicy rozpoczynający pracę, a i to nie wszyscy, profesorowie, któ-

rym przedłużamy zatrudnienie po przejściu na emeryturę oraz osoby wykonujące swe obowiązki w zamkniętym okresie, np. zatrudnione w projektach. Obecnie na umowach czasowych pracuje 18% zatrudnionych, w tym nauczycieli akademickich.

URz powstał w wyniku konsolidacji rzeszowskiej WSP oraz filii i wydziałów UMCS z Lublina i UR z Krakowa. Czy w Rzeszowie rozmawiacie teraz o konsolidacji tutejszych uczelni?

Nie widzę potrzeby dalszej, spowodowanej tylko doktrynalnymi powodami konsolidacji. Myślę jednak, że przyszłość może to stanowisko zweryfikować. Swoje zadania integrujące wypełniliśmy w 2001 roku, czyli w momencie kiedy powstawał Uniwersytet Rzeszowski. Teraz chodzi raczej o wspólne działania – tu są możliwe różne scenariusze – niż łączenie. Najpilniejszym zadaniem jest znalezienie modelu współpracy między uczelniami publicznymi i niepublicznymi. W Rzeszowie są dwie uczelnie publiczne i cztery niepubliczne, które konkurują między sobą w zakresie rekrutacji, ale też mamy przykłady współpracy. Dotyczy ona głównie przedsięwzięć naukowych. Jednak najlepiej wypada chyba współpraca studentów, np. organizacja rzeszowskich KultURaliów. Powinniśmy chyba wziąć przykład z naszych studentów, którzy nie odczuwają żadnych barier w rozwijaniu współpracy. Ustawa 2.0 w zasadzie wyklucza możliwości fuzji podmiotów publicznych z niepublicznymi, a więc nawet perspektywiczne myślenie w tym kierunku napotyka na formalne ograniczenia.

Co pan sądzi o wydzieleniu, wbrew praktyce na świecie, archeologii w odrębną od historii dyscyplinę?

Uważam, że to bardzo dobre posunięcie, pomimo odmienności naszego podziału nauk od systemu OECD. Walczyło o to środowisko polskich archeologów. Odrębność współczesnej archeologii od historii jest na tyle istotna, że nie powinniśmy mieć w tym względzie żadnych oporów. W XXI wieku niejednokrotnie archeologii bliżej jest do dyscyplin przyrodniczych niż tradycyjnej narracji historycznej. Mamy przecież wiele przykładów z całego świata, tych z przeszłości i współczesnych, na istnienie interdyscyplinowych instytutów archeologii czy muzeów archeologicznych. Uważam także, że archeologia jako samodzielna dyscyplina naukowa lepiej się będzie czuła w garniturze uszytym przez Ustawę 2.0.

Czy po objęciu funkcji rektora musiał pan porzucić własne badania naukowe?

Wypełnianie funkcji rektorskiej pochłania oczywiście bardzo dużo czasu, a w wielu przypadkach towarzyszy temu wysoki poziom stresu. Nie musi to być jednoznaczne z zaprzestaniem prowadzenia badań naukowych. Od 2013 roku nieprzerwanie prowadzę granty NCN ukierunkowane na badania stanowisk z epoki brązu i wczesnej epoki żelaza (II-I tys. BC) na terenie pogranicza polsko-ukraińskiego. Jest to szczególnie interesujące, bowiem dotyczy rubieży kulturowej między wschodem i zachodem Europy, która właśnie w tym czasie zaczyna być wyraźnie rozpoznawalna. Częścią tych prac są prowadzone od 2016 roku wykopaliska w Chotyńcu, które w bardzo istotny sposób zmieniły dotychczasowe postrzeganie wpływów scytyjskich w Europie Środkowej. Na wspomnianym stanowisku odkryliśmy antyczną ceramikę grecką – amfory służące do transportu wina – która przywędrowała nad San dzięki scytyjskim arystokratom. Wyniki tych badań uważam za najważniejsze w swoim dorobku, a uzyskałem je w trakcie pełnienia funkcji rektorskiej. „Chotyńiec” to wielki – ze względu na zasięg przestrzenny, rangę badań i konieczność zaangażowania dużych środków i zespołów ludzkich – problem badawczy na wiele lat.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Zbigniew Drozdowicz

W oczekiwaniu na ewaluację

Może ktoś zapytać: co w tym złego? Rzecz nie tylko w tym, że kupione punkty niekoniecznie oznaczają wysoki poziom naukowy publikacji, ale także w tym, że utrudniają obiektywną ocenę poziomu uprawiania danej dyscypliny w poszczególnych uczelniach.

Kolejna ewaluacja osiągnięć naukowych zbliża się wielkimi krokami i według zapewnień władz ministerialnych nie będzie ona po raz kolejny przysunięta o rok. Co więcej, jej zasady nie mają już podlegać poważniejszym korektom. Na to zresztą ma nadzieję środowisko akademickie. Nie oczekiwało ono bowiem na nią biernie, lecz podejmowało kroki przygotowawcze. Wypowiedział się tutaj nie tylko o tych krokach, ale także o zasadach.

Ewaluacja „po staremu”

Zapewne w środowisku akademickim jej ogólne zasady są pamiętane. Chciałbym powiedzieć jedynie parę słów o mankamentach tej zasady, że oceniane były tzw. podstawowe jednostki uczelniane: wydziały oraz instytuty naukowo-badawcze PAN. Na temat jej ujemnych stron mógłbym sporo powiedzieć. Pełniłem bowiem przez dwie kadencje funkcję dziekana Wydziału Nauk Społecznych UAM i byłem odpowiedzialny za jego przygotowanie do ewaluacji. Wpadł w niej dobrze, gdyż ani razu nie zszedł poniżej kategorii A. Na tym dużym wydziale zatrudnionych było ponad 200 pracowników naukowo-dydaktycznych i składał się on z czterech instytutów oraz jednej katedry. Problem polegał m.in. na tym, że nie był jednorodny dziedzinowo. Były na nim bowiem dwa instytuty sytuujące się w naukach społecznych (psychologii i socjologii) oraz dwa w naukach humanistycznych (filozofii i kulturoznawstwa). Przeprowadzając wówczas ocenę osiągnięć podobnych mu niejednorodnych jednostek Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych z tym problemem uporał się stosunkowo łatwo. Zastosował bowiem również zróżnicowane kryteria oceny.

Jednak w końcowej ocenie najistotniejsze znaczenie miały nie tylko wyniki uzyskane przez najsilniejsze jednostki wydziałowe, lecz także efektywność badawcza i publikacyjna pracowników, którzy dawali do przelicznika N (oznaczającego liczbę pracowników) razy 4 (oznaczającego liczbę branych pod uwagę publikacji) najwięcej wysoko punktowanych artykułów i monografii. Wywoływało to zadowolenie tych, którzy do przelicznika nie dawali nic albo niewiele. Niezadowoleni byli natomiast ci, którzy w głównej mierze przyczynili się do otrzymania przez ocenianą jednostkę wysokiej kategorii. Gdyby jeszcze ci pierwsi

potrafili i chcieli właściwie ocenić i docenić osiągnięcia drugich. Z tym jednak różnie bywało. Zdarzało się bowiem, że wbrew oczywistym faktom je kwestionowali – m.in. w głosowaniach na radach wydziału nad wnioskami o przyznanie naukowemu liderom wyróżnienia w formie nagrody ministra lub rektora.

Na moim ówczesnym wydziale był profesor, który co roku wykazywał się ponadprzeciętnymi osiągnięciami, więc przyznanie mu któregoś z wyróżnień przynajmniej mnie wydawało się kwestią bezdyskusyjną. Innego zdania byli jednak ci, którzy w głosowaniu takiego wniosku byli na „nie” lub wstrzymywali się od jego poparcia (liczba takich głosów była często spora). Nie będę wymieniał nazwiska tego lidera, nie był to bowiem jednostkowy przypadek. Zapewne przyczyniły się one do zmiany sposobu określania efektywności naukowej, przy którym spora grupa mało efektywnych naukowo pracowników akademickich mogła rozdawać i rozdawała uznaniowe „karty”.

Ewaluacja po nowemu

Obecne zasady ewaluacji określone zostały w Ustawie 2.0 oraz w towarzyszących jej rozporządzeniach ministerialnych i generalnie są, a przynajmniej powinny być znane społeczności akademickiej. Powiem zatem krótko: po nowemu oceniane będą nie tzw. podstawowe jednostki organizacyjne, lecz dyscypliny naukowe, przy czym lista tych dyscyplin rozporządzeniem ministerialnym skrócona została o ponad połowę. Istotne znaczenie ma również to, że ocenie mają być poddane osiągnięcia jedynie pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych i to tylko wówczas, gdy afiliację do danej dyscypliny zgłosiło co najmniej 12 z nich, przy czym każdy może dać nie więcej niż 4 tzw. sloty. Jeśli pracownik ich nie ma – czyli w wykazie osiągnięć dyscypliny, do której dał swoją afiliację, stanowi N-O – to jego zero nie jest jednak „czystym” zerem, lecz jest N-O minus. Jeśli natomiast ma osiągnięcia, ale nisko punktowane, to są one wprowadzone brane pod uwagę, jednak działają na niekorzyść dyscypliny w jego uczelni oraz na korzyść jej konkurentów w innych uczelniach lub jednostkach PAN. Trzeba dodać, że uczelnie zostały zobowiązane do przystosowania tych i innych

PLEASE WAIT



LOADING

Rys. Sławomir Makal

jeszcze regulacji Ustawy 2.0 do swoich zapisów statutowych i rozwiązań ustrojowych.

Na temat tego przystosowywania opublikowano już kilka raportów. Jeden z nich przedstawiony został w publikacji zbiorowej pt. *Innowacje i konserwatyzm 2.0. Polskie uczelnie w procesie przemian* (Toruń 2020). Zarówno z tego, jak i innych raportów wynika, że uczelnie różnie podeszły do wdrażania regulacji. Jedne dokonały faktycznie głębokich zmian w ustroju organizacyjnym. Należy do nich m.in. moja macierzysta uczelnia, UAM. Zmiany te wyrażają się m.in. w przystosowaniu jednostek wydziałowych do nowej listy dyscyplin naukowych. W przypadku mojego Wydziału Nauk Społecznych oznacza to jego podział na cztery mniejsze. Niektórzy już wcześniej optowali za separatyzmem od słabszych jednostek wydziałowych i są teraz zadowoleni. Natomiast niezadowoleni są przypisani do dyscypliny, z którą niespecjalnie im po drodze. Były jednak również uczelnie, jak np. UJ, które uznały, że najważniejsza jest tradycja ustrojowa, a innowacje zapisane w Ustawie 2.0 mają charakter przejściowy i w gruncie rzeczy nie warto o nie „kruszyć kopii” (jeśli tak można powiedzieć o pozostawieniu dotychczasowego podziału na wydziały). Wszystkie uczelnie stanęły przed problemem, który okazał się najtrudniejszy do rozwiązania. Stanowiło go dostosowanie długiej listy prowadzonych kierunków studiów i specjalizacji (na największych liczyła ona kilkaset pozycji) do krótkiej listy dyscyplin naukowych. Rzecz jasna nie można powiedzieć, że niczego w tym zakresie nie dało się zrobić, bowiem na niejednej uczelni pierwsza lista została znacznie skrócona (na UAM z ponad 300 do 200). Problem nie tylko w tym, że jest ona nadal dość odległa od krótkiej ministerialnej listy dyscyplin, ale przede wszystkim w tym, że nijak ma się ona do głoszonej na niejednej polskiej uczelni humboldtowskiej idei jedności badań naukowych i kształcenia studentów.

Dużo poważniejszym problem niż wydawało się to autorom i promotorom Ustawy 2.0, okazało się również ocenianie osiągnięć naukowych. To co miało miejsce przed wprowadzeniem tej regulacji prawnej, uznane zostało za swoistą chorobę środowiskową i nazwane punktozą. W najbardziej entuzjastycznych komentarzach do Ustawy 2.0 pojawiały się stwierdzenia, że przyczyni się ona do uleczenia jeśli nawet nie z wszystkich przypadków, to przynajmniej z tych, które przybrały patologiczny charakter. Dzisiaj na forach internetowych można zna-

leć wypowiedzi wskazujące, że choroba się pogłębia i ujawnia kolejne ciemne strony, takie m.in. jak sprzedawanie punktów za spore pieniądze i kupowanie ich nie tylko przez autorów artykułów, którzy zgłaszają je do druku w stosunkowo wysoko punktowanych czasopismach, ale także przez zatrudniające ich uczelnie. Można oczywiście podziwiać plan biznesowy takich konsorcjów wydawniczych jak MDPI oraz umiejętność jego realizowania w praktyce, nie tylko zresztą w pozyskiwaniu chętnych do drukowania w jego czasopismach, ale także w pozyskiwaniu tych, którzy podejmują się ich opiniowania w procedurze recenzyjnej. Niejedno polskie czasopismo ma spory kłopot zarówno z pierwszymi, jak i z drugimi. MDPI znalazło na to proste, a jednocześnie zadziwiająco skuteczne rozwiązanie. Autorom artykułów może zaoferować za publikację taką liczbę punktów, jaką oferują tylko nieliczne polskie czasopisma. Natomiast recenzentom proponuje tzw. vouchery (o wartości 100 CHF), które stanowią swoistą zaliczkę na ewentualną publikację artykułów w jego czasopismach. Znam poważnych polskich uczonych zatrudnionych na poważnych uczelniach, którzy przystają na tę ofertę (mimo że na wykonanie recenzji otrzymują stosunkowo niewiele czasu), a uczelnie dopłacają brakujące kwoty do kosztów druku artykułów swoich pracowników (są one tak znaczne, że mało kiedy mogą być pokryte z owych voucherów).

Może ktoś zapytać: co w tym złego? Rzecz nie tylko w tym, że kupione punkty niekoniecznie oznaczają wysoki poziom naukowy publikacji, ale także w tym, że utrudniają obiektywną ocenę poziomu uprawiania danej dyscypliny w poszczególnych uczelniach. Utrudnia ją zresztą nie tylko polityka handlowa, ale także prowadzona na niejednej uczelni polityka kadrowa, w której liczba osób zgłaszających do danej dyscypliny swoje afiliacje jest stosunkowo niewielka. Natomiast osoby mało efektywne naukowo i publikacyjnie zachęcane są (w niejednym przypadku skutecznie) do przejścia z etatów naukowo-dydaktycznych na etaty dydaktyczne, a co za tym idzie, nie są wykazywane w owym N. Może to się przełożyć na otrzymanie niższej dotacji budżetowej. Na pewno jednak naukowci słabeusz nie są „kamieniem u szyi” tych, którzy mają tak znaczące osiągnięcia naukowe, że mogą oczekiwać otrzymania przez ich dyscyplinę wysokiej kategorii. Wychodzi na to, że w ewaluacji po nowemu jest, przynajmniej pod tym względem, „po staremu”.

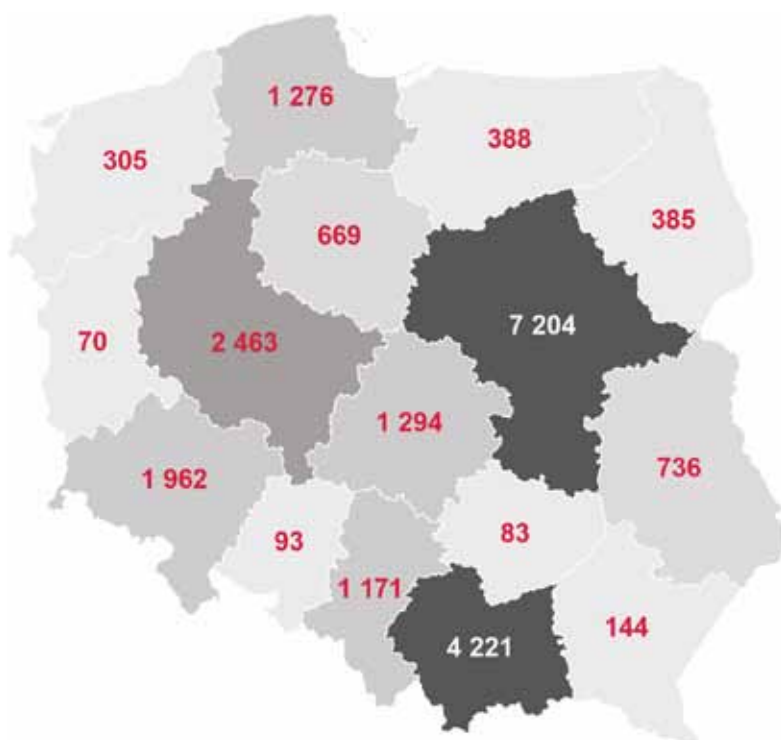
Kilka pytań i sugestii à propos

Odwołam się do wypowiedzi przewodniczącego KEN, prof. B. Skoczenia, zamieszczonej w poprzednim numerze FA. Znalazły się w niej bowiem nie tylko ważne informacje na temat obecnych zasad ewaluacji, lecz także zachęta do poważnych dyskusji nad ich modyfikacją. W moim przekonaniu wypowiedź ta może jednak przyczynić się do pewnego obniżenia poziomu emocji, które towarzyszyły niektórym decyzjom KEN, takim m.in. jak uwzględnienie w małym stopniu propozycji punktowych powołanych przez ministerstwo zespołów ds. oceny czasopism. Na pierwszym planie znalazła się w niej nie kwestia owej listy czasopism, lecz sposobu oceniania osiągnięć naukowych. Zdaniem przewodniczącego KEN, „bardzo podobny ma Australia”, ale „zupełnie odmienny” Francja. Przyznaje on przy tym, że „osobiście bardzo wysoko ceni” ten drugi. Skłania mnie to do postawienia pytania: dlaczego nie udało się przekonać do niego akademickich decydentów lub chociażby większości członków KEN? Argument, że jest to system kosztowny, mnie nie przekonuje. W dokonanie zobiektywizowanej oceny osiągnięć polskiej nauki warto bowiem zainwestować zarówno czas, jak i spore pieniądze. Za systemem francuskim przemawia m.in. to, że jest całościową oceną, w której uwzględniane są „zarówno badania naukowe, jak i kształcenie”. Kwestia całościowej oceny wiąże się w tej wypowiedzi z kwestią powoływania ekspertów. Prof. Skoczeń wskazuje takich ekspertów wśród członków KEN i zapowiada „tworzenie bazy ekspertów, którzy zechcą wziąć udział w ewaluacji. Zapewne będzie to kilkaset osób”.

Emocje wywołane wcześniejszymi decyzjami takich ekspertów przekonują, że jest z tym poważny problem. Szczególnie poważne zastrzeżenia wywołał stosowany przez ekspertów

KEN bibliometryczny system oceny czasopism. Potrafię zrozumieć, że do oceny ogromnej liczby ukazujących się na świecie czasopism potrzebny jest w miarę prosty sposób wyłaniania tych, które posiadają przynajmniej zewnętrzne znamiona naukowości, takie np. jak liczba przywołań zamieszczonych w nich artykułów. Natomiast nie bardzo rozumiem, dlaczego traktowane są one tak, jakby był to najważniejszy wskaźnik ich naukowego poziomu. Warto zadbać o to, aby „przechesywanie” przez bibliometrów wskaźników przywołań nie przypominało mieszania łyżeczką w szklance herbaty. Z całą pewnością od samego mieszania nie staje się ona słodsza, a nawet klarowniejsza. Z wiarą w moc sprawczą „łyżeczki” nie tylko trzeba polemizować, lecz także zastosować skuteczną terapię. Nie upierałbym się jednak przy tym, że jest nią dopisanie do listy czasopism przez ministerialnych decydentów kilkudziesięciu pozycji i podniesienie punktacji kilkudziesięciu innym.

Aby jednak nie wyszło na to, że znowu się czegoś czepiam, powiem na koniec, że przynajmniej niektóre decyzje ekspertów oceniam pozytywnie. Moje uznanie budzi m.in. decyzja o podniesieniu punktacji za recenzowane monografie naukowe. Moim zdaniem, stanowi ona świadectwo uwzględnienia opinii osób, które za anomalię uznają sytuację, gdy stosunkowo łatwy do przygotowania artykuł otrzymuje dużo więcej punktów niż obszerna i trudna do napisania monografia naukowa. Przydałoby się jeszcze określenie progowych warunków dla takich monografii, bowiem dzisiaj uchodzą za nie również różnego rodzaju artykułowe „sklejki”. Uważam, że warto wprowadzić – przynajmniej w naukach humanistycznych i społecznych – minima objętościowe (takie chociażby jak wcześniej) i warsztatowe (takie np. jak stopień wykorzystania fachowej wielojęzycznej literatury).



Liczba grantów NCN przypadająca na poszczególne województwa.



Naukowcy z województw mazowieckiego, małopolskiego i wielkopolskiego uzyskali łącznie finansowanie 13 888 projektów, czyli 60,7 % wszystkich grantów NCN.

Rozmowa z prof. Krzysztofem Diksem, byłym przewodniczącym Polskiej Komisji Akredytacyjnej

Mentoring, a nie kontrola

Kontrola była grzechem pierworodnym ewaluacji kształcenia w Polsce i niestety do dzisiaj wiele uczelni postrzega Polską Komisję Akredytacyjną jako „zbrojne ramię” ministerstwa. Dążyłem do tego, by PKA stała się partnerem-mentorem, którego rolą jest życzliwy ogląd działań uczelni odnośnie do jakości kształcenia oraz wskazywanie obszarów poprawy i doskonalenia, pamiętając przy tym o autonomii uczelni i odpowiedzialności za przyjmowane rozwiązania.

Po ponad pięciu latach zasiadania w fotelu przewodniczącego PKA, w czerwcu został pan odwołany z tej funkcji. W jakich okolicznościach do tego doszło?

Minister Przemysław Czarnek poprosił o spotkanie, na którym zaproponował mi ustąpienie ze stanowiska i dał czas do namysłu. Podczas tej rozmowy kurtuazyjnie zapytał o bieżące zadania komisji, ale odniosłem wrażenie, że nie interesuje go to, co mam do powiedzenia. Po dwóch tygodniach poinformowałem, że nie widzę powodów do rezygnacji, po czym otrzymałem przygotowany wcześniej dokument odwołujący mnie ze stanowiska.

Ma pan żal do ministra?

Świadczyłoby to o tym, że odbieram jego decyzję osobiście, a tak nie jest. Minister miał stosowne ustawowe uprawnienia do jej podjęcia, ale według mnie postąpił niezgodnie z duchem prawa, przerywając po raz pierwszy w historii kadencję przewodniczącego PKA. Tym samym naruszył zaufanie do komisji jako niezależnego od administracji państwowej organu odpowiedzialnego za jakość kształcenia na poziomie wyższym. Zresztą przemawiają za tym i inne ruchy. Ustawą z 21 stycznia 2021 r. o zmianie ustawy o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, innych chorób zakaźnych oraz wywołanych nimi sytuacji kryzysowych oraz niektórych innych ustaw (sic!) zwiększono w trakcie trwającej kadencji liczbę członków PKA do 100. Odkąd się to bez konsultacji z komisją i bez analizy jej potrzeb. Co więcej, nowych członków powołano bez analizy potrzeb odnośnie do dyscyplin naukowych, których reprezentanci w komisji są niedoreprezentowani. To nie wszystko, bo wśród tych dodatkowych członków znalazł się nowy przewodniczący. Wreszcie, last but not least, nagłej zmiany w kierownictwie dokonano bez wzięcia pod uwagę stanu toczących się prac i nie dając czasu na ich przekazanie.

Czy obserwując od stycznia to, co działo się wokół komisji, czuł pan, że odwołanie jest kwestią czasu?

Gdybym był politykiem, pewnie dostrzegłbym jakieś sygnały. Pierwsze półtora roku pracy komisji w tej kadencji

było bardzo intensywne. Głowę miałem zajętą rozwiązywaniem bieżących problemów, do których doszły sprawy związane z pandemią. Ponadto bardzo intensywnie zajmuję się edukacją informatyczną na każdym jej poziomie i temu właśnie poświęcałem w dużej mierze swój wolny czas.

Pozostaje w panu wiara w niezależność PKA?

Komisja to ludzie w znakomitej większości cieszący się autorytetem w środowisku. Wierzę w ich obiektywizm i niepoddawanie się ręcznemu sterowaniu. Ta wiara wynika też z mojej długoletniej pracy na rzecz komisji i postaw wielu osób, które spotkałem na swojej drodze. Z PKA jestem związany od początku jej istnienia. Podczas pierwszej kadencji byłem jeszcze niezbyt aktywnym ekspertem. Moje pełne zaangażowanie zaczęło się 1 stycznia 2012 roku, kiedy zostałem członkiem PKA IV kadencji i jednocześnie przewodniczącym zespołu nauk ścisłych, a tym samym członkiem Prezydium PKA. Cztery lata później, w okresie intensywnych prac nad Ustawą 2.0, stanąłem na czele komisji. Środowisko akademickie pozytywnie oceniło moje działania w tym czasie, rekomendując mnie do składu na VI kadencję, w trakcie której nagle zostałem odwołany z funkcji przewodniczącego.

Nadal będzie pan jednak w składzie PKA?

Na prośbę wielu osób, których zdanie bardzo wiele dla mnie znaczy, pozostaję członkiem komisji, żeby móc z bliska obserwować, w którym kierunku będzie ona zmierzać i nie zawaham się zaprotestować, jeśli uznam, że ocena jakości jest ręcznie sterowana. Jakość nauki i kształcenia zależy przede wszystkim od ludzi, ich klasy naukowej i dydaktycznej, odpowiedzialności i moralności. Nie da jej się zadekretować. Nie można ustawą czy rozporządzeniem stworzyć uczelni z prawdziwego zdarzenia, czy też nadać uprawnienia doktorskie i habilitacyjne skutkujące dobrymi doktoratami lub habilitacjami. W tym miejscu chciałbym wspomnieć moje pierwsze spotkanie z premierem Górnem, kiedy zaproponował mi kierowanie pracami komisji V kadencji. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. W PKA znalazłem się jako reprezentant środowiska z poparciem Senatu

Uniwersytetu Warszawskiego. Na pytanie o to, dlaczego ja, odpowiedział, że potrzebuje merytorycznego, niepolitycznego fachowca z osiągnięciami w nauce, dydaktyce i administracji akademickiej, który świeżym okiem spojrzy na jakość kształcenia na poziomie wyższym i sposoby jej oceny.

Co pan po sobie zostawia?

Kiedy przystępowałem do aktywnego udziału w pracach komisji, a potem pełniłem funkcję przewodniczącego, moją ideę fixe była zmiana wizerunku PKA. Kiedy powstawała w 2002 roku, resort potrzebował organu kontrolnego pozwalającego zapanować nad gwałtownie rosnącą liczbą uczelni i prowadzonych studiów. Kontrola była grzechem pierworodnym ewaluacji kształcenia w Polsce i niestety do dzisiaj wiele uczelni postrzega Polską Komisję Akredytacyjną jako „zbrojne ramię” ministerstwa. Dążyłem do tego, by PKA stała się partnerem-mentorem, którego rolą jest życzliwy ogląd działań uczelni odnośnie do jakości kształcenia oraz wskazywanie obszarów poprawy i doskonalenia, pamiętając przy tym o autonomii uczelni i odpowiedzialności za przyjmowane rozwiązania.

Udało się?

Niestety jest to łatwe z kilku powodów. Każda uczelnia jest zobowiązana ustawowo poddać się ocenie. Negatywna może skutkować zawieszeniem przez MEiN kształcenia na danym kierunku. Jeszcze gorzej sytuacja wygląda przy wydawaniu pozwoleń na prowadzenie studiów na określonym kierunku, poziomie i profilu. Decyzje w tym zakresie podejmuje resort, między innymi na podstawie opinii przygotowywanej przez PKA. Tym samym komisja pośrednio jest wciągnięta w postępowania administracyjne ministerstwa, co ma niewątpliwie wpływ na jej postrzeganie. Rozdzielenie aspektów formalnoprawnych od jakościowych w procesie oceny jakości kształcenia jest nieustającym wyzwaniem, przed jakim stoi komisja. Wymaga to przede wszystkim zmian w prawie. Warunki formalnoprawne kształcenia powinny być tak określone, żeby mogły być raportowane i weryfikowane automatycznie, np. w systemie POLon, i kontrolowane przez wyspecjalizowane do tego służby administracyjne. Kryteria te nie powinny podlegać ocenie PKA, bo naszymi ekspertami są pracownicy badawczo-dydaktyczni uczelni, studenci i przedstawiciele pracodawców. W ocenie jakości kształcenia powinni oni korzystać z tego, na czym najlepiej się znają i co wynika z ich doświadczeń i osiągnięć naukowych, dydaktycznych i organizacyjnych.

Jak mieliby to przełożyć na pracę w komisji?

Dla przykładu: żeby ocenić jakość kształcenia na danym kierunku, ekspertowi niepotrzebna jest znajomość łącznej liczby punktów ECTS, jaką student musi uzyskać w ramach zajęć z bezpośrednim udziałem nauczyciela akademickiego bądź innych osób prowadzących zajęcia. Ekspert powinien potrafić ocenić, czy liczba godzin kontaktowych w ramach zajęć jest wystarczająca do osiągnięcia przez studentów założonych efektów uczenia się i czy względny nakład pracy studenta dla tych zajęć w ocenianym programie studiów, mierzony liczbą punktów ECTS, jest właściwy.

Proponuje pan odejście od wskaźników ilościowych?

One powinny mieć jak najmniejszy wpływ na ocenę jakości kształcenia. Jeśli dany wskaźnik, np. liczba godzin kontaktowych, czas trwania praktyki zawodowej itp., nie jest osiągany, to ekspert powinien tylko móc ocenić, czy wpływa to bezpośrednio na możliwości osiągnięcia założonych efektów uczenia i wykształcenia absolwenta studiów odpowiedniego profilu i stopnia. Moim zdaniem część członków i ekspertów komi-



Prof. dr hab. **Krzysztof Diks** (ur. w 1956 r.) – matematyk i informatyk. Specjalizuje się w algorytmach i strukturach danych, obliczeniach równoległych i rozproszonych oraz w teorii grafów. Był dyrektorem Instytutu Informatyki na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego, w którym nadal pracuje. Popularyzator informatyki i wychowawca wielu medalistów międzynarodowych olimpiad informatycznych. Od stycznia 2016 do czerwca 2021 roku pełnił funkcję przewodniczącego Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Był inicjatorem pierwszego internetowego konkursu programistycznego „Pogromcy Algorytmów”. Jest wychowawcą kilkudziesięciu medalistów międzynarodowych olimpiad informatycznych. Opiekun i nauczyciel mistrzów świata w programowaniu zespołowym w latach 2003 i 2007. Współorganizator Akademickich Mistrzostw Świata w Programowaniu Zespołowym w Warszawie (2012).

sji przy ocenie jakości kształcenia zbyt koncentruje się na spełnieniu warunków formalnoprawnych. To jest zrozumiałe. Brakiem spełnienia warunku formalnoprawnego łatwo uzasadnić wydaną ocenę. Trudniej jest z oceną merytoryczną. W poprzednich rozwiązaniach jednym z warunków prowadzenia studiów było posiadanie tzw. minimum kadrowego, które musiało się składać z pewnej liczby pracowników naukowo-dydaktycznych o stosownych stopniach i tytułach naukowych. Nieosiągnięcie tego limitu skutkowało obniżeniem oceny jakości kształcenia. Co jest jednak ważne dla jakości kształcenia? Z pewnością nie posiadanie formalnego minimum kadrowego, ale stabilność, jakość i liczebność kadry dydaktycznej potwierdzona osiągnięciami naukowymi lub zawodowymi niezbędnymi do realizacji programu studiów w wieloletniej perspektywie. Stopnie i tytuły naukowe są przesłanką do uznania kompetencji do prowadzenia zajęć, ale zdecydowanie niewystarczającą.

Ukierunkowywał pan działania komisji w tym duchu?

Część warunków formalnoprawnych zawartych w ustawach i rozporządzeniach, a raczej ich nieprecyzyjność i czasami niezrozumiała restrykcyjność, stwarzają problemy inter-

pretacyjne zarówno ekspertom komisji, jak i uczelniom. Stąd w PKA pojawił się pomysł tzw. stanowisk interpretacyjnych względem pewnych rozwiązań prawnych. Stanowiska te służą przede wszystkim jawności prac oraz standaryzacji i porównywalności ocen. Cały czas jednak starałem się przekonywać członków i ekspertów komisji, że nie są one wykładnią prawa, a każda ocena jest indywidualna i że najważniejsze, aby oceniający szukali odpowiedzi na pytanie, czy uczelnia na ocenianym kierunku dobrze kształci. Innymi słowy, czy wyposaża absolwentów w wiedzę, umiejętności i kompetencje. Kryteria oceny i związane z nimi standardy ich spełnienia, przyjęte przez komisję, są tylko pomocnicze i porządkujące dla wypracowania tej najważniejszej, ogólnej oceny. Uczelnie, które potrafią merytorycznie uzasadnić przyjęte rozwiązania i uwiarygodnić je sukcesami studentów w osiąganiu założonych efektów uczenia, nie powinny obawiać się oceny ekspertów komisji.

Jakie grzechy mają na sumieniu uczelnie?

Niestety obserwuję, że wiele z nich tworzy nowe kierunki studiów typowo marketingowo, bez uwzględnienia rzeczywistego zapotrzebowania na absolwentów, możliwości kadrowych, odpowiedniej infrastruktury, jedynie z nadzieją, że atrakcyjna nazwa przyciągnie kandydatów. Wykorzystuje się do tego celu fundusze unijne, a po zakończeniu okresu finansowania uruchomione kierunki się zamyka. Tymczasem uczelnie powinny odpowiedzialnie podejmować decyzje, w jakim zakresie, po co i kogo chcą kształcić w długofalowej perspektywie. Raporty samooceny nadal pokazują, że często tej autorefleksji brakuje. Niezwykle ważna jest współpraca w projektowaniu programu studiów i jego realizacji z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Absolwenci powinni być otwarci na świat, pracę w różnorodnych etnicznie i kulturowo grupach i idee płynące spoza własnego środowiska. Dlatego tak istotne jest umiędzynarodowienie procesu kształcenia. Nie można też zapominać o wsparciu studentów i to zarówno w zdobywaniu wiedzy i umiejętności (dostęp do kadry, infrastruktury, pomoc socjalna), jak i rozwoju zainteresowań studentów. PKA dokonuje ocen raz na sześć lat. Na co dzień o wszystkie wymienione wyżej jakościowe aspekty kształcenia uczelnie powinny dbać same.

Czy nie uważa pan, że wobec silnej pozycji PKA w polskim systemie szkolnictwa wyższego uczelnie mają niewielką motywację do poddawania się akredytacjom środowiskowym?

Poddanie się ocenie PKA jest dla naszych uczelni obligatoryjne i wynika z przepisów prawa. Według mnie ocena programowa dokonywana przez PKA jest najbardziej ogólną, zewnętrzną, miarodajną, a do każdego kierunku stosuje się jednakowe, gwarantujące porównywalność kryteria, uwzględniając jednak specyfikę poszczególnych studiów. Uczelnie w Polsce mają możliwość poddawania się akredytacjom dokonywanym przez inne agencje, zarówno polskie, jak i zagraniczne. Wyniki ocen dokonanych przez agencje cieszące się środowiskowym autorytetem, w szczególności tych wpisanych do rejestru agencji akredytacyjnych EQAR, są uwzględniane przez PKA. O tym jednak, czy warto akredytować się w innej agencji niż PKA, uczelnia musi zdecydować sama, mając na uwadze korzyści z otrzymania akredytacji, przyczyniające się np. do zwiększenia rozpoznawalności w świecie lub uznawalności dyplomów. Ocena dla samej oceny nie ma sensu.

Jak bardzo pandemia zmieniła styl i organizację pracy komisji?

Ogłoszenie stanu pandemii i lockdown uczelni na wiosnę ubiegłego roku oznaczały przejście na kształcenie zdalne. Komisja zawiesiła przeprowadzanie ocen programowych i też przeszła na pracę online. Wszystkie działania, poza

ocenami programowymi, były nadal prowadzone. Uznaliśmy, że jeżeli kształcenie może odbywać się w trybie zdalnym, to i dokonywanie ocen programowych też powinno. Wymagało to przygotowania ścisłych procedur przeprowadzania zdalnych ocen programowych, zbudowania systemu informatycznego wspierającego ten proces, przeszkolenie w tym zakresie członków i ekspertów komisji oraz przedstawicieli uczelni. Wszystko udało się perfekcyjnie. Nie byłoby to możliwe bez zaangażowania i profesjonalizmu pracowników Biura PKA, członków Prezydium Komisji, a w szczególności sekretarza komisji. Z początkiem października 2020 roku wróciliśmy do pełnej działalności statutowej i rozpoczęło się dokonywanie ocen w trybie zdalnym. Według mnie przyjęte rozwiązania uporządkowały i usprawniły prace komisji. Potwierdzeniem tego był praktycznie brak opóźnień, mimo znacznego zwiększenia zakresu naszej pracy. Dla przykładu, w całej kadencji w latach 2016–2019 przeprowadzono 1271 ocen programowych i zaopiniowano 1162 wnioski o pozwolenie na utworzenie studiów. W tej kadencji, w okresie od 20 marca 2020 do 22 lipca 2021 roku, dokonano 717 ocen programowych i zaopiniowano 776 wniosków o pozwolenie na utworzenie studiów.

Nie tylko do tego sprowadza się działalność PKA...

Oczywiście prowadzimy też nieustający dialog z uczelniami, organizacjami studenckimi, pracodawcami, administracją... W czerwcu, z inicjatywy komisji, odbyło się Forum Jakości, na którym podjęliśmy temat przekucia sytuacji pandemicznej i przyjętych w niej rozwiązań w sukces, który zagwarantuje wysoką jakość kształcenia zarówno w sytuacji kryzysowej i powrotu do nauczania zdalnego/hybrydowego, jak też w warunkach normalnego, stacjonarnego kształcenia. O pozycji PKA i jej postrzeganiu w społeczności akademickiej świadczą ponad 1300 zarejestrowanych użytkowników wydarzenia, 35 prelegentów reprezentujących najważniejsze instytucje i organizacje funkcjonujące w systemie szkolnictwa wyższego, a także ponad 10 godzin transmisji wypełnionych merytoryczną dyskusją.

Pokusiłby się pan na koniec o podsumowanie dekady swojej działalności w PKA?

Dziesięć lat pracy w komisji to szmat czasu. Niewątpliwie pozwoliło mi to lepiej zrozumieć problemy związane z kształceniem na poziomie wyższym w Polsce, poznać specyfikę kształcenia w poszczególnych dyscyplinach, spotkać wspaniałych, zaangażowanych w sprawę jakości kształcenia przedstawicieli świata akademickiego. Uważam, że przy ograniczonych nakładach na szkolnictwo wyższe i naukę, przy powszechności kształcenia na poziomie wyższym, nie mamy się czego wstydić. Mamy wiele wspaniałych uczelni, których absolwenci zmieniają nie tylko Polskę, ale i świat. Powinniśmy zadbać o to, żeby pozostałe uczelnie uczyły jak najlepiej, na miarę potrzeb i możliwości, a nie w celu zaspokajania wybujałych ambicji polityków i lokalnych włodarzy. Moim niezrealizowanym marzeniem jest jeszcze większe docenienie dydaktyki. Nie ma uczelni bez badań na wysokim poziomie, ale nie ma jej i bez zaangażowanych dydaktyków. Pierwszy krok został zrobiony – mamy dydaktyczną ścieżkę awansu zawodowego. Kolejny etap, czyli wpływ jakości dydaktyki na ocenę uczelni i profity z niej płynące, przed nami. Tutaj powraca idea grantów dydaktycznych, o które można by rywalizować tak, jak o granty NCN.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Zbigniew Karolewski, Roman Hołubowicz

Czego możemy się nauczyć od Koreańczyków?

Prawdziwy uczony powinien być uczciwy, wolny od pokus finansowych, działać bez ograniczeń czasowych, nie zabiegać o awanse i przywileje oraz być skromnym. Mieliśmy szczęście spotkać takich ludzi w Korei.

Korea Południowa (zwana dalej Koreą) ma ok. 52 mln mieszkańców i powierzchnię sięgającą jednej trzeciej Polski. Siedemdziesiąt procent powierzchni zajmują lasy, a kraj jest jednym z największych importerów żywności na świecie. Jednocześnie aż 4% PKB wydaje na badania i rozwój (dla porównania w Polsce w roku 2018 było to zaledwie 1,21%).

Na początku lutego 2020 ogłosiliśmy wykłady w instytucie badawczym i firmie nasiennej w Korei. To stworzyło okazję do odwiedzenia miasteczka naukowego Daedeok Innopolis (DI), które powstało w roku 1973. Jest położone w pobliżu miasta Daejeon w dolinie Daedeok prowincji Yuseong-gu, ok. 150 km na południe od Seulu. Po licznych zmianach organizacyjnych przeprowadzonych w roku 2005 kompleks naukowy DI obejmuje dziś 232 instytuty naukowe i instytucje edukacyjne, w tym: 26 instytucji całkowicie finansowanych z budżetu państwa, 7 uniwersytetów, 13 państwowych instytutów badawczych, 25 agencji państwowych o zasięgu krajowym, 23 organizacje non-profit oraz 1669 firm prywatnych. W grupie tej pracuje ponad 33 tys. naukowców, a wraz z personelem technicznym liczba ta zbliża się do 70 tys. Jako przykład instytucji państwowej całkowicie finansowanej z budżetu państwa można podać Krajowe Centrum Nauki (National Science Museum). Powstało ono w Seulu w roku 1949, a w roku 1983 przeniesiono je do DI. Najważniejszą funkcją Centrum jest szeroka popularyzacja osiągnięć naukowych i technologicznych. Duże wrażenie zrobiła na nas kolekcja skamielin roślin oraz fragment gruntu z Księżyca подарowanego Koreańczykom przez prezydenta Richarda Nixona. Na obszarze 18 ha Centrum pokazuje wszystkie najważniejsze osiągnięcia nauki na świecie. Poza stałymi i okresowymi wystawami Centrum prowadzi typowe dla takich jednostek działania, np. dni nauki, konkursy przedmiotowe itp.

Przykładem instytucji wspieranej z budżetu państwa w DI jest Koreański Instytut Bionauki i Biotechnologii (KRIBB). Założony w roku 1985, zajmuje się szeroko rozumianą bionauką i biotechnologią oraz organizmami transgenicznymi w aspek-

Bionauka i biotechnologia

Przykładem instytucji wspieranej z budżetu państwa w DI jest Koreański Instytut Bionauki i Biotechnologii (KRIBB). Założony w roku 1985, zajmuje się szeroko rozumianą bionauką i biotechnologią oraz organizmami transgenicznymi w aspek-

Tabela 1. Miejsce wybranych uczelni w Korei Południowej na Liście Szanghajskiej (Academic Ranking of World Universities – ARWU) oraz podstawowe informacje o nich z roku 2019

Nazwa jednostki (ang.)	ARWU* 2019	Całkowita liczba studentów (tys.)*	Liczba studentów zagranicznych (tys.)*	Liczba nauczycieli akademickich (tys.)**
Seul Nat. Univ. [1]	101-150	31,0	1,3	4,3
Sungkyunwan Univ. [2]	151-200	22,5	2,1	3,3
KAIST*** [3]	201-300	8,9	0,5	1,3
Korea Univ. [4]	201-300	33,6	1,5	3,7
Yonsei Univ. [5]	201-300	32,5	2,5	3,6
Hanyang Univ. [6]	301-400	27,3	1,7	3,1
Kyung Hee Univ. [7]	301-400	20,6	3,9	3,6
Ulsan Nat. Inst. Sci. Tech. [8]	301-400	12,8	b.d.	1,6
Chungbuk Nat. Univ. [9]	601-700	26,0	b.d.	3,7

* Academic Ranking of World Universities

** QS World University Rankings

*** Korea Advanced Institute of Science & Technology

czego-mozemy-sie-nauczyc-od-koreanczykow-tab1-fa-07-2021



cie wykorzystania ich wyników w praktyce na skalę komercyjną. Dr Sang-Soo Kwak – kierownik tematu w grupie zajmującej się inżynierią systemów roślinnych – powiedział nam, że obecnie prace tej grupy skupiają się na trzech zagadnieniach. Pierwsze z nich dotyczy introdukcji w krajach azjatyckich ziemniaka słodkiego, zwanego potocznie batatem (*Ipomoea batatas* (L. Poir.)), jako źródła antyoksydantów w diecie człowieka. Kolejny dotyczy szeroko rozumianych badań genetycznych (genomiki, proteomiki i metabolomiki), a trzeci wykorzystania biotechnologii do ograniczania zjawiska degradacji obszarów uprawnych. Zespół dr. Kwaka współpracuje w tym zakresie z Instytutem Gleboznawstwa oraz Instytutem Warzywnictwa z Chin, a także z Narodowym Centrum Biotechnologii z Kazachstanu. Strona chińska dała w tym projekcie materiały oraz linie hodowlane batata, ziemniaka, lucerny i topoli, podczas gdy strona koreańska udostępniła najnowszą technologię tworzenia roślin transgenicznych. Wyniki projektu wdrożono na pustynnej wyżynie Loess w dorzeczu rzeki Żółtej oraz na

pustyni Kubuqi w prowincji Mongolia Wewnętrzna w Chinach. Kluczową rolę w KRIBB spełnia bank genów, a jego dyrektor, dr Jin-Hyub Paik, poinformował nas, że zawiera on ponad 1,3 mln fiolek z ekstraktami roślin oraz 35 tys. gatunków w zielnikach. W najnowszym projekcie prace skupiają się na uzupełnianiu kolekcji o gatunki z Chin, Wietnamu, Indonezji i Kostaryki. W opisie roślin uwzględnia się również zawartość substancji czynnych w nich zawartych.

Niemżliwe jest możliwe

Częścią naszego zaplanowanego wcześniej pobytu w DI był wyjazd na cmentarz bohaterów wojennych w Dajeon. Tam, w Alei Zasłużonych, są m.in. groby trzech koreańskich naukowców. O jednym z nich opowiedział nam dr Kwak, nasz gospodarz. Hyung Seop Choi (1920-2004) był koreańskim ministrem nauki i technologii i zasłynął w kraju ze sformułowania pięciu cech prawdziwego uczonego. Powinien on być uczciwy, wolny od pokus finansowych, działać bez ograniczeń czasowych, nie zabiegać o awanse i przywileje oraz być skromnym. Miło nam napisać, że mieliśmy szczęście spotkać takich ludzi w Korei. W KRIBB, podobnie jak w wielu innych koreańskich instytucjach badawczych, większość prac naukowych wykonują doktoranci. Są młodzi, zwykle jeszcze bez własnych rodzin i z silną motywacją do osiągnięcia celu, jakim jest uzyskanie stopnia naukowego doktora. W pracowni dr. Kwaka spotkaliśmy ośmiu z nich. Żaden nie miał skończonych trzydziestu lat. Większość rekrutowano z pobliskiego Uniwersytetu Nauki i Technologii (UNT).

Jak można przeczytać w ulotce: „Misją UNT jest kształcenie światowej klasy specjalistów stanowiących jednoprocentową elitę poprzez zaawansowane badania i twórcze kształcenie”. Jej celem jest zdobycie przez Uniwersytet pozycji lidera w całej Azji. Cel ten realizuje się m.in. poprzez wieloetapową rekrutację kandydatów na studia oraz wysokie wymagania dotyczące znajomości języka angielskiego na podstawie wyniku egzaminu TOEFL. Wśród 2600 studentów jest aż 1600 magistrantów oraz ponad 760 doktorantów. Pochodzą oni z sześćdziesięciu krajów.



Bioreaktor wykorzystywany w hodowli tkankowej żeńszenia (*Panax ginseng* C.A. Meyer) w Chungbuk National University

Czesne za jeden semestr studiów inżynierskich, magisterskich i doktorskich wynosi odpowiednio 2100, 1200 i 1400 dolarów. Uczelnia zapewnia jednocześnie swoim studentom wysokie stypendia z grantów promotorów. Dla magistranta i doktoranta w roku 2018 było to odpowiednio 1,2 i 1,6 mln wonów koreańskich miesięcznie (1 euro to około 1300 wonów). Uczelnia ustanowiła też system nagród pieniężnych dla studentów za wyróżniające się osiągnięcia badawcze. W kształceniu nawiązuje do metod pracy światowych liderów w nauce. W tym celu ma dwa fundusze stypendialne dla chętnych na zagraniczne staże naukowe do Japonii, USA, Kanady i Australii. Studentom proponuje się studia na osiemdziesięciu kierunkach, głównie z nauk przyrodniczych, informatyki, bio- i nanotechnologii oraz szeroko rozumianej inżynierii.

System kształcenia w Korei najlepiej oddaje powiedzenie „Niemożliwe jest możliwe”. Podejście samych Koreańczyków do nauki dzieci ma coś z filozofii Konfucjusza. Ten filozof chiński opowiadał się za pełnym dostępem ludzi do oświaty bez względu na ich pozycję społeczną i materialną. Jak twierdził, samokształcenie prowadzi do samodoskonalenia jednostki i w ten sposób możliwy jest jej awans społeczny. Dziś nauka i praca to dwa elementy koreańskiego etosu życia. Z tego, co widzieliśmy i usłyszeliśmy w Korei, wykształcenie dzieci to główny cel i ambicja każdego Koreańczyka. W tym dążeniu, co już wiemy z naszych podróży, Chiny, Korea i Japonia są do siebie podobne. Koreańscy uczniowie od szkoły podstawowej aż do aplikacji na doktorat stale ze sobą konkurują o dobrze płatną, cenioną społecznie i stabilną pracę. Korea w pełni realizuje dziś ideę Konfucjusza o pełnym dostępie obywateli do kształcenia. Blisko 95% z nich zdaje koreańską maturę, a 85% kończy studia.

Ten wyścig ma też ujemną stronę: wysoki jest odsetek samobójstw wśród młodych ludzi.

Ponad 80% koreańskich uczniów pobiera dodatkowe korepetycje. Jednak w przeciwieństwie do Polski nie dzieje się to prywatnie, lecz w specjalnych szkołach (hagwon). W roku 2017 było w Korei około 13 tysięcy takich szkół, w samym Seulu około 950. Największą zaletą tych szkół jest doskonalenie zdolności uczniów do dobrego zdawania testów, szczególnie koreańskiej matury (suneung), której wynik ma duży wpływ na przyjęcie do dobrej uczelni. Trzy z nich liczą się najbardziej: Seul, Korea i Yonsei – od pierwszych liter jest to tzw. grupa SKY.

Odpowiedzmy zatem na pytanie zawarte w tytule artykułu. Od Koreańczyków możemy nauczyć się m.in. pracowitości i bardzo przestrzeganego tu etosu pracy. Polega on, w pewnym uproszczeniu, na całkowitym utożsamianiu się pracownika z firmą i przywiązaniu do niej. W zamian oczekuje on przywilejów socjalnych i emerytalnych. Znamienne jest też silne powiązanie edukacji z przemysłem. Wyrazem tego jest działający system „miast nauki i innowacji”, w którym instytuty badawcze i uczelnie tworzą wspólne firmy nastawione na zysk dzięki uzyskanym patentom, a sami studenci uczestniczą bezpośrednio w tych pracach w ramach kształcenia. W całej Korei istnieje pięć miast nauki i innowacji, a pierwszym był opisany wcześniej DI. Imponuje również drugie miejsce Korei w światowym rankingu Bloomberga dotyczącym innowacyjności (Bloomberg Innovation Index 2020), w tym także drugie miejsce w kategorii wydatków na badania i rozwój.

Dr hab. Zbigniew Karolewski, prof. UPP i prof. dr hab. Roman Hołubowicz pracują w Katedrze Fitopatologii i Nasiennictwa na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu.



Wizyta w KRIBB. Od prawej stoją: Dr Sang-Soo Kwak, Zbigniew Karolewski, Roman Hołubowicz

Ujarzmić matematyczne potwory

Fraktale w służbie ludzkości

Nie miały łatwej drogi do uznania przez świat naukowy. Gdy powstawały pierwsze z nich, ówczesne środowisko matematyczne nie dawało im szans, nazywając „wyrzutkami” i „potworami”. Musiały przejść długą drogę, zanim zostały zaakceptowane przez matematyków i innych naukowców. Obecnie trudno jednak sobie wyobrazić dziedzinę nauki, w której nie są wykorzystywane.

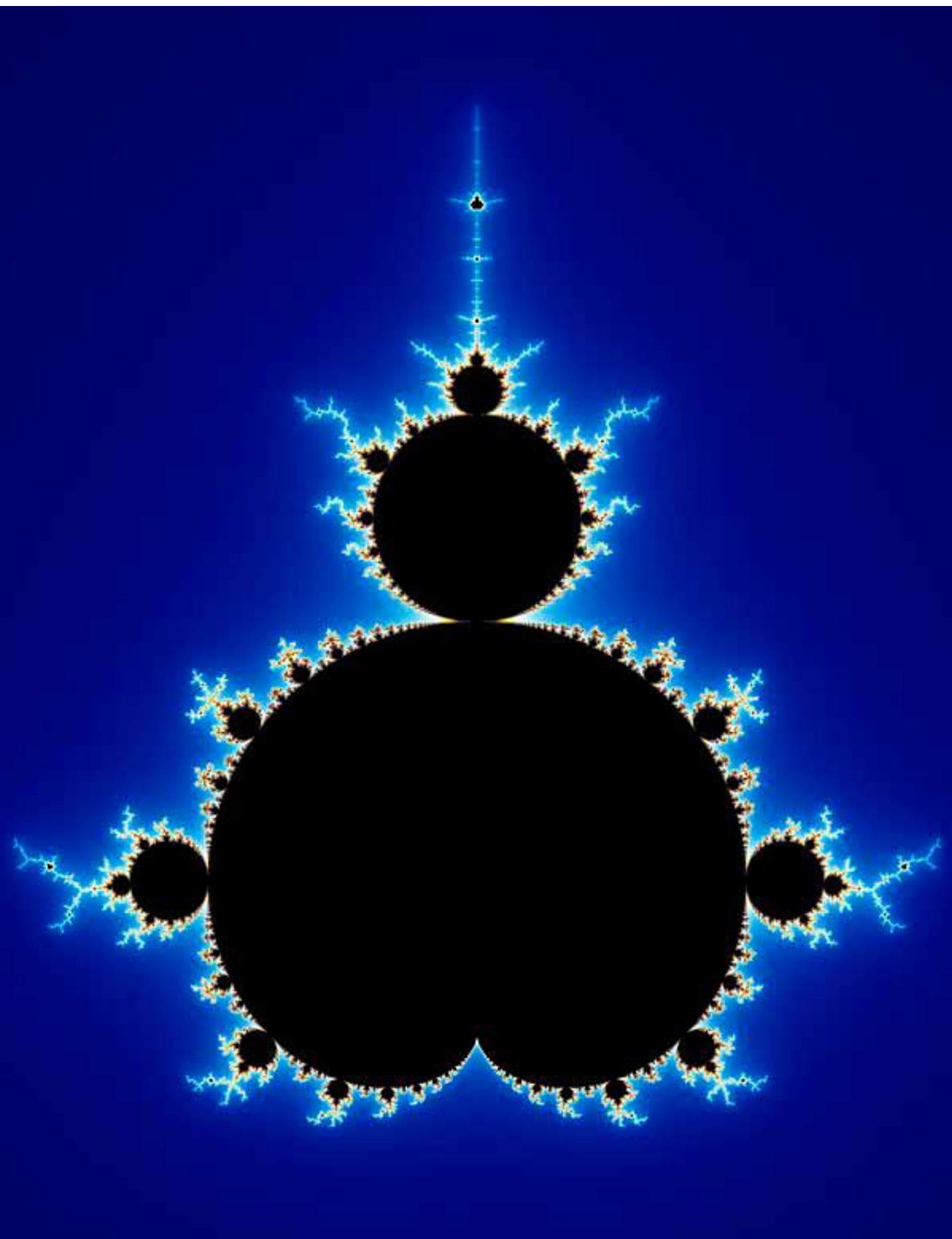
Fraktale... Nieskończenie złożone, niesamowicie skomplikowane samopodobne kształty, zazwyczaj nie dające się opisać zasadami i kształtami geometrii, która determinuje nasz świat od młodości, i do której tak bardzo się przyzwyczailiśmy – geometrii Euklidesa. Zapewne znajdzie się wielu, którzy o fraktalach „coś słyszeli” i to zapewne dzięki pracom Benoita Mandelbrota, naukowca i wizjonera, który obecnie nosi zasłużony tytuł „ojca geometrii fraktalnej”. Mandelbrot nie tylko wprowadził pojęcie fraktali, ale też spopularyzował je, dając początek rozwojowi tej egzotycznej dziedziny matematyki, która zdomowała się prawie w każdej dziedzinie nauk inżynierskich, ścisłych, nauk o życiu, a nawet lingwistyczne czy sztuce.

„Żuczek” i trudna droga do sukcesu

Dziełem życia Benoita Mandelbrota był słynny „żuczek”, jak pieszczotliwie nazywają go matematycy, fraktalny zbiór, który nosi obecnie jego imię – zbiór Mandelbrota. Badania tego zbioru trwają po dziś dzień i wciąż odkrywane są jego coraz nowsze, zaskakujące właściwości. Zbiór Mandelbrota wielu określa jako najbardziej skomplikowany obiekt geometryczny kiedykolwiek stworzony przez człowieka i jest w tym wiele prawdy, bowiem stanowi on rodzaj mapy drogowej. Poruszając się w nieskończonej złożoności jego brzegu po współrzędnych płaszczyzny zespolonej, na której zbiór jest zdefiniowany, odkrywamy ogromne mnóstwo innych zbiorów fraktalnych, nie tylko takich, które są podobne kształtem do jego

pierwotnej postaci, ale również zbiory Julii i Fatou, ukryte w gąszczu misternie posplatanych ze sobą kształtów. Te zbiory to dzieło dwóch francuskich matematyków, badających właściwości układów dynamicznych, którzy stworzyli podwaliny do powstania kilkadziesiąt lat później zbioru Mandelbrota. Ze względu na to, że zbiór ten zawiera mniejsze kopie nie tylko samego siebie, ale również innych zbiorów fraktalnych, jest określany mianem multifraktala.

Fraktale nie miały wszak łatwej historii i drogi do uznania przez świat naukowy. Gdy powstawały pierwsze z nich, ówczesne środowisko matematyczne nie dawało im szans, określając „wyrzutkami” i „potworami”. Musiały przejść długą drogę, zanim zostały zaakceptowane przez matematyków i innych naukowców. Obecnie trudno jednak sobie wyobrazić dziedzinę nauki, w której nie są wykorzystywane. Wśród zastosowań należy przede wszystkim wymienić ekonomiczne narzędzia, służące do analizy fluktuacji cen na nieprzewidywalnych rynkach, gdzie fraktale stanowią już niemal klasykę. Od takich właśnie analiz zaczynał Mandelbrot w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Analiza fraktalna znalazła również szerokie zastosowanie w naukach chemicznych i biologicznych, gdzie jest wykorzystywana do oceny stopnia skomplikowania obserwowanych struktur, a w mechanice pęknięcia fraktale posłużyły jako narzędzie do matematycznego opisu krawędzi pęknięć oraz przewidywania ich postępowania. Fraktale wiernie służą astrofizykom, którzy wykorzystują je do analizy i modelowania kształtów galaktyk i rozproszenia znajdującej się w nich materii. Nie brakuje też przykła-



Zbiór Mandelbrota.

Źródło: Wikipedia, za: Wolfgang Beyer with the program Ultra-Fractal 3. — Praca własna, CC BY-SA 3.0, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=321913>

dów muzyki fraktalnej, sposobu algorytmicznego generowania muzyki z wykorzystaniem fraktali, a naukowcy z Bostonu doszukali się struktury fraktalnej nawet w niektórych dziełach słynnego Bacha. To jedynie niewielka próbka wielopłaszczyznowości wykorzystania fraktali, która obrazuje, jak bardzo „matematyczne potwory” zakorzeniły się w nauce i jak wpływają na postęp cywilizacyjny.

Jak skomplikować najbardziej skomplikowane?

Ale wróćmy do zbioru Mandelbrota. Mimo że nazwano go najbardziej skomplikowanym obiektem geometrycznym kiedykolwiek istniejącym, możliwe jest jego uogólnienie i takie uogólnienia zaczęły pojawiać się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Zbiór Mandelbrota jest zdefiniowany na dwuwymiarowej płaszczyźnie zespolonej, tj. na osiach mamy odpowiednio części rzeczywistą i urojoną liczb reprezentujących jego punkty. Wydawałoby się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby zdefiniować ten zbiór w przestrzeniach, które są uogólnieniem płaszczyzny zespolonej. Pierwsze takie przestrzenie, czterowymiarowe kwaterniony i ośmiowymiarowe oktoniony, zostały zdefiniowane jeszcze w XIX wieku przez Hamiltona i Gravesa, natomiast na początku ubiegłego wieku matematycy Cayley i Dickson zaproponowali sposób tworzenia wielowymiarowych przestrzeni hiperzespolonych właściwie bez ograniczeń, w którym liczba wymiarów takiej przestrzeni zawsze jest dwukrotnie większa od poprzedniej.

Rozważając o wielowymiarowych przestrzeniach mamy na uwadze zawsze wymiary geometryczne, które trudno sobie wyobrazić, wchodzimy na kolejne poziomy abstrakcji matematycznej, które przynoszą ze sobą wiele dziwnych właściwości. Otóż, mając narzędzie do tworzenia wielowymiarowych przestrzeni, można byłoby uogólniać dwuwymiarowy zbiór Mandelbrota do postaci istic niewyobrażalnych matematycznych dziwologów. Szkopuł w tym, że działania matematyczne, które poznaliśmy w ławkach szkoły podstawowej, takie jak przemienność, łączność czy rozdzielność w rachunkach arytmetycznych, po kolei przestają działać wraz ze wzrostem liczby wymiarów naszych przestrzeni. Oznacza to, że w przestrzeniach hiperzespolonych mnożenie przez siebie dwóch niezerowych liczb może w wyniku dać zero albo i jeszcze dziwniejsze wyniki. Zatem uogólnienia zbioru Mandelbrota możliwe są jedynie do przestrzeni ośmiowymiarowych, co jednak i tak jest wyzwaniem, jeżeli chcielibyśmy spróbować sobie to wyobrazić. W przestrzeniach o wyższej liczbie wymiarów fraktale zamieszkać już nie mogą, głównie przez wyżej wspomniane trudności z wykonywaniem działań mnożenia.

Gdzie przyda się wielowymiarowy potwór?

Czy te wielowymiarowe hiperzespolone przestrzenie mogą się do czegoś przydać poza rozpaleniem tęgich matematycznych umysłów? Wbrew wrażeniu, że są to twory wyłącznie abstrakcyjne, znalazły one mnóstwo istotnych zastosowań, bowiem algebra czterowymiarowych kwaternionów została stworzona przez Hamiltona właśnie na potrzeby owych zastosowań i obecnie stanowi podstawę aparatu matematycznego w mechanice klasycznej i kwantowej, mechanice płynów, robotyce czy dynamice molekularnej. Doskonałym przykładem zastosowania kwaternionów jest ich wykorzystanie w układach kontroli orientacji przestrzennej statków kosmicznych, tj. uogólniając, bez kwaternionów ludzkości trudno byłoby polecić w kosmos. Wykorzystanie kwaternionów

do opisu obrotów w przestrzeni trójwymiarowej jest po prostu znacznie prostsze i efektywniejsze niż wykonanie tych działań w przestrzeni trójwymiarowej. Nie brakuje też zastosowań kolejnego uogólnienia kwaternionów – ośmiowymiarowych hiperzespolonych oktonionów. Z nich również czerpie mechanika kwantowa, elektrodynamika, a także są one podstawą opisu matematycznego współczesnej teorii fizyki Wszechświata: teorii supergrawitacji i superstrun, zmierzających do odnalezienia Świętego Graala fizyki – enigmatycznej i wciąż jeszcze hipotetycznej Teorii Wszystkiego, która miałaby opisać wszystkie oddziaływania fizyczne w sposób spójny.

Ale zastosowanie przestrzeni hiperzespolonych to jedna rzecz, a zupełnie inna – zastosowanie żyjących w nich fraktalnych hiperzespolonych „potworów”. Czy wielowymiarowe uogólnienia zbioru Mandelbrota mogą się przydać nam do czegoś jeszcze poza zawrotem głowy przy próbie ich wyobrażenia? Otóż również te matematyczne dziwologię okazują się niezwykle przydatne i niepostrzeżenie stoją na straży naszych poufnych informacji. Żyjemy w świecie, gdzie wielkość przepływu informacji jest wręcz niewyobrażalna i stale rośnie. Wiele tych informacji to takie, których wolelibyśmy nie ujawniać, tj. nasze informacje osobiste, transakcje finansowe, podpisy cyfrowe itd. Aby je chronić przed niepożądanym dostępem, konieczne są skuteczne metody szyfrowania. Jedną z takich metod jest algorytm generowania tzw. kluczy, czyli pewnego rodzaju algorytmów pozwalających na szyfrowanie i deszyfrowanie informacji poufnych. Najnowsze badania wykazują, że doskonale nadają się do tego zbiory fraktalne zdefiniowane w czterowymiarowej przestrzeni kwaternionów. A to dzięki pewnym wyjątkowym właściwościom tych zbiorów. Generowanie zbiorów fraktalnych jest ściśle związane z zachowaniem chaotycznym, bowiem geometria fraktalna ciasno przeplata się z teorią chaosu w wielu zagadnieniach. To z kolei powoduje, że algorytm oferuje nieskończoną liczbę kombinacji parametrów generowanego zbioru, co umożliwia ogromną różnorodność generowanych kluczy. Ponadto generowanie zbiorów fraktalnych jest procesem nieodwracalnym, co oznacza, że nie jesteśmy w stanie określić parametrów na podstawie struktury wygenerowanego obrazu. Dodatkowo możemy sterować sposobem wykonywania przekrojów zbioru (w wyniku wykonania takiego przekroju otrzymujemy trójwymiarową bryłę), który dodaje kolejne parametry przy generowaniu kluczy. Ostatecznie w sposób losowy wybierane są reprezentatywne punkty z tego trójwymiarowego przekroju, co gwarantuje wysoki poziom zabezpieczenia naszych danych.

Historia nauki, a zwłaszcza matematyki, bogata jest w nieprawdopodobne i kuriozalne wręcz zwroty akcji, nie tylko odmienniające życie naukowców pracujących nad przełomowymi problemami naukowymi, ale również zmieniające sposób postrzegania nauki i prowadzące do kolejnych skoków cywilizacyjnych. Tak było z fraktalami, które z „matematycznych wyrzutków” w ciągu stu lat awansowały do roli niezastąpionych kompanów współczesnych naukowców. O tej trudnej historii fraktali opowiada ostatnio wydana książka popularnonaukowa mojego autorstwa *Fraktale. Matematyczne potwory, które odmieniły postrzeganie świata* (Wydawnictwo Politechniki Śląskiej).

Dr hab. inż. Andrzej Katunin, prof. PŚ, Wydział Mechaniczny Technologiczny Politechniki Śląskiej w Gliwicach

Mariusz Karwowski

Nie tylko łagodzi obyczaje

Do teorii inżyniera Mamonia mówiącej o tym, że lubimy te piosenki, które już znamy, naukowcy dopisali właśnie kolejną – jesteśmy muzycznymi „wszystkożercami”.

Na playliście umieszczono czternaście utworów. Wśród nich kawałki polskie i zagraniczne, evergreeny sprzed lat i piosenki z aktualnych list przebojów. Nastrojowe ballady i bardziej dynamiczne kawałki, a także klasyczne kompozycje. Uczestnicy badania mogli się zatem poczuć niczym uczestnicy teleturnieju „Jaka to melodia?”. Choć, z uwagi na długość fragmentów, trafniejsze wydaje się porównanie z „Wielką grą”. Słuchali popu, rocka, rapu, muzyki poważnej, a nawet operowej arii...

– Ich zadaniem było rozpoznanie oraz określenie, na ile podoba im się dany fragment. Przyjęliśmy założenie, że świadectwem różnicowania się gustów muzycznych jest właśnie preferowanie konkretnych utworów, kompozytorów, wykonawców, zespołów itd., co miało wynikać z przyjętego przez respondenta systemu wartości, jego wrażliwości i statusu – wyjaśnia dr Katarzyna M. Wyrzykowska z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

Tego typu badania, w których różne aspekty życia, jak choćby styl ubierania się czy sposoby spędzania wolnego czasu, poddawane są analizie pod kątem społecznej hierarchizacji, wykonuje się na Zachodzie od dawna. W Polsce ten obszar jest na razie słabo rozpoznany. Przed kilkoma laty lukę tę postanowił wypełnić zespół prof. Henryka Domańskiego z IFiS PAN. Badacze przyjrzeni się stylom jedzenia Polaków. Wyszło im, że przeważająca część społeczeństwa nadal spożywa o określonych porach trzy główne posiłki, co stanowi o specyfice naszego rytmu jedzenia, różniącego nas np. od Francji, Wielkiej Brytanii czy krajów nordyckich. Jemy najczęściej w domu, w gronie rodzinnym i na ogół typowe dania kuchni polskiej (rosół, pomidorowa, kotlet schabowy, ziemniaki), co wskazywałoby na ciągłość tradycyjnego modelu odżywiania się. Jednocześnie uczeni zauważyli w tym aspekcie oddziaływanie struktury społecznej, które przejawia się w istnieniu zależności między wyborami konsumpcyjnymi a usytuowaniem w hierarchii społecznej. „Klasa średnia” znacznie częściej niż pozostali żywi się zdrowo (nabiał, chude mięso, zielona herbata) i unika produktów uznanych za szkodliwe (tłuszczów i cukru, słodzonych napojów). Wśród kierowników i specjalistów występuje znajomość produktów i potraw mniej powszechnych, egzotycznych i wyszukanых, takich jak: kuskus, tortilla, krewetki, sushi, musaka czy mule. Oni też częściej deklarują picie alkoholu droższych, takich jak whisky czy gin, podczas gdy wśród robotników i rolników najpopularniejsze jest piwo.

– Członkowie różnych klas funkcjonują też w innym rytmie jedzenia. Zwyczają konsumpcji trzech głównych posiłków przestrzegają najczęściej rolnicy. Oni też najrzadziej jadają dru-

gie śniadanie, zastępując je jedzonym najwcześniej obiadem. Nieco później obiadują robotnicy, jeszcze później właściciele, a najpóźniej pracownicy umysłowi niższego szczebla oraz wyżsi kierownicy i specjaliści. Ta ostatnia kategoria najrzadziej jada kolację, natomiast częściej od innych drugie śniadanie – przywołuje wyniki poprzedniego projektu prof. Henryk Domański.

Muzyczna soczewka

Kontynuując niejako tamte badania, tym razem wzięto na warsztat gusty muzyczne. Na taką skalę – zrealizowano ponad 2 tys. wywiadów – nigdy w Polsce tego nie robiono. Mimo że – zdaniem wielu socjologów – nic tak nie różnicuje społeczeństwa jak muzyka, stanowiła ona dotychczas jedynie dodatek, czy to w badaniach dotyczących stratyfikacji kultury jako takiej, czy – jak we właśnie rozpoczynanym projekcie naukowców z UMK – analizie związku gustu muzycznego z gustem architektonicznym. Tymczasem przecież większość z nas codziennie jej słucha i to właśnie w tej aktywności, niczym w soczewce, skupiają się też społeczne podziały.

– Muzyka w przeciwieństwie do innych sztuk wymaga stosunkowo mało fatygi i środków. Chcąc pójść do teatru, osoby z małych miejscowości muszą zadać sobie sporo trudu, by pokonać ograniczenia infrastrukturalne, transportowe, finansowe. Mieszkańcy dużych ośrodków mają to na wyciągnięcie ręki, ale też muszą znaleźć czas. Tymczasem muzyka towarzyszy nam niemal non stop, można jej słuchać nawet podczas zakupów. Każdy ma z nią styczność, czy to na imprezach rodzinnych, czy w pracy. I każdy może coś powiedzieć o swoich preferencjach – wyjaśnia dr Wyrzykowska.

Ta tematyka chodziła za nią już od jakiegoś czasu. Podczas pisania doktoratu dotyczącego uczestnictwa młodzieży w kulturze muzycznej, uderzyło ją to, że w Polsce brakuje... socjologów muzyki. Nie chodzi o badaczy, którzy zajmują się tym tematem okazjonalnie, lecz o tych, którzy konsekwentnie wokół niego budują swoją zawodową drogę. Zdecydowała się nią pójść, choć sama pochodzi z rodziny niezwiązanej zawodowo z muzyką. Szybko jednak zrozumiała, że bez muzyki trudno żyć. Na pomysł, by przyjrzeć się temu aspektowi codzienności pod kątem stratyfikacji społecznej, długo swojego szefa nie musiała namawiać. W pierwszym etapie zaplanowano badania ilościowe, w tym wspomniane na wstępie odsłuch wybranych utworów.

Pop na topie

Potwierdziło się to, co intuicyjnie można było przeczuwać. Najbardziej lubianym przez Polaków gatunkiem muzycznym

jest pop, którego słucha aż 72% respondentów. Nie różnimy się w tym od zagranicznych populacji. Za to nasze własne disco polo lubi więcej niż połowa pytaných (51,5%). Dużą popularnością cieszy się też muzyka ludowa i tradycyjna (43,8%). Uczeń przyznają, że ta ostatnia kategoria jest najbardziej płynna i może obejmować zarówno muzykę źródłową/etniczną, jak i biesiadną, a także wykonawców typu „Mazowsze” czy „Śląsk”, którzy bardziej kojarzą się z wariacją „miastowych” na temat muzyki wsi. Dopiero czwarte miejsce zajął rock (40,6%), który z kolei jest najbardziej dowartościowywanym, jeśli chodzi o wykształcenie respondenta.

We wszystkich kategoriach zawodowych pierwszym wyborem była muzyka popularna – z wyjątkiem rolników, którzy wskazywali częściej na disco polo i muzykę ludową. Wysoki odsetek słuchających disco polo zanotowano także u robotników i – co może zaskakiwać – u pracowników umysłowych. Właściciele firm zaraz po popie słuchają rocka, a kierownicy i specjaliści muzyki klasycznej.

Kategorią różnicującą preferencje był też wiek badanych. Najbardziej uwidoczniło się to przy rapie, techno i muzyce ludowej. Dwóch pierwszych gatunków słuchają głównie młodzi, trzeciego osoby 56+, które z kolei rapu najbardziej nie lubią. Możliwe, że część z nich w ogóle nie miała styczności z taką muzyką.

– Preferencje są także ściśle związane z pochodzeniem społecznym. Podejrzewaliśmy, że ci, którzy mieli styczność z muzyką poważną w domu rodzinnym, będą po nią sięgać również i później. Ale okazało się, że przy innych gatunkach pojawiła się podobna tendencja, np. jazz, rock czy pop były preferowane zarówno przez respondenta, jak i jego rodziców. To, jaką muzykę słyszymy w domu, kształtuje więc naszą wrażliwość na całe życie – komentuje dr Wyrzykowska.

Dodaje przy tym, że silniejsze w kontekście wiedzy o muzyce jest oddziaływanie ojców niż matek – to oni są postaciami bardziej znaczącymi w formowaniu naszego gustu muzycznego. A co dzieje się z nim później? Jak podkreśla badaczka, zgodnie z teorią preferencji długotrwałych, wiele z tego, co polubimy w młodości, pozostaje z nami na dłużej. Nawet jeśli nie słuchamy już muzyki z tamtego okresu, wciąż mamy do niej sentyment. Określona muzyka może też z nami pozostać, jeśli wiąże się z wydarzeniem czy etapem życia dobrze się kojarzącym. Są jeszcze preferencje sytuacyjne, czyli słuchanie muzyki, której na co dzień... nie słuchamy. Nie chodzi tu o wesela, gdzie jesteśmy niejako skazani na to, co zagra didżej, ale np. domówki, na których sami dokonujemy wyboru repertuaru. Moja rozmówczyni podaje przykład disco polo. Po okresie dystansowania się wobec tego gatunku młodzi ludzie zaczęli się przy nim bawić. Wcześniej było to traktowane jako „obciach”, dziś bardziej z przymrużeniem oka, w żartobliwej/ironicznej konwencji słuchają tej muzyki.

Klasowe upodobania

Zmiana naszego gustu może także przybrać trwały charakter. Tak dzieje się chociażby u osób, które aspirując np. do jakiegoś kręgu środowiskowego, mogą sięgać po muzykę ciesząc się tam uznaniem. Podobnej presji poddawani są ci, którzy dokonali nagłego awansu społecznego, i by nie odczuwać dyskomfortu z powodu bycia odmieńcem, też wybiorą muzykę słuchaną przez ich nowe otoczenie. Analizy pokazały również, że preferencje muzyczne osób zmieniających pozycję klasową różnią się od upodobań tych, którzy dziedziczą status rodziców. Ponadto zauważalne jest, że osoby, które zmieniły pozycję w hierarchii społecznej, z jednej strony dostosowują się w pewnym stopniu do nowych środowisk, z drugiej pozostają nadal związane z pozycją klasową swoich rodziców. To zjawisko najwyraźniej

jest widoczne w muzyce klasycznej, disco polo i rocku, a najslabiej w lubieniu popu i rapu.

Co ciekawe, istotnym czynnikiem w kształtowaniu naszego gustu są też preferencje życiowych partnerów. Najsilniej wpływ ten zaobserwowano przy muzyce poważnej i jazzie.

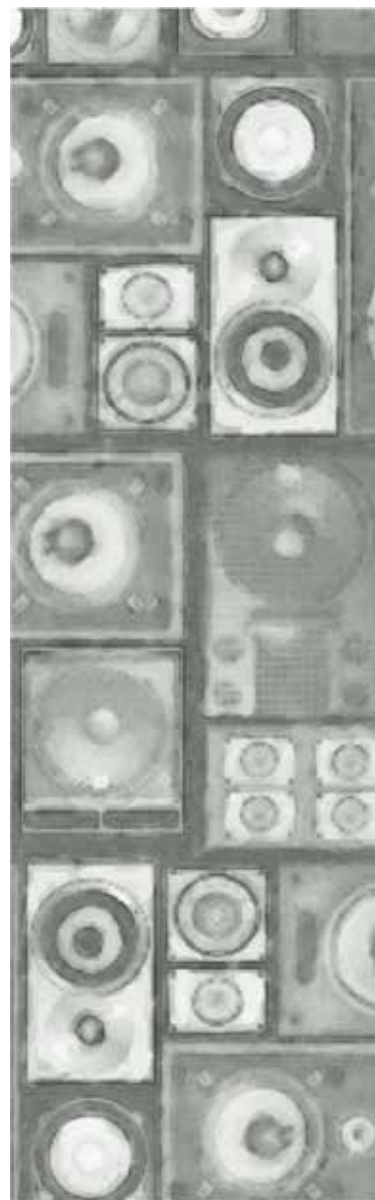
– Jeśli badany wykonywał zawód o mniejszym statusie i był związany z kierownikiem bądź specjalistą, to miał silniejsze upodobania do tych gatunków niż osoby z jego grupy zawodowej wchodzące w związki z kimś innym. To samo działało w drugą stronę – raportuje badaczka z IFiS PAN.

Ją samą w świat dźwięków wprowadzał starszy brat. To dzięki niemu zainteresowała się m.in. amerykańskim grunge'em. Dziś słucha elektronicznej alternatywy, przy czym bardziej post-rocka niż techno, a ostatnio także muzyki etnicznej, głównie ze Skandynawii. Nie gardzi też popem, zwłaszcza tym z ostatnich dekad minionego wieku. Takie połączenie różnych gatunków, niekiedy z dwóch krańców skali, choć w pierwszej chwili zaskakujące, jest dość powszechne. Zjawisko to, nazwane omniworyzmem lub wszystkożernością, zdefiniowano pod koniec XX wieku w Stanach Zjednoczonych. Tamtejsi uczeni wskazywali na tendencję polegającą na łączeniu praktyk kulturowych tradycyjnie przypisywanych kategoriom o odmiennym statusie społecznym. W skrócie chodzi o to, że osoby usytuowane wyżej w hierarchii społecznej zaczęły sięgać po treści, które były charakterystyczne dla osób o niższym statusie. Może to działać również w drugą stronę, aczkolwiek zachodni socjologowie udowodnili, że to osoby z góry społecznej hierarchii są największymi „wszystkożercami”, poszerzając tym samym własne spektrum kulturowe.

– Nie jest to lubienie wszystkiego bez wyjątku, ale raczej otwieranie się na różne rodzaje konsumpcji – precyzuje dr Wyrzykowska.

Bach, Davies, a może Weekend?

Omniworyzm postrzegany był na początku jako oznaka zacieraania się dystansów społecznych, tolerancji, otwartości. Wbrew temu okazał się on raczej zjawiskiem utrwalającym podziały klasowe, gestem elitarnym, wyższościowym. Warto jednak zaznaczyć, że zjawisko to na poszczególnych piętrach społecznej hierarchii kształtuje się inaczej. Dotychczas wyodrębniono kilkanaście rodzajów omniworyczności związanej w jakimś stopniu z pozycją klasową, przy czym występują w nich również konteksty lokalne i narodowościowe. W Polsce zjawisko to nie dotyczy raptem 13% społeczeństwa, głównie osób związanych do jednego gatunku muzycznego albo nie lubiących żadnego. Największą grupę stanowią umiarkowani omniwory-



ści, czyli lubiący 2–4 gatunki. Klasyczny omniworyzm, czyli łączenie „góry” z „dołem”, to w naszych warunkach jednocześnie upodobanie do muzyki klasycznej i disco polo, i taką preferencję zadeklarował co dziesiąty badany. Muzykę ludową i klasyczną łączy 15% respondentów. Uczni z IFiS PAN zwracają również uwagę na tzw. semiomniworyzm, czyli łączenie gatunków odległych, ale mimo to bliższych sobie niż wskazane powyżej, np. muzyka klasyczna i rock czy pop (15%) oraz pop, rock i rap (11%). Odkryciem na polskim gruncie była silna tendencja do omniworyzmu wśród właścicieli firm (poza rolnictwem). Na Zachodzie zjawisko to występuje głównie wśród wyższych kadr kierowniczych i specjalistów.

– Interpretujemy to w ten sposób, że prowadzący działalność gospodarczą stanowią relatywnie nową kategorię zawodową i w odróżnieniu od innych, już uformowanych, szukają nowych wrażeń, doznań, eksperymentują, bo też i mają na to środki. Poza wszystkim, to osoby z aspiracjami, które często dysponują znacznym kapitałem finansowym – tłumaczy dr Wyrzykowska i dodaje, że omniworyzm występuje głównie wśród młodych. Ponad połowa respondentów w wieku 15–35 lat zadeklarowała, że lubi co najmniej pięć gatunków muzycznych. Jak przypuszczają badacze, może to wynikać z częstszych w tej grupie oka-

zji do dzielenia się swoimi zainteresowaniami muzycznymi, co sprzyja poznawaniu nowych gatunków.

W ocenie mojej rozmówczyni badania, które sfinansowano z grantu Narodowego Centrum Nauki, pokazały, że mechanizmy stratyfikacji kultury nie obejmują wszystkich form aktywności. W muzyce wymykają się im bowiem niektóre gatunki. O ile w przypadku muzyki klasycznej, jazzu czy rocka zaznaczenie hierarchii klasowych jest bardzo wyraźne, o tyle pop czy rap nie odzwierciedlają już spójnej klasowo struktury. Dodatkowo stratyfikację przełamują też w pewnym stopniu różne odmiany omniworyzmu.

– Klasizm kulturowy, wbrew temu, co mogłoby się wydawać, nie jest u nas aż tak silny. Te mechanizmy działają wybiórczo w odniesieniu do konkretnych gatunków, część społeczeństwa nie jest im poddawana. Ta różnorodność w upodobaniach pokazuje też, że hierarchia społeczna nie jest sztywna, lecz cały czas w procesie stawiania się – podsumowuje dr Katarzyna Wyrzykowska.

Wróćmy jeszcze na koniec do odsłuchu. Spośród zaproponowanych utworów, m.in. Jana Sebastiana Bacha, Milesa Davisa, Paktofoniki, Pink Floyd, Eda Sheerana czy Weekendu, uczestnicy badania jako najbardziej ulubioną wskazali piosenkę nieśmiertelnego duetu Modern Talking.



Rys. Sławomir Malaj

Zmienia się sytuacja prasy kobiecej

Wielość magazynów kobiecych i adresowanych do kobiet, różnorodność podejmowanej tematyki, przeobrażenia własnościowe w kręgu inwestorów oraz dynamiczny rozwój mediów internetowych sprawiają, że należy podejmować systematyczne badania nad tym segmentem systemu medialnego.

Prasa kobieca, zarówno w Polsce, jak i na świecie, znajduje się obecnie w ciekawej sytuacji. Z jednej strony obserwujemy starania właścicieli, koncernów medialnych o utrzymanie tradycyjnej oferty przy malejących wynikach ze sprzedaży egzemplarzowej, z drugiej zaś – próby inwestycji w magazyny online i różnego typu serwisy internetowe adresowane do kobiet. Takie zaangażowanie widać także wśród wydawców inwestujących na rodzimym rynku prasowym.

Zmieniająca się rzeczywistość wywarła znaczący wpływ na model biznesowy funkcjonowania prasy drukowanej, także kobiecej. Model, który bazował na symbiozie z rynkiem reklamy. Nowe technologie informacyjno-komunikacyjne wymusiły publikowanie treści w internecie, rozwój serwisów i portali internetowych, co przyczyniło się zarówno do obniżenia sprzedaży egzemplarzowej, jak i przeobrażeń w obrębie podmiotów inwestujących w sektor prasy kobiecej w Polsce. W ostatniej dekadzie XX wieku ten sektor zdominowały cztery koncerny z niemieckim kapitałem: Bauer Media, Axel Springer Polska, Burda Media i G+J Polska. Do nich dołączyły pod koniec tego okresu dwa koncerny ze szwajcarskim kapitałem – Edipresse Polska i Marquard Media. Lata 2010-2019 to zupełna zmiana sił. Prasa kobieca została zdominowana przez koncern Bauer Media, któremu próbowały dorównać Edipresse Polska i Burda International. Axel Springer Polska zmienił kurs, wybierając męskiego odbiorcę. G+J Polska zostało przejęte przez Burdę International.

Grupę magazynów wielotematycznych tworzyły na polskim rynku prasowym 23 periodyki, z których 56.5% oferty należało do firmy Bauer Media. Pozostałe 10 czasopism, czyli 43.5%, miały Burda International (5), Marquard Media (2), Edipresse Polska (1), Agora S.A (1) i Wydawnictwo Zwierciadło (1). Koncern Bauer Media stał się głównym wydawcą magazynów zawierających instruktażowe poradnictwo (tj.: „Tina”, „Kobieta

i Życie”, „Świat Kobiety”). Magazyny informowały, jak okiełznać codzienne funkcjonowanie, jak poradzić sobie z domowymi obowiązkami wynikającymi z pełnienia przypisanych kobietom ról społecznych, a przy tym mieć idealną sylwetkę, zadbane ciało, porządek w każdym miejscu w domu, grzeczne potomstwo i idealne małżeństwo. W 2019 roku, po zakupie od firmy Edipresse trzech tytułów („Przyjaciółka”, „Poradnik Domowy”, „Pani Domu”), koncern stał się właścicielem 11 periodyków. Bauer Media umocnił swoją pozycję w tej grupie, odkrywając potencjał starszych czytelniczek. Niewątpliwie przy malejących wynikach ze sprzedaży egzemplarzowej i braku popularności magazynów w wersji online koncentracja na czytelniczkach z różnych względów przyzwyczajonych do tradycyjnej wersji periodyku może w krótkiej perspektywie przynieść spodziewane korzyści. Jednocześnie należy podkreślić, że Burda International ze swoimi dwoma miesięcznikami poradnikowymi, tj. „Claudia” i „Dobrymi Radami”, nie stanowiła konkurencji dla Bauera.

Rozrywka, plotki i prawdziwe historie

Subsegment magazynów luksusowych był wewnętrznie niespójny. Składał się z klasycznych luksusowych magazynów kobiecych adresowanych do starszych czytelniczek (40+) i pisma przeznaczone dla młodych kobiet do 30. roku życia, nastawionych na konsumpcyjny styl życia. W latach 2010-2019, mimo informacji w prasie fachowej, że nie ma już miejsca na kolejne luksusowe pisma kobiece, a „Twój Styl”, „Pani” i „Zwierciadło” spełniają oczekiwania czytelniczek, pojawiły się trzy nowe tytuły przeznaczone dla kobiet 40+, czyli „Wysokie Obcasy. Extra”, „Uroda Życia” i „Well”. Ten ostatni nie zdomował się na rynku, po niespełna pół roku został zlikwidowany. Wyróżnikiem tego subsegmentu prasowego była prezentacja ciekawych postaci reprezentujących różne sfery życia, naukę, kul-



ture, biznes, ekonomię oraz politykę. Jedynie na łamach tytułów tworzących grupę tzw. klasycznych magazynów luksusowych przedstawiano sylwetki kobiet i mężczyzn związanych z polską i zagraniczną sceną polityczną.

Prasa adresowana do kobiet to także czasopisma poświęcone jednej wiodącej tematyce. Z czterech najpopularniejszych grup typologicznych zaoferowano czytelnikom łącznie 66 magazynów. Najwięcej, 35 periodyków z subsegmentu true story, 14 z prasy repertuarowej, 11 z rozrywkowo-plotkarskiej oraz 6 z grupy pism typu people. Analiza ilościowa oferty wydawniczej pozwoliła wyłonić zdecydowanego lidera, firmę Bauer Media, do której należało łącznie 45 magazynów, czyli 68,2% oferty. Koncern wypracował pozycję monopolistę w grupie pism rozrywkowo-plotkarskich (91% oferty) oraz w subsegmentie prasy repertuarowej (78,6% oferty). Przejęcie firmy Phoenix Press sprawiło, że Bauer Media umocnił swoją pozycję w subsegmentie prasy true story – z 35 tytułów miał 22, co stanowiło 68,2% oferty.

Koncern Bauer Media w każdym z subsegmentów tematycznych, w których był liderem, miał wzorcowy magazyn, z którego czerpały inne tytuły. Wśród czasopism rozrywkowo-plotkarskich było nim „Życie na Gorąco”, które przez cały okres funkcjonowania na rynku wydawniczym zajmowało pierwsze miejsce pod względem sprzedaży egzemplarzowej. Tygodnik był niewątpliwie typem idealnym, wyznaczającym standardy formalne i treściowe. Poszerzenie oferty przyczyniło się do różnicowania i wewnętrznych podziałów. Czasopisma należące do tej grupy można podzielić na dwie podgrupy, czyli klasyczne magazyny rozrywkowo-plotkarskie, tj. „Życie na Gorąco”, „Na Żywo”, „Twoje Imperium”, „Rewia”, „Świat&Ludzie”, „Relaks”, w których dominowały informacje z życia gwiazd, porady i krzyżówki, oraz te, w których wydawca szukał wyjątkowego, nietypowego sposobu prezentacji informacji o celebrytach i gwiazdach, tj. „Retro” (gwiazdy z przeszłości), „Dobry Tydzień” (gwiazdy i ich przeżycia religijne). Adresatkami i czytelniczkami tychże czasopism były przeważnie kobiety powyżej 54 roku życia. Dużą grupę stanowiły także panie w wieku 45 do 54 lat legitymujące się wykształceniem podstawowym lub zasadniczym zawodowym, zamieszkujące wsie i małe miasteczka.

Porady i program telewizyjny

Palmę pierwszeństwa w subsegmentie samoistnych wydawniczo magazynów repertuarowych wypracował „Tele Tydzień”. Poza niemieckim wydawcą dwa tytuły miała Oficyna Wydawnicza „Press-Media”, czyli 14,3% oferty, Edipresse Polska zaś z jednym magazynem posiadała 7,2% tego segmentu. Wydawcy program telewizyjny uzupełniali działami poradnikowymi, co świadczy o hybrydyzacji gatunkowej w obrębie poszczególnych subsegmentów prasowych. Najobszerniejszy dział z poradami publikowano w „Tele Tygodniu”, który promowano jako magazyn rodzinny, a rodzina do sprawnego funkcjonowania – a właściwie kobieta do zarządzania domem – potrzebuje katalogu praktycznych wskazówek. Porady dostosowano zatem do potencjalnej grupy docelowej, a dotyczyły one następujących kategorii: zdrowia, porad konsumenckich/prawnych, kulinarnych oraz tych o prowadzeniu domu.

W Polsce w segment czasopism true story zaangażowały się dwie firmy, które zaoferowały czytelnikom łącznie 35 tytułów. Do koncernu z niemieckim kapitałem należały 22 samoistne wydawniczo magazyny z liderem subsegmentu „Chwila dla Ciebie”. W portfolio Edipresse Polska znalazło się 13 periodyków. Cechą wyróżniającą ten sektor rynku prasowego adresowanego do żeńskiego odbiorcy były liczne wydania specjalne, najczęściej bazujące na najpopularniejszych tytułach, tj. „Chwila dla Ciebie”, „Takie jest Życie” oraz

„Z Życia Wzięte”. Podstawą każdego czasopisma były historie zwykłych ludzi, jednak wydawcy, chcąc urozmaicić ofertę, dodawali do tych opowieści także inne komponenty. Tym sposobem stworzyli trzy typy pism. Pierwszą tworzyły klasyczne true story zdominowane przez historie zwykłych ludzi, drugą – historie uzupełniane praktycznym poradnictwem, trzecią – prawdziwe historie wraz z informacjami o życiu znanych postaci ze świata show biznesu. Te wewnętrzne podziały po raz kolejny świadczą o przemianach zachodzących w poszczególnych subsegmentach prasy adresowanej do kobiet, o przenikaniu się prasy rozrywkowo-plotkarskiej z poradnikową, true story z rozrywkowo-plotkarską. Wydawcy wybierają te komponenty, które dobrze się sprzedają, ciesząc się popularnością wśród czytelniczek i reklamodawców i zaczynają tworzyć hybrydy, które zyskały już popularność na bardziej rozwiniętych rynkach, np. brytyjskim.

Powracając do true story, należy zauważyć, że to najliczniejszy subsegment prasowy. Periodyki opowiadające o życiu przeciętnego Polaka (tzw. normalsa) stały się częścią polskiego rynku medialnego często pejoratywnie ocenianego przez badaczy i samych dziennikarzy, ale mającego wierne i względnie stałe grono czytelniczek. Dla wydawców, zarówno firmy Bauer Media, jak i Edipresse Polska, były tanie w produkcji. Koncerny mogły w dowolny sposób posługiwać się zebraniem, wykreowanym materiałem zawierającym historie, poradnictwo i informacje dotyczące celebrytów. Obniżały tym samym koszty produkcji towaru.

Hybrydyzacja gatunkowa

Sytuacja w subsegmentie magazynów typu people na polskim rynku prasowym była inna. Po pierwsze tę grupę tworzyło jedynie 6 periodyków. Trzy z nich należały do Edipresse Polska, Bauer Media zaoferował czytelnikom dwa tytuły, a Burda International jeden. Należy pamiętać, że najpóźniej (w 2012 r.) wprowadzona na rynek „Grazia” została zlikwidowana w 2018 roku, gdyż wygasła licencja, a pismo nie spełniało oczekiwań wydawcy. Tym sposobem czytelniczki mają do dyspozycji pięć tytułów. Należy w tym miejscu podkreślić, że żaden z wydawców od 2012 roku nie inwestował w ten subsegment prasowy. Przyczyny takiego stanu rzeczy należy upatrywać w rozwoju internetowych serwisów plotkarskich, nazywanych także celebryckimi, który spowodował, że młode pokolenie użytkowniczek chętniej sięgało po to źródło informacji. Malejące wyniki ze sprzedaży egzemplarzowej sprawiły, że wydawcy starali się odświeżyć zawartość periodyków, wprowadzając rubryki poradnikowe. W ten subsegment prasowy także zawitał proces hybrydyzacji gatunkowej, która stała się „lekarstwem” lub może lepiej sposobem, próbą zahamowania wciąż malejących wyników ze średniej sprzedaży egzemplarzowej i drastycznie zmniejszających się wpływów z reklamy.

Wielkość magazynów kobiecych i adresowanych do kobiet, różnorodność podejmowanej tematyki, przeobrażenia własnościowe w kręgu inwestorów oraz dynamiczny rozwój mediów internetowych sprawiają, że należy podejmować systematyczne badania nad tym segmentem systemu medialnego. Analizy porównawcze prowadzone zarówno między całymi segmentami, jako częściami rynku mediów, dyskursami toczącymi się na łamach poszczególnych tytułów, jak i monografiemi magazynów poprawiłyby stan wiedzy na temat prasy kobiecej, a tym samym społeczeństwa i zachodzących w nim przemian.

Dr hab. Olga Dąbrowska-Cendrowska, prof. UJK, jest kierownikiem Katedry Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

Marcin Lutomiński

Czterdzieści lat bez „Wiadomości”

Najważniejsze i najciekawsze są jego felietony podpisywane jako Silva. Szczególnie w tej formule, w tej rubryce, dał się poznać jako błyskotliwy, pełen wysublimowanego humoru i ironii autor, miłośnik drobiazgów i osobliwości.

W 1924 r. zaczęły ukazywać się założone i redagowane przez Mieczysława Grydzewskiego „Wiadomości Literackie”, które stały się jednym z najbardziej opiniotwórczych tygodników społeczno-kulturalnych międzywojennej Polski. Świadomy i celowy eklektyzm programu czasopisma, jak również aktualność tematyki i interesujący sposób jej prezentowania przez cenionych poetów, prozaików, publicystów, reportażystów i dziennikarzy, przyczyniały się do sukcesów czytelnich tygodnika. Zasadnicze cele „Wiadomości Literackich” przedstawił redaktor w pierwszym numerze, deklarując: „Grono nasze stawia sobie przede wszystkim cele informacyjne. Chce przyczynić się w miarę możliwości do nawiązania zerwanego od dawna kontaktu ze sztuką i kulturą europejską” (1924, nr 1, s. 11). Dzięki otwarciu na świat literacki tygodnik nie tylko informował, ale też kształtował opinie i mody oraz łączył literaturę z innymi dziedzinami życia aż do wybuchu II wojny światowej.

„Wiadomości Literackie” publikowały utwory słynnych wówczas poetów, zwłaszcza z kręgu Skamandra (m.in. Żużanna Ginczanki, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego, Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego). Ponadto na łamach tygodnika dyskutowano o zagadnieniach kulturowych (np. romantyzmie), etnicznych (np. mniejszości żydowskiej) czy społeczno-obyczajowych (np. świadomym macierzyństwie, liberalizmie vs konserwatyzmie). Z piśmem współpracowali tak znani autorzy, jak m.in. Karol Irzykowski, Irena Krzywicka, Tadeusz Żeleński.

Na obczyźnie

Mieczysław Grydzewski opuścił Polskę jako uchodźca we wrześniu 1939 r., a następnie przez Rumunię i Włochy przedostał się do Paryża. Tam wznowił prace redakcyjne nad tygodnikiem, który pod nowym tytułem „Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie” ukazywał się (w Paryżu, a potem w Londynie) do lutego 1944 r., kiedy został zamknięty w wyniku decyzji władz brytyjskich. Niestrudzony redaktor postanowił wówczas wydawać serie almanachów, które de facto zastępowały tygodnik. W kwietniu 1946 r. Grydzewski zaczął wydawać w Londynie „Wiadomości”, tzw. bezprzymiotnikowe, stanowiące konty-

nuację przedwojennych „Wiadomości Literackich” oraz wojennych „Wiadomości Polskich...”.

„Wiadomości” były czytane w skupiskach polskiej emigracji na całym świecie. Emigracyjny pisarz i bibliograf Jan Kowalik nazwał je „warsztatem, szkołą i rozgłośnią radiową dla licznego zastępu poetów, pisarzy i publicystów, tworzących poza Krajem [...], katedrą historii kultury polskiej – nieistniejącą na żadnym z uniwersytetów krajowych – gdzie od lat, regularnie co tydzień odbywają się wykłady grona dobranych specjalistów” (*Czasopiśmiennictwo, w: Literatura polska na Obczyźnie 1940–1960. Praca zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie*, red. T. Terlecki, t. II, Londyn 1965, s. 520). Tygodnik reprezentował stanowisko antykomunistyczne, niepodległościowe i tradycjonalistyczne, próbując jednocześnie zachować eklektyzm poglądów. Grydzewski skupił wokół „Wiadomości” szerokie grono emigracyjnych humanistów, piszących przede wszystkim z myślą o Polakach pozostających na obczyźnie, m.in. Stanisława Balińskiego, Zofię Bohdanowiczową, Marię Danilewiczową, Mieczysława Giergielewicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Jana Lechonia, Józefa Mackiewicza, Tadeusza Nowakowskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Zofię Romanowiczową, Tymona Terleckiego, Wiktora Weintrauba, Ignacego Wieniewskiego i wielu innych, bardziej lub mniej znanych autorów.

Legendarny redaktor

Mieczysław Grydzewski zmarł w Londynie w 1970 r. Po jego śmierci redaktorem „Wiadomości” został Michał Chmielowiec, a następnie Stefania Kossowska, która z przyczyn ekonomicz-

WIADOMOŚCI

POLISH EMIGRE WEEKLY

67 Great Russell Street, London, W.C.1.B 3BS

Tel. 01 - 242 3644

Jeden z adresów redakcji „Wiadomości”



„Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie”



Pierwszy numer powojennych „Wiadomości”

nych w 1981 r. podjęła decyzję o zamknięciu „Wiadomości”. Zarówno następcy Grydzewskiego, jak i współpracujący z nim autorzy napisali o swoim redaktorze wiele wspomnień. Część z nich ukazała się na łamach tygodnika, w tomie *Książka o Grydzewskim* (red. Tymon Terlecki, Londyn 1971) oraz w pracy *Wiadomości i okolice* (red. Mirosław Supruniuk, Toruń 1995–1996). Powstało również sporo artykułów i kilka książek o „Wiadomościach” (w różnych „wcieleniach”), a jednak na temat legendarnego redaktora nie powiedziano jeszcze wielu rzeczy. Za mało wiedzieliśmy o Grydzewskim jako autorze felietonów publikowanych w emigracyjnych numerach czasopisma, mimo że pod koniec XX wieku Jerzy B. Wójcik wydał interesujący wybór tekstów z rubryki *Silva rerum* (Gorzów Wielkopolski 1994).

Po dwudziestu latach ukazała się nowa, znacznie rozszerzona edycja felietonów redaktora „Wiadomości”, opracowana

przez Jerzego B. Wójcika i Mirosława A. Supruniuka. Nowe wydanie *Silva rerum* obejmuje bardzo obszerny i reprezentacyjny wybór felietonów z lat 1948–1969 z cennym poznawczym esejem Mirosława A. Supruniuka pt. *Mieczysław Grydzewski – herb Zerkwiktur. Najpokorniejszy sługa literatury*. Ten fragment książki jest jak dotąd najpełniejszym opracowaniem na temat redaktora „Wiadomości” i z powodzeniem mógłby stać się osobną, samodzielną publikacją.

Mieczysław Grydzewski pisał teksty do różnych działów swojego (i nie tylko) pisma: *Silva rerum*, *Polonica*, *Kronika*, *Książki nadesłane*. Jednak najważniejsze i najciekawsze są jego felietony podpisywane jako Silva. Szczególnie w tej formule, w tej rubryce, dał się poznać jako błyskotliwy, pełen wysublimowanego humoru i ironii autor, miłośnik drobiazgów i osobliwości. Felietony Silvy, pozostającego rzekomo w bliskich kontaktach z redaktorem (jak to dla zmylenia czytelnika niejednokrotnie powtarzał Grydzewski), dostarczały sporej liczby interesujących i różnorodnych drobiazgów o tematyce historycznej, literackiej i edytorskiej. Treści działu *Silva rerum* były owocem żmudnych poszukiwań autora prowadzonych w czytelni British Museum. Na temat kulis jego warsztatu pracy krążyło wiele anegdot, część z nich została utrwalona na łamach „Wiadomości” (jeszcze za życia redaktora), a inne w tomach wspomnieniowych. Jeden z licznych anegdotycznych obrazków ukazuje Grydzewskiego, który tuż po otwarciu biblioteki – jak wspominała Stefania Kossowska – pierwszy biegnie na dziedziniec i dopada swego stałego miejsca. Ruchem zmechanizowanym przez lata praktyki, błyskawicznie zastawia książkami miejsce koło siebie, że niby zajęte, i tak zabezpieczwszy sobie spokój z obu stron, na długie godziny – których liczba na pewno nie spotkałaby się z uznaniem pierwszego bibliotekarza – zanurza się w niezgłębione uroki „silva rerum”. Istniała też legenda mówiąca, że redaktor „Wiadomości” nie wychodził przez siedem dni z „Britiszu” i odżywiając się cukierkami eukaliptusowymi, jednym ciągiem przeczytał encyklopedię Orgelbranda



Walizka podróżna Mieczysława Grydzewskiego

i bibliografię Estreichera. Władze „Britiszu” ostrzec należy – żartowała na łamach „Wiadomości” Maria Danilewiczowa – że nie przeczytał jeszcze słownika geograficznego i herbarza Niesieckiego.

W swoich wypowiedziach Grydzewski chętnie przywoływał cytaty i myśli polskich romantyków, zwłaszcza Zygmunta Krasińskiego. Odwołując się do ich twórczości, uzasadniał bezkompromisowe stanowisko emigracji wobec władz Polski Ludowej. W jednym z felietonów przekonywał, że: „emigracja nie ma żadnego powodu do robienia ugody, którą musi robić Kraj. Zatrącenie tej linii granicznej równałoby się zatrąceniu tej sprawiedliwej linii granicznej – ziemskiej i ideowej – która powinna dzielić Polskę od Sowietów. Złanie się literatury emigracyjnej z literaturą krajową mogłoby zakończyć się złaniem się dwóch bratnich nurtów, ale złaniem się „w morzu rosyjskim”. Dlatego, zdaniem redaktora „Wiadomości”, od pisarzy emigracyjnych należało oczekiwać przyjęcia postaw maksymalistycznych. Skoro nie mogli wydawać w ówczesnej Polsce każdej swojej książki, powinni postępować w myśl zasady: albo wszystko, albo nic. Podobnie było w przypadku stanowiska Grydzewskiego wobec osób powracających do kraju. W celu napiętnowania postawy ugodowej wobec władzy w kraju redaktor posługiwał się wypowiedziami publicystów Wielkiej Emigracji z kręgu „Demokraty Polskiego”. To tylko jeden z przewijających się w książce zespołów motywów romantycznych, ale wiadomo, że Silva bardzo chętnie nawiązywał także do innych tradycji narodowych, m.in. szlacheckich, a także do współczesności.

Wobec przeszłości

Najczęstszym zarzutem wobec londyńskiego tygodnika było nadmierne pograżanie się w przeszłości, które określano mianem wspominkarstwa. Warto przypomnieć, co na ten temat mówił sam redaktor Grydzewski: „Wydaje mi się że nawiązywanie do konkretnej przeszłości jest rzeczą bardziej realną niż jałowe pograżanie się w przyszłości. I ostatecznie cała wielka literatura oparta jest na takim właśnie wspominkarstwie” („Wiadomości” 1953, nr 43, s. 5). W pierwszych dekadach powojennych tą konkretną przeszłością dla autorów i czytelników „Wiadomości” były przede wszystkim: okres Wielkiej Emigracji, wojenne doświadczenia oraz lata dzieciństwa i młodości.

Wielu badaczy podkreśla, że na emigracji w ogóle panował dyktat przeszłości. Jak zauważa Rafał Habielski: „Emigracja już w czasie wojny chętnie zwracała się ku przeszłości, szukając w niej tła dla współczesności. Po roku 1945 przeszłość nabrała innego wymiaru” (*Emigracja*, Warszawa 1995, s. 48). Najpierw służyła często jako argument polityczny w debatach nad sprawą polską. Później istniała zaś w pełni uzasadniona obawa, że w kraju przeszłość będzie ukazywana w sposób zafałszowany, z wieloma niedopowiedzeniami. Poza tym, jak zauważa Janusz Kryszak, to właśnie od emigracji „[...] oczekuje się przede wszystkim rzetelnej i nie skażonej koniunkturalizmem informacji o społeczeństwie i narodzie w jego codzienności, w jego dramatycznym zmaganiu się z własną historią. Informacji o faktach gdzie indziej przemilczanych bądź zafałszowanych, o faktach niedostatecznie pamiętanych, zbyt łatwo usuwanych ze zbiorowej pamięci [...]” (*Literatura złej chwili dziejowej. Szkice o drugiej emigracji*, [Warszawa] 1995, s. 7). Emigracja uzupełniała więc „magazyn pamięci narodowej”, czego przykładem są choćby informacje o zbrodni katyńskiej. Ponadto zwrot ku przeszłości łagodził dotkliwość uchodźstwa i był ucieczką przed rozczarowaniem teraźniejszością.

Archiwum „Wiadomości”

Przypomnijmy, że po śmierci twórcy „Wiadomości” ich redaktorami zostali Michał Chmielowiec, a następnie Stefa-

nia Kossowska, która z przyczyn ekonomicznych (utrata lokalu i drukarni) podjęła decyzję o zamknięciu tygodnika. Ostatni numer „Wiadomości” 3/1816 liczył 44 strony i ukazał się z datą marzec/kwiecień 1981 r. Od 1994 r., dzięki staraniom toruńskiego historyka i archiwisty Mirosława A. Supruniuka, całe zachowane „Archiwum Wiadomości” zostało przekazane z Londynu do Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu, gdzie z czasem uporządkowano je i zinwentaryzowano. Archiwum tygodnika z lat 1946–1981 jest prawie kompletne i obejmuje blisko 70 tys. listów (wraz z załącznikami) ponad 6,5 tys. autorów. Korespondencja pisarzy współpracujących z „Wiadomościami” zawiera informacje zarówno o piśmie (sposobie jego redagowania), jak i nieznane bliżej dane biograficzne dotyczące wielu autorów (zob. *Inwentarz Archiwum „Wiadomości” (1946–1981) oraz „Wiadomości Polskich, Politycznych i Literackich” (1940–1944), nagrody „Wiadomości” (1958–1990) i Mieczysława Grydzewskiego (1939–1971)*, oprac. M.A. Supruniuk, A. Jadowska, M. Karpińska, wstępem opatrzył M.A. Supruniuk, Toruń 2006).

Perspektywy badań

Mimo że istnieje spora liczba źródeł (częściowo niepublikowanych) i opracowań na temat „Wiadomości” oraz ich współpracowników, nie powstała jeszcze całościowa monografia pisma ani biografia Grydzewskiego. Trwają jednak prace nad bibliografią zawartości „Wiadomości” z okresu wojennego i emigracyjnego. Przygotowuje ją zespół badaczy pod kierunkiem Rafała Moczkołana z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

We wrześniu br. odbędzie się konferencja naukowa pt. *Czterdzieści lat po zamknięciu londyńskich „Wiadomości”*, którą organizują: Wydział Humanistyczny UMK, Archiwum Emigracji i Muzeum Uniwersyteckie UMK, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Dr Marcin Lutomiński, badacz i popularyzator literatury polskiej, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Wydział Humanistyczny UMK, autor m.in. książki *Mickiewicz i okolice. Tematy romantyczne na łamach londyńskich „Wiadomości” z lat 40. i 50. XX wieku*

Fot. Archiwum Emigracji UMK w Toruniu



Mieczysław Grydzewski w czytelni British Museum

Tadeusz Kotarbiński

40 lat od śmierci

Zagadnienia praktyczności interesowały Kotarbińskiego od samego początku uprawiania przezeń filozofii, a przy tym nie na marginesie innych zainteresowań tylko wprost i głównie.

W dniu 3 października br. minie czterdzieści lat od śmierci Warszawskiego Sokratesa, jak nazywał Tadeusza Kotarbińskiego Karol Irzykowski (1873-1944, polski pisarz, krytyk literacki, teoretyk filmu; w latach II RP członek prestiżowej Polskiej Akademii Literatury i szachista). Dlaczego Sokratesa? Bo był myślicielem stosującym metodę bliską sokratejskiej, gdy starał się wyjaśnić istotę ludzkiego działania. Doradzał co zrobić, aby działanie to zasługiwało na miano dobrej roboty. Miało więc ono być sprawne, tj. skuteczne, czyli efektywne oraz ekonomiczne. Miało ono ponadto być wykonywane w godziwym celu, aby można mu było przypisać walor dzielności. Dochodził więc trzeci wymiar – etyczny. Upowszechnieniu tego kanonu wiedzy praktycznej służyć miała niewielkich rozmiarów książeczka *Abecadło praktyczności*, w której autor streścił tezy przedstawione w *Traktacie o dobrej robocie* – opus magnum prakseologii. Prakseologią bowiem nazwał, powołując się na Alfreda Victora Espinasa, tworzoną od 1910 roku dyscyplinę, początkowo nazywaną teorią czynu albo praktyką, na wzór logiki czy etyki. Nazwę „prakseologia” przyjął w roku 1923, co ogłosił na Pierwszym Polskim Zjeździe Filozoficznym odbywanym wówczas we Lwowie. W czternaście lat później, w roku 1937, na Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym odbywanym w Paryżu, a poświęconym Kartezjuszowi, Tadeusz Kotarbiński wygłasza referat *Idee de la methodologie general: Praxeologie*. Uznał wówczas, pod wpływem myśli kartezjańskiej, prakseologię jako metodologię ogólną. Wskazuje ona „przepisy o celowości w działaniu, mające walor niezależnie od tego, nad jakim pracuje się tworzyć i do której z ustalonych w podziale pracy sztuk czy umiejętności należy nasza robota. Tę to dzie-

dzinę dociekań mamy na myśli, mówiąc o metodologii ogólnej lub o prakseologii”.

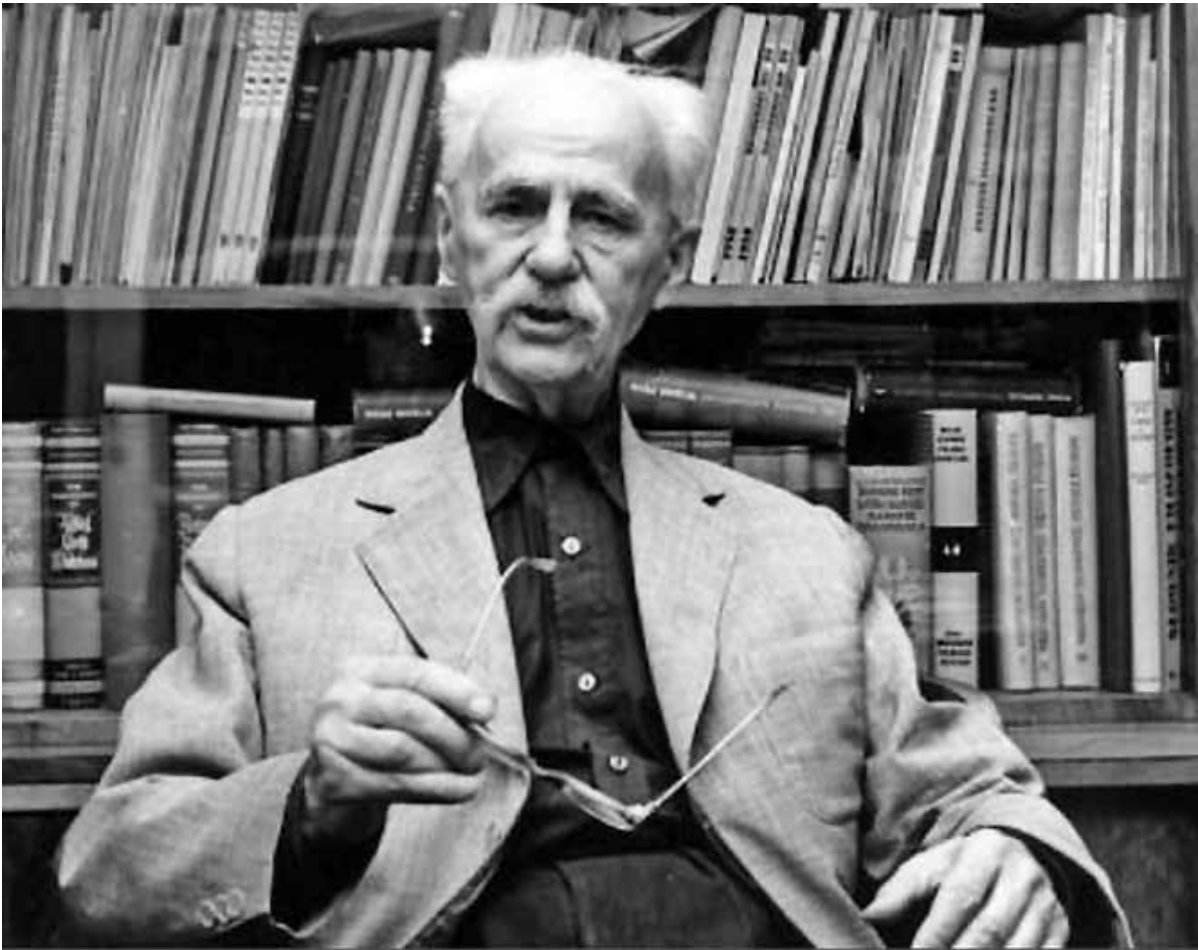
Tadeusz Kotarbiński uważał, że filozofia nauki, badając poszczególne dyscypliny naukowe, czyni to, analizując ich język. Podobnie prakseologia badając działanie, analizuje język, w którym działanie ludzi jest odwzorowywane. Język dyscyplin naukowych jest ustalony w wymiarze międzynarodowym, zaś języki, w których odzwierciedlona jest praktyka działania, to są języki narodowe, w których odwzorowywane są poszczególne kultury aktywności ludzi. Prakseologia Kotarbińskiego została napisana w Polsce w wyniku analizy języka, w jakim Polacy mówią o działaniu, które wykonują. Polski idiom jest zbliżony do idiomów języków słowiańskich, ale odmienny od idiomów innych grup językowych, w szczególności idiomu anglosaskiego. Dlatego tłumaczenie prac prakseologicznych z języka polskiego na język angielski rodzi trudności, a nawet nieporozumienia.

Mimo tych trudności poszukiwane są niezmienniki umożliwiające wykorzystanie ujęcia prakseologicznego w badaniach systemowych. Przykładu dostarcza brytyjski uczony Peter Checkland. Oto w jego książce *Systems Thinking, Systems Practice* (Wiley 1981, s. 161-62) znajdujemy passus poświęcony metodologii nawiązujący do prac Tadeusza Kotarbińskiego przetłumaczonych na język angielski. Checkland prezentuje podobieństwa i różnice własnego rozumienia pojęcia metodologii i rozumienia w ujęciu prakseologicznym, które wskazuje jako bliskie jego ujęciu.

Filozofia praktyczności

Prakseologia jest dominantą systemu filozoficznego Tadeusza Kotarbińskiego, na który składają się następujące elementy: po pierwsze twórczość Tadeusza Kotarbińskiego należy traktować jako całość. Po drugie metoda budowania tego systemu przez Kotarbińskiego polegała na analizie języka dyscyplin, których metodologiczną krytykę prowadził. Po trzecie filozofię Kotarbińskiego należy rozumieć w taki sam sposób, w jaki on rozumiał filozofię i żądał, aby była rozumiana, czyli jako naukę o nauce. Wreszcie po czwarte naukę, a ściślej rzecz ujmując dyscypliny naukowe, należy rozumieć w sposób przyjęty przez Kotarbińskiego, czyli jako odrębne dziedziny zasługu-

Metoda sokratejska jest formą rzeczowego dialogu między osobami, w oparciu o zadawanie pytań i odpowiadanie na nie w celu stymulacji krytycznego myślenia i formułowania pomysłów i podstawy tego, co się zakłada (maieutika). Metoda sokratejska jest metodą eliminacji hipotez polegającą na tym, że lepsze hipotezy można znaleźć, stale identyfikując i eliminując te, które prowadzą do sprzeczności, ponieważ służy wydobyciu definicji zawartych w przekonaniach rozmówców lub pomóc im w dalszym zrozumieniu zagadnienia. (https://pl.wikipedia.org/wiki/Metoda_sokratejska).



Fot. PAP/PA. Urbanek. Źródło: Wikipedia

jące na przedmiot intelektualnego nauczania uniwersyteckiego. Poziom atomiczny systemu filozoficznego Tadeusza Kotarbińskiego to wszechświat zachowań podmiotu twórczo zmieniającego napotykaną rzeczywistość, podmiot ten jest „ciałem żywym, na jawie przytomnym”, a rzeczywistość jest „spłotem rzeczy współzależnych i zmieniających się”, jak pisze Kotarbiński. To uniwersum jest światem praktycznej działalności ludzi jako podmiotów działających. System filozoficzny Tadeusza Kotarbińskiego jest efektem refleksji nad tym światem, jest to filozofia praktyczności (W.W. Gasparski, *Filozofia praktyczności: Traktat o filozofii Tadeusza Kotarbińskiego oraz similia*, Wydawnictwo IFIS PAN, Warszawa 2021).

Zagadnienia praktyczności interesowały Kotarbińskiego od samego początku uprawiania przezeń filozofii, a przy tym nie na marginesie innych zainteresowań, tylko wprost i głównie. Świadczy o tym pierwszy zbiór esejów *Szkieł praktyczne* wydany w roku 1913. Temu zainteresowaniu podporządkowane były: troska o nauczanie filozofii jako podstawy kształcenia nauczycieli przy szerokim rozumieniu słowa „nauczyciel”; troska o kulturę filozoficzną, w tym kulturę logiczną; troska o to, by słowa rzetelnie zdawały sprawę z rzeczywistości, stąd reizm zastąpiony później konkretyzmem; troska o poznawcze ugruntowanie wiedzy praktycznej, stąd wyróżnienie nauk (dyscyplin) praktycznych oraz wskazanie projektowania jako ich metodologicznego wyróżnika; troska o unikanie błędów praktycznych, stąd podjęcie trudu na rzecz ich źródeł i klasyfikacji.

Nauczycielem sensu largo według Kotarbińskiego jest każdy, kto pracując intelektualnie, tworzy lub przekazuje wiedzę. Odnosi się to zarówno do nauczyciela szkolnego, jak i pracownika naukowego, tj. nauczycieli sensu stricto, a także okazjonalnych nauczycieli z sytuacji i okoliczności: literata czy publicysty, działacza społecznego czy polityka. Zadaniem filozofa, tudzież

uniwersyteckiego wydziału filozofii jest udzielanie pomocy nauczycielowi, ktokolwiek nim jest. Nauczyciel zaś, szczególnie jeśli jest wychowawcą mistrzów, ma za zadanie główne, „by uczniowi na przykładzie własnej stylowej pracy pokazać wzór indywidualnego mistrzostwa. Niech patrzą na ten wzór aż do zapatrzenia się, niech go przejmą. A potem wyrosną zeń i nawet przeciwstawiać się w walce ze stylem przebytej szkoły” (T. Kotarbiński, *Aforyzmy i myśli*, PIW, Warszawa 1986, s. 55).

Wskazywał wzór moralny

Henryk Skolimowski, profesor Ann Arbor, autor książki o polskiej filozofii analitycznej (H. Skolimowski, *Polish Analytical Philosophy: A Survey and a Comparison with British Analytical Philosophie*, Routledge and Kegan Paul, London 1967), uznał Kotarbińskiego za znaczącego dla polskiej filozofii tak wiele, jak wiele dla filozofii brytyjskiej znaczy Bertrand Russell. Zaś uczniowie napisali: „Miewają ludzie mistrzów wielkich w dziedzinie intelektu. Miewają wzory moralne, które nakładają do naśladownictwa. Miewają przyjaciół serdecznych i ofiarnych, ale rzadko się zdarza, aby ktoś w swoim nauczycielu mógł odnaleźć wszystkie te wartości”. Słowa te są częścią przedmowy zatytułowanej „Od uczniów” do dwutomowego wydania przez uczniów *Wyboru pism* Tadeusza Kotarbińskiego (PWN 1957/58). Takim był Warszawski Sokrates przez czterdzieści lat sprawujący godność prezesa Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.

Wskazywał on wzór moralny do naśladowania – opiekuna, na którym można polegać, czyli spolegliwego, „taki opiekun to nie egoista, lecz mający serce dla kogoś, to człowiek rzetelny, odważny, dzielny i opanowany” (T. Kotarbiński, *Pisma etyczne*, s. 188). Jest to wzór empirycznie wywieziony z opiekunstwa rodzicielskiego sprawowanego przez rodziców rzetelnie spełnia-

jących swe obowiązki wobec progenitury. Kotarbiński poszukiwał wzoru również dla siebie, od czasu kiedy się rozstał z religią, a nie obyło się to bez przykrości. Pisz o tym tak: „Droga do zerwania z religią [...] prowadziła poprzez uświadomienie intelektualne, poprzez krytykę tradycyjnych pouczeń z punktu widzenia ich sensowności, zasadności, prawdziwości. Nie był to bynajmniej bunt serca, przeciwnie, dom opustoszały i ociemniały, dom, w którym zabrakło światła prawdy, opuszczało się z tęsknotą, pozostawiając na jego ścianach miłe sercu obrazy [...] Nie było w tym rozwodzie ani trochę sztyderstwa w stosunku do tego świata idealnego, który się kochało w dobie wiary. Apostata stał się ateistą, nie bezbożnikiem. A wielka [...] tych słów różnica. Ateizm jest postawą intelektualną [...] ‘bezbożnik’ to, w moim rozumieniu, arogant w odniesieniu do czcigodnych elementów religii. [...] Nie ma żadnego powodu, by ateista musiał być bezbożnikiem” (op. cit., s. 204).

Felicytologia i realizm praktyczny

Kotarbiński nie był maksymalistą; nie sugerował, by dążyć do osiągnięcia postawy człowieka najbardziej czcigodnego z czcigodnych. Jego zdaniem sumienie nie jest aż tak wymagające. „Żąda ono nie rekordów lecz solidności. Wystarcza mu to, że się nie zasłużyło na hańbę. Kto tę próbę wytrzymał, temu przyznaje ono prawo koleżeństwa w gronie porządnym, zacnych ludzi” (op.cit., s. 188). Oprócz prakseologii i etyki Kotarbiński zaliczał do filozofii praktycznej także felicytologię. Jej związek z filozofią praktyczności wyraża doktryna nazwana przezeń realizmem praktycznym. Cechy wyróżniające realizm praktyczny to: (1) trzeźwe patrzenie na życie, (2) branie pod uwagę tego, co naprawdę istnieje, (3) przestrzeganie warunków i ograniczeń możliwości działania, (4) dokładne ustalenie hierarchii powodów przy ustanawianiu dyrektyw dotyczących odpowiednich działań i planów.

O dziele Tadeusza Kotarbińskiego wypowiadali się liczni uczeni. Karol Wojtyła, św. Jan Paweł II, napisał: „Marksistowskie władze z nieufnością odnosiły się [...] do cenionych myślicieli, którzy zachowali krytycyzm wobec materializmu dialektycznego. Spośród nich pamiętam zwłaszcza Tadeusza Kotarbińskiego, Marię Ossowską i Tadeusza Czeżowskiego” (Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość*, Kraków 2005, s. 18). Profesor Timo Airaksinen z Uniwersytetu w Helsinkach wyrażał stanowisko, że „[p]raca Tadeusza Kotarbińskiego *Cel czynu a zadanie wykonawcy* (1913) zawsze była dla mnie punktem zwrotnym w literaturze filozoficznej. Należy ona do tej samej kategorii co Bertranda Russella *On Denoting* i George’a Edwarda Mooe’a *The Subject Matter of Ethics*, pierwszy rozdział z książki *Principia*

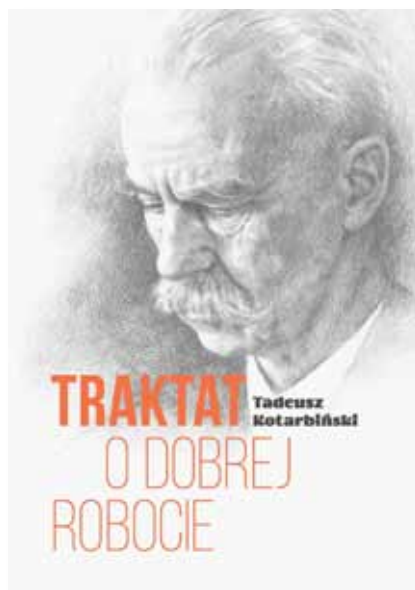
Ethica. Wszystkie te dzieła stworzyły coś nowego, chociaż były oparte na zasadach i ideach znanych już wcześniej” (Airaksinen, *Preface*, w: W.W. Gasparski, *A Philosophy of Practicality: A Treatise of the Philosophy of Tadeusz Kotarbiński*, Societas Philosophica Fennica, ‘Acta Philosophica Fennica’, t. 53, Helsinki 1993). Filozof techniki Carl Mitcham odnotowuje, że „Espinosa proponował by *Technologie* [...] dotyczyła tego, co ludzie robią, *praxeologie* zaś zajmowała się ludzkim działaniem w całej ogólności – wprowadzając specyficzne pojęcie wykorzystywane w dalszych latach przez polskiego filozofa Tadeusza Kotarbińskiego. Idee zarówno Espinosa, jak i Kotarbińskiego, wniknęły do tego, co nazywane jest obecnie teorią systemów, teorią gier, cybernetyką, badaniami operacyjnymi i rozmaitymi teoriami zarządzania” (C. Mitcham, *Thinking through Technology: The Path between Engineering and Philosophy*, Chicago 1994, s. 16-17).

System nazwany filozofią praktyczności wraz z prakseologią jako jej organonem (gr. *ὄργανον* oznacza instrument, narzędzie, organ; tytuł zbioru pism logicznych Arystotelesa) stanowi wkład Tadeusza Kotarbińskiego do dorobku szkoły lwowsko-warszawskiej (W. W. Gasparski, *From a Study of Practice to a Philosophy of Practicality: Tadeusz Kotarbiński Contribution to the Lvov-Warsaw School of Philosophy*, w: Brożek A., Stadler F., Woleński J., *The Significance of the Lvov-Warsaw School in the European Culture*, Springer, „Vienna Circle Institute Yearbook”, t. 21, 2017, s. 135-154).

Tadeusz Kotarbiński był pierwszym rektorem utworzonego po II wojnie światowej Uniwersytetu Łódzkiego. Godzi się w siedemdziesiątce tej uczelni i czterdziestolecie śmierci jej rektora nadać uniwersytetowi imię tego wyjątkowego w historii polskiej filozofii uczonego. Wypowiada się za tym wielu uczonych i instytucji naukowych. Spłacony zostałby dług, jaki pokolenia zaciągnęły przez lata, w których Tadeusz Kotarbiński był ich nauczycielem par excellence, wskazując elementy dobrej roboty zarówno w badaniach naukowych, jak i w codziennej praktyce zawodowej i zwykłej aktywności oraz opartego na zaufaniu opiekuństwa. Każdy z nas, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, coś mu zawdzięcza, co zdobył albo bezpośrednio od niego, albo za pośrednictwem jego uczniów. Czas się odwdziżyć.

W artykule wykorzystano fragmenty wcześniejszych prac autora.

Prof. dr hab. inż. Wojciech W. Gasparski, profesor emeritus Akademii Leona Koźmińskiego, gdzie kierował Centrum Etyki Biznesu. Przedtem przez 40 lat pracował w PAN, gdzie kierował Zakładem Prakseologii i Pracownią Metodologii Projektowania oraz przewodniczył radzie naukowej Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.





Utrata Wilna i Lwowa po II wojnie światowej była katastrofą geopolityczną, także w układzie ośrodków akademickich. Do tego doszła polityka historyczna władz komunistycznych, która usuwała z pamięci społecznej wileńskie i lwowskie tradycje.

Na ziemiach, które złożyły się na II Rzeczpospolitą, działało przed I wojną światową dwanaście uczelni (tylko w części polskojęzycznych): w Warszawie pięć uczelni, w Krakowie dwie, we Lwowie trzy, w Poznaniu i Puławach po jednej. Studiowały w nich ogółem w roku akademickim 1910/1911 15 992 osoby. Siła poszczególnych ośrodków mierzona liczbą studiujących była zróżnicowana: Warszawa to 26,6%, Kraków 22%, Lwów 42,6%, Poznań 6,1%, Puławy 2,7%.

Zmiana układu sił ośrodków akademickich nastąpiła w II Rzeczypospolitej. Jak podała Halina Wittlinowa (*Atlas szkolnictwa wyższego*, 1937), porównując liczbę studentów, „w r. 1910/11 i 1921/22 (...) wzrasta ta liczba we wszystkich miastach, przy czym znacznie silniej na terenie Warszawy (z 4250 do 16 233) i Poznania (z 986 do 3273) aniżeli na terenie Krakowa (z 3519 do 4968) i Lwowa (z 6808 do 7385). W okresie od r. 1921/22 do 1935/36 wzrasta liczba słuchaczy (...) z wyjątkiem Lublina, najsilniej (...) w Wilnie (z 1729 do 3501). Spadek ogólnej liczby słuchaczy po r. 1932/33 objął wszystkie miasta z wyjątkiem Lublina i Łodzi”. Biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania studentów – „pochodzący z województw, na których terenie znajdują się większe uczelnie wyższe, studiują przeważnie w uczelniach, znajdujących się w tych województwach, przy czym kobiety w mniejszym odsetku wyjeżdżają poza województwo, będące miejscem ich stałego zamieszkania (...) słuchacze z województw nie posiadających własnych uczelni, wyjeżdżają przeważnie do uczelni najbliższych”. Studiowanie ówczesne nie było już związane z peregrinatio academica. Przeprowadzona analiza świadomie pomijała – co uwidaczniał tytuł publikacji – kategorię szkół akademickich. Ponieważ była to publikacja oficjalna, takie musiały być też poglądy ministerialne.

Reprezentacyjne siedziby

W latach 1921/1922 – 1937/1938 liczba studentów wzrosła z 34 708 do 48 018. Państwo polskie przejęło odpowiedzialność za prowadzenie niemal wszystkich szkół akademickich. Dotyczyło to też dbałości o budynki i infrastrukturę. Przyznawano uczelniom na siedziby reprezentacyjne gmachy: takim we Lwowie był pałac sejmowy – nowa siedziba Uniwersytetu czy też Zamek (Collegium Maius) i gmach byłej Akademii Królewskiej, gdzie

uloковано Uniwersytet Poznański. Wszystkie siedziby główne, stare i nowe, polskich szkół akademickich miały reprezentacyjny i dostojny charakter. O potencjale ośrodków akademickich świadczą dane za lata akademickie 1928/1929 – 1934/1935 dotyczące udziału procentowego w ogólnej sumie zasiłków i stypendiów przyznawanych z Funduszu Kultury Narodowej. Do Warszawy kierowano z nich 48,1%, do Krakowa 17,9%, do Lwowa 11,3%, do Wilna 8,5%, a do Poznania 7,6%. Blisko połowa wzrostu studiujących była rezultatem powołania trzynastu nowych uczelni. Dominującą pozycję uzyskała Warszawa, była siedzibą kilkunastu uczelni, towarzystw (w tym TNW), muzeum, bibliotek i fundacji (w tym Kasy Mianowskiego), a także władz oświatowych. Spośród 459 towarzystw i instytucji naukowych w 1925 roku, jak obliczył Bohdan Jacewski (*Polityka naukowa państwa polskiego w latach 1918-1939*, 1978), aż 202 miały siedzibę w Warszawie. Stanowiło to 41,8%. Lwowskie placówki stanowiły 11,1%, krakowskie 9,8%, poznańskie 7,2%, wileńskie 4,8%, lubelskie 3,5%. Jak ustalił Artur Bajerski (*Szkolnictwo wyższe międzywojennej Polski. Ujęcie geograficzne*, 2016), w 1922 roku osiem warszawskich uczelni to 44% ogółu, podobna była przebiegała ilośćowa pracowników nauki (45%) i studentów (46%) Do tego aż 35,5% pracowników nauki zatrudniało się równocześnie w innej warszawskiej uczelni, a 2,6% w uczelni pozawarszawskiej. W 1935 roku w warszawskich uczelniach państwowych (6) i prywatnych (5) studiowało 42% ogółu studentów. Województwo warszawskie cechował najwyższy wskaźnik scholaryzacji studenckiej (31,5 na 10 tys. mieszkańców, a w krakowskim 24 i lwowskim 21,4). Był to jedyny ośrodek ściągający studentów ze wszystkich województw (z wyjątkiem Małopolski i Poznańskiego). W roku ak. 1937/1938 dominowała nadal Warszawa, posiadała 44,4% uczelni (12 spośród 27 ogółem) i 42,3% studentów (20 296 spośród 48 018 ogółem).

Trwałość ośrodków akademickich była, wbrew logice, transplantowana. Po odzyskaniu niepodległości (1918) Uniwersytet Lubelski przejął tradycję wileńską poprzez Akademię Duchowną przeniesioną z Petersburga. Nowy ośrodek akademicki, jakim był Lublin, nawiązywał też do tradycji lokalnej Akademii Zamojskiej – zintegrowany był wokół wartości chrześcijańskich. Po II wojnie światowej z inicjatywy profesora

rów i asystentów mówiono o kontynuacji tradycji wileńskich i lwowskich w Toruniu, a tylko lwowskich we Wrocławiu.

Polityka unifikacji systemowej

Utrata Wilna i Lwowa po II wojnie światowej była katastrofą geopolityczną, także w układzie ośrodków akademickich. Do tego doszła polityka historyczna władz komunistycznych, która usuwała z pamięci społecznej wileńskie i lwowskie tradycje. Jeszcze większe negatywne skutki wywołała polityka unifikacji systemowej – szkoły wyższe zostały wtopione w system szkolnictwa. „Program prac PKWN” z połowy września 1944 roku przewidywał, że „w każdym mieście wojewódzkim będziemy się starali uruchomić przynajmniej jedną wyższą uczelnię”. Odmienny ideowo, ale nie kierunkowo, program przedstawił Czesław Wycech, kierujący polityką oświatową „państwa podziemnego”, a od 28 czerwca 1945 roku minister oświaty z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego. Inaugurując prace Rady Naukowej przy Ministerstwie Oświaty (20 VIII 1945), przewidywał „decentralizację ośrodków naukowych”, co musiało prowadzić do osłabienia pozycji ośrodków w Krakowie i Warszawie. W tym samym kierunku zmierzały plany „czasowego” zlokalizowania uczelni warszawskich poza odbudowywaną stolicą albo powołania prowizorium w postaci warszawskiej Szkoły Głównej.

Działania uczonych i oczekiwania społeczeństwa przesądziły jednak o koncepcji odbudowy „na starych fundamentach”. Bezpośrednio po II wojnie światowej w roku ak. 1945/1946 cztery ośrodki – Warszawa, Kraków, Łódź i Poznań – skupiały 76% ogółu studentów. Bez tradycji akademickich zbudowano ośrodek łódzki. Charakteryzując ten ośrodek, Jan Augustyniak (*Organizacja życia naukowego współczesnej Łodzi*, w: „Nauka Polska. Jej Potrzeby, Organizacja i Rozwój”, tom XXV, 1947) ukazywał realia funkcjonowania szkół wyższych (10), bibliotek naukowych (5) i muzeów (4): „Brak lokali, pomocy naukowych, pracowni, książek, funduszy na wydawnictwa, niedostateczne uposażenia pracowników naukowych – stanowią groźne memento, które w każdej chwili może zahamować ten wielki rozpęd naukowego życia. Wykłady odbywają się w kinach; w innych zaś pomieszczeniach szkolnych z braku krzesel słuchacze stoją godzinami na wykładach; uczeni w dużej liczbie nie mają jeszcze mieszkań, całe rodziny mieszczą się w pojedynczych pokojach hoteli lub w przygodnych, czasem w granicach gmachu szkolnego, izbach; stołówki są w dalszym ciągu podstawą żywienia. Ekspozyty muzeów nie posiadają należytego pomieszczenia. Księgozbiory w dużych zwalach leżą w salach pofabrycznych lub w magazynach od kilku lat nieogrzewanych. Książki się brudzą, butwieją, woda zacieka przez dziurawe dachy”. Nową grupą łódzkiej społeczności stali się po wojnie studenci – „młodzież robotnicza i chłopska, która w innych warunkach nigdy by progu szkoły wyższej nie przešla. Żywioł ten zapełnia gwarem sale wykładowe i kluby organizacji studenckich. W nauce oznacza się uporem i pracowitością”. W miarę przywracania stołecznych funkcji oraz odbudowy Warszawy ciężar zdarzeń akademickich przenosił się wraz z częścią profesury z Łodzi do Warszawy, odzyskała ona rangę największego ośrodka akademickiego.

Tożsamość ośrodków akademickich

Z pominięciem martwej tradycji niemieckiej, szukając najmniejszych śladów pozostawionych przez polskich studentów, budowano ośrodki we Wrocławiu i Gdańsku. Początkowo zastano we Wrocławiu około 200 tys. Niemców, stopniowo wysiedlanych. Podobnie jak w Warszawie, odbudowywano z gruzów budynki uczelniane. Nowymi ośrodkami akademickimi stały się Toruń, gdzie zlokalizowano Uniwersytet Miko-

łaja Kopernika, a także aglomeracja śląska. W ramach Ministerstwa Oświaty ujednolicono programy i struktury organizacyjne, co osłabiało zróżnicowaną tożsamość ośrodków akademickich.

Z opracowania Biura Badań i Statystyki Ministerstwa Oświaty *Pracownice naukowe szkół wyższych w Polsce 1945/46* (1947) wynikało, że na dzień 31 stycznia 1946 roku ogólna liczba pracowników wynosiła 1288, w tym na Ziemach Odzyskanych 254. Przywołanie nowej kategorii ogólnej („pracownia” w miejsce „zakładu”) prowadziło semantycznie do akcentowania czynności merytorycznej, a nie kategorii prawno-organizacyjnej. Po wojnie założono 853 pracownice, z tego 219 miało – w Gdańsku i Wrocławiu – jakieś pozostałości poniemieckie. Przedwojenne zasoby były uszczuplone (Wilno i Lwów to utracone 292 pracownice) bądź całkowicie zniszczone (63%). Wśród 1288 pracowników odnotowano 241 seminariów, 894 zakłady i laboratoria, 91 klinik, 44 instytuty oraz 18 muzeów, ogrodów, obserwatoriów i stacji. W układzie ośrodków 298 pracownice działało w Warszawie, 234 w Krakowie, 172 w Łodzi, 138 we Wrocławiu, 135 w Poznaniu, 118 w Lublinie, 81 w Gdańsku, 56 w Toruniu, 35 w Gliwicach, 9 w Gdyni, 6 w Katowicach, 4 w Cieszynie oraz 2 w Częstochowie. Były to wartości potencjalne, ponieważ do roku 1948 uczelnie skupiały się na zadaniach organizatorskich i dydaktycznych.

W 1948 roku działało w nowych granicach ogółem 28 szkół akademickich, 32 szkoły wyższe zawodowe, 14 towarzystw naukowych ogólnych, 96 bibliotek naukowych, 38 archiwów i 26 muzeów o randze krajowej. W Warszawie funkcjonowało aż 8 zróżnicowanych szkół akademickich, 4 szkoły wyższe zawodowe, 39 bibliotek naukowych, 2 archiwa i 3 muzea. W Krakowie 4 szkoły akademickie, 5 nieakademickich, 11 bibliotek naukowych, 7 archiwów i 4 muzea. Czynnikiem integracji były Towarzystwo Naukowe Warszawskie i Polska Akademia Umiejętności. W Poznaniu działały 2 szkoły akademickie, 4 nieakademickie, 7 bibliotek naukowych, 3 archiwa i muzeum – zintegrowane przez działania Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W Lublinie funkcjonowały – odmienne ideowo – 2 uniwersytety, 4 biblioteki naukowe, 2 archiwa i muzeum. We Wrocławiu 2 szkoły akademickie, 3 nieakademickie, 2 biblioteki naukowe, 3 archiwa i muzeum – animowane przez działania Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego. W Łodzi zorganizowano 3 szkoły akademickie, 5 nieakademickich, 7 bibliotek naukowych, 2 archiwa i 2 muzea – spajane przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe. W Trójmieście zorganizowano 2 szkoły akademickie, 4 nieakademickie, 3 biblioteki naukowe, 2 archiwa i muzeum. Na Górnym Śląsku działały 2 szkoły akademickie, 3 nieakademickie, 4 biblioteki naukowe, archiwum i 2 muzea. W Toruniu obok uniwersytetu powołano 3 biblioteki naukowe, archiwum i muzeum – zintegrowane przez miejscowe Towarzystwo Naukowe. Formowano też ośrodki w Szczecinie z 2 szkołami akademickimi, 1 nieakademicką, 2 bibliotekami naukowymi, archiwum i muzeum. Pozycja ośrodka warszawskiego została po kilku latach umocniona, stolicą była siedziba ogólnopolskich towarzystw naukowych, a do tego umieszczono w niej placówki Polskiej Akademii Nauk. Dominowały w Warszawie władze ministerialne i partyjne.

Zanik kategorii akademickości w szkolnictwie wyższym (1951) wiązał się z polityką demokratyzacji (społecznego „równania w dół”), władze dążyły świadomie do wyrugowania wszelkich atrybutów akademickości, zarówno z mentalności, jak i obyczajów środowiska naukowego. Zniszczono status szkół akademickich, zlikwidowano PAU i TNW, nie mogły działać na rzecz nauki fundacje. Ośrodki akademickie stopniowo traciły tradycyjnie ustaloną tożsamość, sprzyjały temu ułatwienia komunikacyjne, przymusowe migracje zarobkowe profesorów i polityka historyczna władz komunistycznych.

Krzysztof Jurek

Statystyka jako narzędzie nadużyć i manipulacji

Garść refleksji z praktyki

Warto zwrócić uwagę, że analiza statystyczna to jedno, a interpretacja wyników i ich prezentacja to drugie. Obszarem nadużyć lub manipulacji w tym obszarze może być zbyt pochopne wyciąganie wniosków z uzyskanych wyników bądź ich nadinterpretacja.

Niniejszy tekst jest refleksją, która zrodziła się po przeczytaniu wytycznych Komisji Etyki Zawodowej Amerykańskiego Stowarzyszenia Statystycznego na temat etyki w praktyce statystycznej (*Ethical Guidelines for Statistical Practice*; Prepared by the Committee on Professional Ethics of the American Statistical Association Approved by the ASA Board in April 2018). Autorzy dokumentu zwracają uwagę, że statystyka łączy zdolność obserwacji ze zdolnością do zbierania dowodów, podejmowania decyzji, przez co przyczynia się do budowania bardziej świadomego społeczeństwa. To wielka odpowiedzialność, stąd też praktycy statystyki mają obowiązek pracować w sposób etyczny, profesjonalny, kompetentny, pełen szacunku. Przy lawinowym przyroście wiedzy naukowej, którego jesteśmy świadkami, problem etyki w praktyce statystycznej staje się tym bardziej doniosły. Artykuły naukowe, zwłaszcza w zakresie nauk społecznych, pełne są danych statystycznych. W gąszczu tabel, wykresów, liczb łatwo można się pogubić. Zrozumienie wielu tekstów wymaga od czytelnika przynajmniej elementarnej wiedzy statystycznej, tak by odróżnić tekst „dobry” od „złego”.

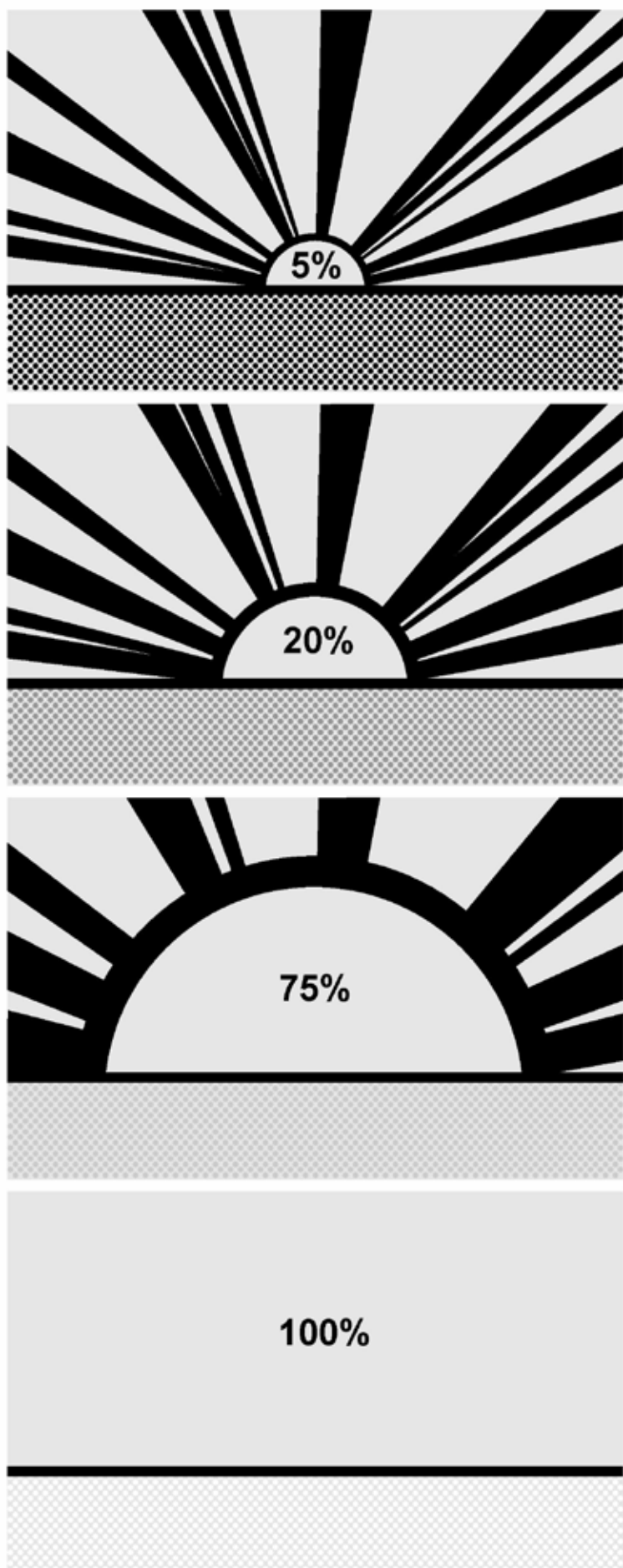
Brytyjski polityk Benjamin Disraeli mawiał rzekomo, że są trzy rodzaje kłamstwa: kłamstwa zwykłe, kłamstwa wirtuozów i statystyki (w oryginale: „Lies, damned lies, and statistics”). Dlaczego statystyka (Disraeli miał na myśli dane liczbowe) jest kłamstwem „największym”, skąd ta ocena? W życiu politycznym statystyki, np. sondaże społeczne, mają wielkie znaczenie – gdy są dla polityków sprzyjające, to ci chętnie się na nie powołują, jednak gdy są niekorzystne, wówczas podważa się ich wartość i znaczenie. Ale dotyczy to nie tylko polityków. Wiele grup zawodowych posługuje się danymi statystycznymi w komunikacji z opinią publiczną. Wyniki rzetelnych badań, na które się powołują, odpowiadają na wiele pytań, weryfikują stawiane hipotezy, demaskują przypuszczenia, powszechne, obie-gowe opinie. Można na nich polegać w procesie budowania wie-

dzy. Dzięki metodom statystycznym badacz jest w stanie nie tylko wyjaśniać otaczającą rzeczywistość, ale może rozwiązywać wiele praktycznych problemów. Co się dzieje jednak, gdy statystyka staje się narzędziem nadużyć, a nawet manipulacji? Opinia Disraeliego nie wzięła się przecież znikąd.

Potwierdzenie z góry założonej tezy

Statystykę należy rozumieć szeroko, są to nie tylko dane liczbowe (sondaże). Metody statystyczne obejmują także takie działania (etapy) jak: projektowanie badań i budowa narzędzia badawczego, metody analizy danych (np. estymacja, weryfikowanie hipotez i generalnie to, co określamy jako statystykę indukcyjną), formy prezentacji danych w postaci wykresów, tabel, diagramów czy w końcu sposoby ich interpretacji oraz formułowanie wniosków na podstawie uzyskanych wyników. Na każdym etapie można się spotkać z nadużyciami badaczy, zwłaszcza gdy celem projektu badawczego staje się potwierdzenie z góry założonej tezy. Dzieje się to na wiele sposobów. Chciałbym w ramach niniejszego tekstu zasygnalizować kilka z nich.

W każdym „poważnym” badaniu społecznym powinna pojawić się informacja na temat doboru próby i jej reprezentatywności. Najprościej mówiąc, próba jest reprezentatywna wtedy, gdy jej struktura jest zbliżona do struktury zbiorowości ogólnej. Stan ten zostanie osiągnięty, kiedy próba zostanie wylosowana, ale nie byle jak, lecz z zachowaniem odpowiednich procedur. Teoretycznie chodzi to, że każdy element populacji powinien mieć szansę wejścia do próby, czyli prawdopodobieństwo znalezienia się w niej powinno być dla wszystkich takie samo. Potrzebny jest zatem wykaz jednostek analizy (np. osób), które mogłyby się znaleźć w próbie. W wielu przypadkach to zadanie pozostawia się wyspecjalizowanym instytutom badawczym, które dysponują bazami danych identyfikujących respondentów, im też pozostawia się zazwyczaj proces zbiera-



nia danych, np. za pomocą ankiet. Oczywiście rozwiązanie to jest najlepsze w przypadku dużych projektów badawczych, na dużą skalę, wiąże się ono bowiem z dużymi nakładami finansowymi. Już na tym etapie projektowania badań można doszukiwać się nadużyć. Chodzi tu nie tylko o sytuacje, w których badacze pomijają wymóg reprezentatywności albo, co gorsza, twierdzą, że zadanie to spełnia dobór celowy próby, ale przede wszystkim o „błędy” w sposobie dotarcia do badanych. Często jest to kontakt wyłącznie telefoniczny lub mailowy, a wyniki mimo wszystko są uogólniane na całą zbiorowość. Tym można tłumaczyć na przykład różnice w sondażach przedwyborczych, które tak zadziwiają i polityków, i głosujących. Komunikacja zapośredniczona, z użyciem środków telekomunikacyjnych, powoduje, że dochodzi do tzw. nadreprezentatywności próby, a zatem wyniki można „rozciągać” na zbiorowość ogólną, ale są nią kolejno posiadacze telefonów oraz osoby mające dostęp do komputera podłączonego do sieci internet. W wielu artykułach autorzy zdawkowo wyjaśniają procedury doboru próby lub – co gorsza – całkowicie pomijają ten problem.

Wyczerpywać wszystkie możliwe sytuacje

Ustalenie celu badań, jego zakresu podmiotowego i przedmiotowego, to jedno, kolejną kwestią pozostaje pytanie, za pomocą czego dokonać badania? Jedną z najczęściej stosowanych technik w naukach społecznych jest ankieta. Dwie podstawowe zasady, które trzeba wziąć pod uwagę przy jej budowaniu, to wyczerpywalność i rozłączność kafeterii (kategorii odpowiedzi). Pierwsza zasada w praktyce polega na zbudowaniu takiej listy odpowiedzi, która powinna (do czego badacz dąży) wyczerpywać wszystkie możliwe sytuacje. Kafeterie dysjunktywne, czyli takie, w których respondent może wtedy wskazać tylko jedną z możliwych odpowiedzi, powinny być bezwzględnie rozłączne, tj. nie powinny nakładać się nawzajem. Zasady te z pewnością były obce twórcom ankiety na temat „wrażen”, które towarzyszyły klientom LOT-u, lecącym Boeingiem 787 (Dreamliner). W pokładowym systemie komputerowym oczom klientów ukazały się pytania radykalnie tendencyjne, np. jak opiszesz swoje wrażenia z lotu B787? Odpowiedzi, których mogli udzielić, były następujące: wspaniałe, wyjątkowe, niezapomniane. Należy sądzić, że ocena lotu była w 100% pozytywna.

Zazwyczaj jest tak, że statystyka opisowa, czyli arytmetyka zebranych danych, jest wstępem do kolejnych, bardziej zaawansowanych analiz statystycznych. Badaczowi chodzi bowiem o to, by powiedzieć o próbie coś więcej niż wskazanie kilku opisujących ją faktów statystycznych (średnia, modalna czy mediana), to znaczy badacz chce wnioskować o populacji, mając dane z próby.

Wiele nadużyć dotyczy procedury testowania hipotez statystycznych. Jest to dział wnioskowania, który pozwala badaczom na podjęcie decyzji o istnieniu bądź nie zależności stochastycznej (probabilistycznej) między zmiennymi. Należy wyraźnie podkreślić, że hipotezy formułuje się przed badaniem, nie w jego trakcie lub co gorsza po zrobieniu analiz. Wprawdzie są sytuacje, kiedy stawia się hipotezy statystyczne na podstawie zebranego materiału statystycznego, ale później konieczne jest zebranie nowego, niezależnego materiału statystycznego do przeprowadzenia sprawdzenia postawionej hipotezy. Wykorzystywanie tego samego materiału statystycznego do formułowania i weryfikowania hipotezy jest błędem, który może prowadzić do uzyskania z góry założonego wyniku.

Kendall i Buckland definiują hipotezę statystyczną jako „każdą hipotezę dotyczącą parametrów albo w postaci funkcyjnej rozkładu prawdopodobieństwa dla określonej populacji, lub ogólnie, mechanizmu probabilistycznego, co do którego wysuwane jest przypuszczenie, że generuje obserwacje”. Hipo-

teza więc to sąd, twierdzenie o populacji, co do której nie mamy pełnej wiedzy. Badacz stawia dwie hipotezy: zerową i alternatywną. Pierwsza z nich zakłada, że różnica między analizowanymi parametrami lub rozkładami wynosi zero. Hipoteza alternatywna, inaczej badawcza, jest tą, którą skłonni jesteśmy przyjąć po odrzuceniu hipotezy zerowej. Celem procedury testowania hipotez jest więc podjęcie decyzji (i tylko podjęcie decyzji), tzn. weryfikacja hipotez nie ma nic wspólnego z prawdziwością postawionych hipotez statystycznych (czy liczby mogą mieć wpływ na to, co „mówią” hipotezy?).

Poznanie istoty zjawiska

Warto zwrócić uwagę, że analiza statystyczna to jedno, a interpretacja wyników i ich prezentacja to drugie. Obszarem nadużyć lub manipulacji w tym obszarze może być zbyt pochopne wyciąganie wniosków z uzyskanych wyników, bądź ich nadinterpretacja. Stanley Feldman i Vincent Marks w książce *Panic Notion*, w rozdziale zatytułowanym *The Misuse of Numbers* („Nadużycia liczb”), wskazują na przykłady niewłaściwego wykorzystania danych statystycznych w mediach, ekonomii, medycynie. Rozdział zaczyna się od wskazania tytułu, który pojawił się w jednej z gazet: *Thirty thousand people die each year from eating too much fat* („Trzydzieści tysięcy ludzi umiera corocznie z powodu jedzenia zbyt dużej ilości tłuszczu”). Autorzy pytają prowokacyjnie: Czy ludzie ci żyliby wiecznie, gdyby nie jedli tłuszczu, czy też umarliby z powodu czegoś innego? Czy chociaż jedna osoba, nie mówiąc już o 30 tysiącach ludzi, jako przyczynę śmierci miała w akcie zgonu: jedzenie zbyt wielkiej ilości tłuszczu? Słusznie zauważają, że wskazana statystyka, jak i wiele innych, jest wynikiem czystej spekulacji. Jeden z artykułów opublikowanych w „The Times” w sierpniu 2004 r. podawał, że przypuszczalnie 40 tysięcy pacjentów rocznie umiera z powodu skutków ubocznych stosowania leków. Liczbę tę otrzymano poprzez ekstrapolację z badania 28 pacjentów jednego szpitala, którzy zmarli po zażywaniu leków. Nie wzięto pod uwagę, że na bazie obserwacji tak małej próby rozciąganie wyników na cały kraj jest niezasadne, nie wzięto też pod uwagę składu populacji tego konkretnego szpitala, a w populacji było wyjątkowo dużo ludzi bardzo starych i chorych. Polem nadużyć jest również sposób prezentacji wyników. Zagadnienie

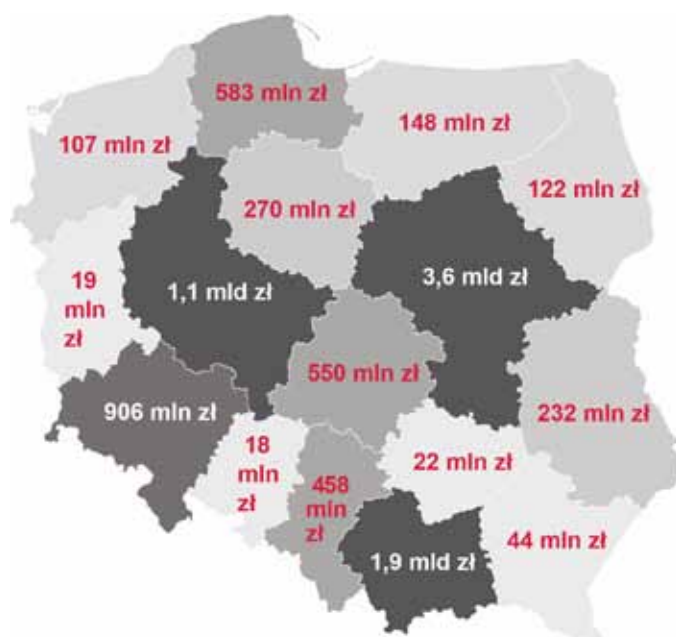
to w niezwykle interesujący (i zabawny) sposób opisał i zobrazował (z pomocą Irvinga Geisa) Darell Huff w książce *How To Lie With Statistics*.

Statystyka jest powszechnie obecna w życiu człowieka – w sondażach opinii publicznej, prognozach giełdowych, wyborczych, diagnozach społecznych, w prognozach pogody, polityce, ekonomii itd. Statystyka pozwala ocenić skalę danego zjawiska, jego charakterystykę, wskazuje trendy. Jej celem jest bowiem poznanie istoty zjawiska, głębsze jego zrozumienie. Tymczasem w wielu przypadkach metody statystyczne są źródłem manipulacji i nadużyć badaczy (lub osób, które wykorzystują dane statystyczne), stając się narzędziem, za pomocą którego kreuje się „swoją” wiedzę (a raczej niewiedzę). Paradoksalnie dzieje się to również nieświadomie, z braku wiedzy na temat zastosowania określonych metod. Statystyka zamiast być dyscypliną pomocniczą, zaczyna odgrywać pierwszoplanową, negatywną rolę.

Warto też pamiętać, że dane statystyczne same w sobie nie są kłamstwem, po prostu są takie, a nie inne (średnia arytmetyczna wynika z takiej, a nie innej formuły matematycznej), niemniej jednak mogą one być wykorzystywane np. przy prezentacji wyników w taki sposób, by „ukrywać” prawdę, pokazywać pewne informacje tendencyjnie czy w końcu tak, by w zamierzony sposób kształtować opinię publiczną.

Statystyka jest umiejętnością systematycznego opisu i zwiększonej charakterystyki różnorodnych zjawisk społecznych. Umiejętność ta jest tym bardziej cenna, że nowoczesne społeczeństwa podlegają dynamicznym, czasem nieprzewidywalnym zmianom, a ich szybkie zrozumienie może mieć duże znaczenie w życiu społecznym, ekonomicznym czy politycznym. Pandemia związana z COVID-19 jest tego świetną egemplifikacją. W naukach społecznych statystyka nie jest dziedziną bezwzględnie autonomiczną, ma charakter „służebny” wobec poszczególnych dyscyplin. Nie jest przypadkiem, że uczą się jej studenci socjologii, psychologii, ekonomii, dziennikarstwa i innych nauk humanistycznych (rzecz jasna, że również nauk ścisłych).

Dr Krzysztof Jurek jest adiunktem w Katedrze Socjologii Kultury, Religii i Migracji Wydziału Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.



Naukowcy z województw mazowieckiego, małopolskiego i wielkopolskiego uzyskali z NCN na finansowanie swoich badań 6,6 mld zł, czyli 63 % wszystkich środków rozdysponowanych przez Centrum.

Wartość grantów przyznanych badaczom z poszczególnych województw

Refleksje pandemiczne

Nowe warunki gospodarowania będą wymagały wspólnych, międzynarodowych ustaleń i szerokiej współpracy – w atmosferze międzyludzkiej solidarności. Wszystko to może przebiegać pomyślnie tylko wtedy, gdy zostanie zapewniony wzrost poczucia odpowiedzialności i moralności, a więc w sferze duchowej – poszczególnych ludzi i całych społeczeństw.

Rozważania podjęte tu z perspektywy przełomu lat 2020/2021 sięgają dziś w rzeczywistości ostatnich stu lat działalności człowieka – z jego nigdy wcześniej niedoznanym, dynamicznym rozwojem materialnym, ale także – widocznym regresem moralnym. Wpływające z konfrontacji tych dwóch imperatywów ludzkiego działania wnioski mogą być obecnie dość pesymistyczne. Jednakże w naturze świata zakorzenione są prawa wymuszające jego harmonię. Powstaje pytanie, czy obecna pandemia koronawirusa – jako znak samooczyszczenia matki natury – może być przejawem dążenia do tej harmonii. Godzi się zapytać, jak ten ogólny trend może wpłynąć na indywidualne życie obecnych ludzi, a jeszcze bliżej na obraz kształcenia dzisiejszych generacji młodzieży w polskich uczelniach? Artykuł zawiera skromną próbę udzielenia stosownych odpowiedzi z pozycji zawodowej człowieka nauki i techniki oraz w nawiązaniu do jego zamiłowań humanistycznych.

Na wstępie warto przywołać pewne odczucia ogólne, jakie mogą się wiązać z charakterystyką stulecia 1920-2020. Przede wszystkim można je nazwać „odlotowym” – w trojakim znaczeniu tego słowa. W dzisiejszej obiegowej polszczyźnie jest ono synonimem niezwykłości, rewelacyjności, świetności, wspaniałości, znakomitości itp. określeń. Paralelnie słowo to może być także odbiciem pewnego szaleństwa – stanu samoupojenia tego stulecia. Jednakże w trzecim podejściu słowo to znaczy również odlot par excellence, czyli pewien koniec.

Dzisiaj, patrząc na sto lat z obu pierwszych perspektyw, można okres ten uznać niewątpliwie za czas niesamowicie szybkiego i, co gorsza, szalonego rozwoju materialnego ludzkości, ale też równoległe rabunkowej eksploatacji zasobów globu. Stało się to przyczyną zwalczania stanu tych spraw na rzecz uprawiania polityki tzw. rozwoju zrównoważonego (Cywiński Z., *Current philosophy of sustainability in civil engineering*, „Journal of Professional Issues in Engineering Education and Practice” 2001, ASCE, 127(1), 12-16; Cywiński Z., *O nową filozofię budownictwa*, Politechnika Gdańska, Gdańsk 2009, wyd. II 2010). Ruch ten, rodzący się w różnych kręgach wielu społeczeństw, został formalnie zapoczątkowany w roku 1987 przez WCED (World Commission on Environment and Development), gdy pojawił się raport tej komisji pn. *Our Common Future*, zwany też *Brundtland Report*. Później, w roku 1992, został on oficjalnie przyjęty przez ONZ na konferencji w Rio de Janeiro. Równocześnie, a nawet wcześniej, tworzyły się też rozliczne tzw.

zielone ruchy obywatelskie, organizacje pozarządowe i formacje polityczne.

W tym gwałtownym rozwoju zauważono jednak także poważne mankamenty moralne. Już Teilhard de Chardin w książce *Moja wizja świata* stwierdza: „Coraz trudniej zrobić dalszy krok w dziedzinie organizacji materialnej, jeśli się go natychmiast nie zrównoważy odpowiednim krokiem naprzód w dziedzinie psychicznej i duchowej”. Dlatego też w artykule *Current philosophy of sustainability in civil engineering* („Journal of Professional Issues in Engineering Education and Practice” 2001, ASCE, 127(1), 12-16) zaproponowałem definicję zrównoważonego rozwoju, jak następuje: „Zrównoważony rozwój zaspokaja całościowe (duchowe i materialne) potrzeby żyjących dziś ludzi, bez ograniczenia zdolności przyszłych pokoleń do zaspokajania, odpowiednio, ich własnych potrzeb”. Źródłem tej definicji jest niewątpliwie encyklika *Redemptor hominis* (1979), w której można przeczytać: „Rozwój techniki oraz naznaczony panowaniem techniki rozwój cywilizacji współczesnej domaga się proporcjonalnego rozwoju moralności i etyki. Tymczasem ten drugi, zdaje się, niestety, wciąż pozostawać w tyle. I stąd też ów skądinąd zdumiewający postęp, (...) musi rodzić wielorakie niepokoje. Niepokój zaś dotyczy zasadniczej i podstawowej sprawy: czy ów postęp, którego autorem i sprawcą jest człowiek, czyni życie ludzkie na ziemi pod każdym względem »bardziej ludzkim«, bardziej »godnym człowieka«? (...) czy człowiek (...) rozwija się i postępuje naprzód, czy też cofa się i degradowe w swym człowieczeństwie?”. Bowiem w człowieku „tęskni i pulsuje to, co jest najgłębiej ludzkie: poszukiwanie prawdy, nienasycona potrzeba dobra, głód wolności, tęsknota za pięknem, głos sumienia”.

Kłamstwo prowadzi do braku zaufania

Jest faktem, że braki w sferze duchowej przyczyniły się w rozważanym stuleciu do wybuchu wielu wojen, z II wojną światową na czele, do powstania i funkcjonowania różnych reżimów totalitarnych, do rozwoju rasizmu, terroryzmu, głoszenia nienawiści, hejtu itp. zjawisk. Mogą one świadczyć o zbliżaniu się stulecia 1920-2020 do wcześniej wspomnianego jego odlotu w trzecim znaczeniu tego słowa – jako końca możliwości dalszego pomyślnego rozwoju. Wynika to z porzucenia przez wielu ludzi zasad uznawanego od dawna Dekalogu, a nawet prawa naturalnego jako kompasu moralnego. Dążenie do niczym nieskrępowanej, egoistycznej swobody postępowania rodzi niestety

widoczny regres w obszarze etyki stosunków międzyludzkich. Wydaje się, że jedną z najbardziej panoszących się nieprawości jest dziś kłamstwo. Nieposzanowanie prawdomówności prowadzi do wszechstronnego braku zaufania wszystkich do wszystkich i do wszystkiego.

Powstające w tej sferze ruchy odśrodkowe nie pozostają bez konsekwencji. Można chyba założyć, że jednym z pierwszych sposobów samoobrony natury może być współczesna pandemia koronawirusa. Podobne znaczenie mogą mieć także różne kataklizmy naturalne, takie jak: wielkoobszarowe pożary, trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, ale też powodowane zmianami klimatycznymi powodzie, susze, tornada, tajfuny i huragany, a także różne efekty przeludnienia. Wszystko to sprawia, że – w dalszej perspektywie – może to skutkować procesami samozniszczenia świata i naszej obecnej cywilizacji.

Takie wnioski nie biorą się znikąd. Jeżeli spojrzeć się chociaż na obecne procesy zanieczyszczenia wody i powietrza z jednej strony oraz na realne niebezpieczeństwo użycia broni jądrowej z drugiej, odczucia takie nie są gołosłowne. Dlatego warto dziś przyrzeć się choćby wymienionej tu zaradzie. Należy sądzić, że zagości ona na świecie mniej lub bardziej długotrwale, ale mogą również pojawić się nowe epidemie. Trzeba zatem pomyśleć, jak to zjawisko wpłynie na dalsze bytowanie człowieka. Wygląda na to, że kończy się jego aurea aetas, a krzyk niepokoju staje się coraz głośniejszy.

Bowiem, jeśli spojrzymy na cywilizację i kulturę ludzką w ciągu wieków, wszystkie one – tak jak organizmy żywe – rodziły się, trwały (ale też mutowały) i umierały. Jest to prawidłowość, której ulegnie na pewno kiedyś również nasza obecna cywilizacja i kultura. W roku 2014 napisałem: „Patrzę na ten świat już 85 lat i nie mogę się nadziwić, jak wielkie zmiany – pod każdym względem – stały się w tym czasie udziałem człowieka. Spoglądając na to, trudno wyobrazić sobie granicę, do której dąży funkcja rozwoju świata, niewątpliwie jeszcze silniejsza od funkcji wykładowej. Wygląda na to, że nastąpi gdzieś jej gwałtowne urwanie”. Dziś wszystko wskazuje na to, że takie właśnie „urwanie” autentycznie zostało zapoczątkowane.

Co zatem może nam przynieść przyszłość?

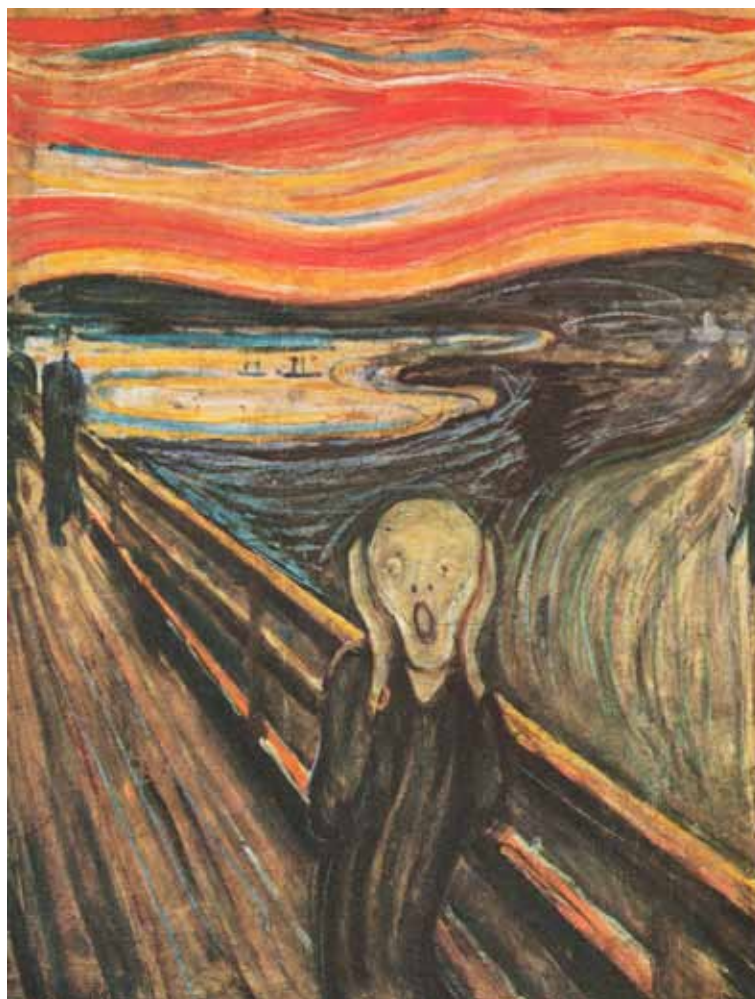
Świat po pandemii koronawirusa jest dziś wielką niewiadomą. Niewątpliwie będzie on odbiciem realnej rzeczywistości, a ta narzuci ludzkości różne ograniczenia, proponując równocześnie jej stosowną adaptację. Będzie ona musiała uwzględnić potrzeby całościowo zrównoważonego, harmonijnego rozwoju świata. Już dziś mówi się o utrzymaniu, w znacznym stopniu, pracy zdalnej wszędzie tam, gdzie to podczas pandemii zdawało egzamin. Będzie to wymagało dużego wzajemnego zaufania pracodawców i pracobiorców, ale też odpowiedniej edukacji społeczeństw w skali świata. Sfery gospodarki, gdzie przeważała dotychczas bezpośrednia praca ludzka, poddane zostaną zarazem wzmoczonej automatyzacji. Może to rodzić wzrost bezrobocia przynajmniej do czasu przekwalifikowania się przedstawicieli niektórych odchodzących zawodów. Nowe warunki gospodarowania będą wymagały wspólnych, międzynarodowych ustaleń i szerokiej współpracy w atmosferze międzyludzkiej solidarności. Wszystko to może przebiegać pomyślnie tylko wtedy, gdy zostanie zapewniony wzrost poczucia odpowiedzialności i moralności, a więc w sferze duchowej poszczególnych ludzi i całych społeczeństw. Na pewno wyzwanie to będzie bardzo trudne w realizacji.

Odbiciem tych ogólnych konieczności stanie się też sfera nauczania podstawowego, średniego i wyższego. Skupmy się na tym ostatnim, ważnym dla działalności uczelni w Polsce. Wydaje się, że wykłady będzie można w dużej mierze głosić w formie zdalnej, chociaż ucierpi na tym tradycyjna, bezpo-

średnia relacja student-profesor. Podobnie będą mogły kształtować się ćwiczenia tablicowe i seminaria. Te bardziej praktyczne oraz projektowania i laboratoria trzeba będzie dostosować do możliwych w dalszym ciągu, zagrożeń epidemicznych poprzez rozproszenie studentów i ich nauczycieli na salach. Będzie to dużym wyzwaniem dla organizatorów zajęć. Różne bezpieczne formy trzeba będzie nadać także zaliczeniom i egzaminom. Na pewno wzrośnie w swej wadze dobrze zorganizowana praca własna studentów ze zwiększonym wykorzystaniem wiedzy książkowej, czerpanej z bibliotek i Internetu. Większego znaczenia nabędą jednak także szerzej zakrojone praktyki studenckie, gdyż trzeba będzie położyć wzmoczony nacisk na przybliżenie teorii do praktyki zawodu, na specyfikę działania w świecie realnym, w „niezdałnym” i „niewirtualnym” otoczeniu ducha i materii.

Wszystkie te działania będą wymagać znacznego wzniesienia się ich uczestników – nauczycieli, studentów i administratorów – ponad dotychczasowe przyzwyczajenia. Wypada dodać, że wszyscy oni będą musieli zawczasu zadbać o uruchomienie w sobie ponadprzeciętnych, innowacyjnych i kreatywnych, właściwości swoich osobowości. Będzie to możliwe, jeśli każdy z nich działać będzie tak, jak to czyni – harmonijnie i bezkonfliktowo – odnawialna energia w przyrodzie. Sprzyjać temu będą wielorakie techniczno-humanistyczne przymioty intelektu uczestników.

Zbigniew Cywiński, honorowy profesor emeritus Politechniki Gdańskiej



Rys. 1. Edvard Munch: Krzyk – 1893, Oslo, Nasjonalgalleriet; wg *Leksykon malarstwa*, Muza 1996, str. 516

Przyczynek do teorii pośrednictwa

W Podyplomowym Studium Edytorstwa (szkoły redagowania na UKSW, istniejącej w latach 2000-2019) jedno z istotnych pytań, które na pierwszym kolokwium zadawałem studentom, brzmiało jak następuje: Jeśli wydawnictwo otrzymuje oryginał książki napisany ręcznie, to którą maszynistkę do przeniesienia tego na komputer wybrałbyś spośród trzech następujących kandydatek: 1) tę, która przepisuje tekst dokładnie ze wszystkimi jego błędami, 2) tę, która przepisując, dostrzega podstawowe błędy, takie jak literówki czy braki interpunkcji, i od razu przepisuje poprawnie, czy też 3) tę, która poprawia także błędy merytoryczne, takie jak na przykład niewłaściwa data urodzenia Adama Mickiewicza albo niepoprawna nazwa leku?

Zdecydowana większość (88%) wybierała odpowiedź 2. i tłumaczyła to tym, że przecież błąd literowy jest czymś oczywistym, a przecinki stawiać umieją wszyscy, którzy zajmują się tekstami, i także tym, że taka postawa maszynistki znacznie oszczędzi czas późniejszego redagowania tekstu już lepszego niż oryginał.

Otóż dla każdego, kto choć chwilę się zastanowi, poprawna powinna być wyłącznie odpowiedź 1. Osoba przepisująca ma przepisywać, i to dokładnie, ściśle, nic więcej. Nie ma prawa redagować, a to z wielu powodów. Przepisywanie, zwłaszcza szybkie, na tyle utrudnia analizę tekstu, że nawet dobry redaktor, jeśli bierze się do wstukiwania, powinien się wtedy powstrzymać z poprawianiem, a skupić na kontroli, bo z całą pewnością coś wstuka z klawiatury źle.

W prowadzonej przeze mnie firmie wydawniczej przez kilka lat w ramach szkolenia wewnętrznego sprawdzałem tę tezę przez wyznaczanie redaktorom odpowiednich zadań. Między innymi zlecałem przepisywanie z poprawkami, czyli stosowanie typu 2. Służyło to edukacji, ale jednocześnie dawało ważne informacje praktyczne. Ponieważ po kilkunastu latach materiał stał się dość duży (ponad 50 przypadków), uważam, że wyniki mają sens także naukowy. Zawsze działało się podobnie. Przepisujący pewne błędy rzeczywiście naprawiali, ale najczęściej jednak w sposób istotny zniekształcali zapis oryginału niezgodnie z intencjami autora. Czasem też dodawali błędy swoje.

Nie tylko ingerowali w intencje autora, ale także nie kontrolowali kontekstu poprawianych elementów i wobec tego nieraz poprawiali to, co w tekście było najzupełniej poprawne.

Oto klasyk z zadań, o których mowa. Do przepisania było opowiadanie o spotkaniu Chorwata z Rosjanką i Polką. W pewnym momencie jedna z bohaterek utworu wypowiada kwestię dialogową: „Dziś od rana słońce świeci bardzo mocno, aż robi się gorąco”. Przepisujący natychmiast „zauważył błąd” i go poprawił, po czym zdanie przybrało postać: „Dziś od rana słońce świeci bardzo mocno, aż robi się gorąco”.

Jak łatwo dostrzec, frazę „słońce świeci” potraktował jako zniekształconą przez błędy literowe, a nie jako kontekstowo uzasadnioną (wypowiada je Rosjanka) i z lekka przez autora zniekształconą (usunął „t” z końca drugiego wyrazu) transkrypcją. Jest oczywiste, że osoba, która potem miałaby redagować tak przerobiony tekst, nie wiedziałaby, że przetworzono ważną dla utworu frazę „słońce świeci(t)”, co spowodowałoby uszczuplenie oddziaływania tekstu na czytelnika i ograniczyłoby zawartą w oryginalnym dialogu charakterystykę bohaterki, bo ta przecież miała mówić w szczególny sposób.

Natomiast zupełnie nie zauważył, że w czasie pisania wyrazu „się” sam popełnia pomyłkę, wybierając z klawiatury znak „e”, a nie „ę”. Brak ogonka w wyrazie „się” to częsty błąd z niedowidzenia zmęczeniowego. Szczególnie słabo widzi się wady w tytułach, nagłówkach, żywych paginach, czyli elementach tekstu zdeintegrowanych. A to wcale niebłaży problem, bo z takich właśnie niedoskonałości publikacji biorą się negatywne opinie o autorze i wydawcy.

Przed laty przygotowywałem szereg tomów literaturoznawczych na zlecenie Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów, które mieści się w Podkowie Leśnej w słynnej willi, noszącej nazwę Stawisko. Autorka ładnej skądinąd okładki trzeciego tomu przez pomyłkę umieściła błędny napis „Srawisko”, po czym przeniosła to metodą kopiuj-wklej na stronę tytułową, którą też doskonale skomponowała, ale „Srawisko” niestety się powtórzyło. Nikt tego nie zauważył. Ani autorka rysunku, ani kilka pań w Muzeum, ani dyrektor, ani ja, ani osoba, która w mojej firmie wykonywała skład, ani korektorka. NIKT. Wszyscy patrzyli, ale zobaczył dopiero pracownik obsługi maszyny drukarskiej, który wybuchnął śmiechem i w ten sposób zainteresował właściciela drukarni, a ten pozostałych.

Jeśli usługa pośrednika ma być kompletna i nietraumatyczna, to dobrze jest sprawdzić, czy pracownik ten wie, jak ważne jest ściśle trzymanie się treści zadania, i jednocześnie, że sprawdzanie tego, co się zrobiło, stanowi podstawę poprawności wykonania.

Pośrednictwo, polegające na operowaniu przekazywaniem treści, jest, podobnie jak pewne rodzaje komunikatów (na przykład informacja czy definicja), pojęciem etycznym. Jest też problemem wyraźnie prakseologicznym. Wymaga bowiem wyuczenia, przeciwiczenia, wyrobienia nawyków takich jak momentalne sprawdzanie, standaryzowanie procedur, porównywanie ze wzorcami. Niestety tego chyba nikt w szkołach podstawowych, średnich ani humanistycznych wyższych (z wyjątkiem może medycyny, humanistyczno-przyrodniczej) nie uczy.

e-mail: lpj@lpj.pl

Wolność w czasach Facebooka



Ponad pół wieku temu Amerykę poróżniła kwestia rozkopywania indiańskich grobów. Przeciwnicy równych praw dla mniejszości zamieszkujących Stany Zjednoczone ścierali się ze zwolennikami społecznego egalitaryzmu domagającymi się respektu i szacunku dla rdzennej ludności. To wówczas Franz Boas, znany profesor filozofii na Uniwersytecie Iowa, ukuł termin „polityczna poprawność”. Zdefiniował ją jako „kompleks białej winy” i „wiarę w magiczną siłę słowa”. Przez kolejne dekady

stanowiła standard wypowiedzi i zachowań dla całego Zachodu. W dużej mierze pod wpływem Internetu doszło do zakwestionowania tego paradygmatu. Już nie w „globalnej wiosce”, ale w „globalnym mieście” technologia, której zalety wychwalano zrazu pod niebiosa, stała się „wygodnym, tanim i bezpiecznym, bo anonimowym instrumentem do wyrażania ocen i poglądów na temat odmiennych kulturowo sąsiadów”. Poprawność zaczęła homo festivus uwierać, a subtelności w dobie klikalności nastawionej na emocje okazały się dla niego mało atrakcyjne. W efekcie na forum publicznym coraz częściej można dziś usłyszeć i przeczytać wypowiedzi dyskryminujące, nawołujące do nienawiści, a nawet zaprzeczające faktom. Dzieje się to oczywiście w imię szeroko pojmowanej wolności.

Dlaczego media elektroniczne, w których pokładano nadzieje na poprawę jakości dyskursu, wzmacniają poglądy radykalne i polaryzują? – pyta w obszernej analizie dr Agnieszka Demczuk, zastanawiając się, jak za ich sprawą doszło do tego, że idea Boasa została obrócona wniwecz. Badaczka z UMCS wychodzi z założenia, że wolność wypowiedzi stała się w ostatniej dekadzie wartością nadużywaną. Umieszcza tę kwestię nie w hipotetycznym uniwersum, lecz w konkretnym momencie dziejowym, w którym na naszych oczach kształtuje się całkiem nowy ustrój, niosący lawinę wyzwań. W informacjonizmie giganci platform świadczących usługi online, z Markiem Zuckerbergiem na czele, najcenniejszym surowcem uczynili wszelkiego typu dane. Jednak w przeciwieństwie do towarów dostępnych na realnym rynku, z rozpoznaniem kopii których świadomy klient szybko sobie poradzi, fake news pozostaje w obiegu znacznie dłużej, angażuje coraz to nowe grupy odbiorców i niepostrzeżenie – w myśl zasady, że kłamstwo powtarzane tysiąc razy staje się prawdą – zmienia postrzeganie rzeczywistości. Pokazały to choćby ruchy antyszczepionkowe, „fantomowy” kryzys uchodźczy w Polsce, brexit czy kampania wyborcza Donalda Trumpa. Szczegółowo omawiając te przypadki, autorka dowodzi, że na zagrożenia czyhające w internecie – algorytmizację, trolling, botting, propagandę komputacyjną – większość z nas jest po prostu nieprzygotowana. Rolę odgromnika mogłyby stanowić media, tyle że one też uwikłane są w tę grę, są areną tzw. walki informacyjnej, a dodatkowo w dobie postępującej degradacji etosu dziennikarskiego i otwartego dla każdego dostępu do globalnego audytorium, nie mają już tej siły przebicia co kiedyś. Specjalistom od dezinformacji tylko w to graj.

Demczuk, stojąc na stanowisku, że bez wolności wypowiedzi nie ma ani prawdziwej debaty, ani dyskursu publicznego, ocenia, że nadmiar tego przytomu jest tak samo szkodliwy, jak i jego brak. Podsuwa więc rozwiązania – polityczne, finansowe, prawne – przeciwdziałające nadużywaniu tej wolności, akcentując zarazem, że takie instrumentarium może być znaczącym wsparciem, nie zastąpi jednak edukacji społeczeństwa. Społeczeństwa, co często bywa podkreślane, opartego na wiedzy, czyli takiego, w którym dąży się do poznania prawdy. Umiejętne oddzielanie sieciowych ziaren od plew trzeba uznać w takim kontekście za kluczową kompetencję, która będzie zyskiwać na znaczeniu, jeśli wziąć pod uwagę, że prawie połowa świata nadal jest offline. Wszystko zatem przed nami.

Mariusz Karwowski

Me, myself and I



W popularnonaukowym pisaniu o literaturze łatwo osunąć się w pułapkę biografizmu. Najczęściej dzieje się tak dlatego, że umożliwia to ustrukturyzowanie materiału w sposób zrozumiały dla laika. Józef Olejniczak jest od tego jak najdalszy: pisze równoległe o twórczości i biografii Gombrowicza, ale robi to z zaskakującym nowatorstwem, ambicją i ambiwalencją.

Wyjaśnijmy najpierw tę ostatnią: Gombrowicz jawi się w tej książce jako jednocześnie przenikliwy myśliciel i męczący egotyk; człowiek zanurzony w polskość i obywatel świata; żywa

legenda i bezradne dziecko, latami utrzymywane przez moźnych protektorów. Ten wciąż zmieniający się spłot sprzeczności dostrzega jednak przede wszystkim on sam. Nie stara się go rozplątać ani nie ma złudzeń, że jest w stanie sam siebie do końca zrozumieć, ale pisze o sobie, *Dziennik i Kronos*. O ile refleksje Olejniczaka o *Ferdynandzie* czy *Trans-Atlantyku*, choć błyskotliwe, nie są nadmiernie oryginalne, gdy pisze on o szczerości i autokreacji w autobiograficznych dziełach Gombrowicza, wielu czytelników (w tym piszący te słowa) zdaje sobie sprawę, jak powierzchownie odebrali zwłaszcza *Dziennik*. Czy pisarz próbował stwarzać na nowo samego siebie przed czytelnikiem, czy przed samym sobą? Chciał kształtować to, kim jest, czy jedynie (a może aż?) to, jak jest odbierany? Olejniczak wskazuje, że prosta opozycja „prawdy” i „fałszu/zmyślenia” nie znajduje tu zastosowania: w diarystyce Gombrowicza jest więcej warstw, a cel takiego ukształtowania tekstów do dziś jest przedmiotem sporów (na co nakłada się fakt, że *Kronos* niekoniecznie był w ogóle przeznaczony do publikacji).

Ważny jest też wskazany przez autora „wsteczny ruch” łączący biografię i twórczość Gombrowicza. Prosto rozumiany biografizm oznacza, że rozwój artystyczny twórcy łączymy z kolejnymi zmianami i wydarzeniami w jego życiu – kolejne etapy życia znajdują łatwo uchwytne odzwierciedlenie w drodze twórczej. Tymczasem u Gombrowicza bardzo wyraźnie tendencja była odwrotna: im był starszy, tym częściej odwoływał się do wcześniejszych etapów życia. Nie była to jednak nostalgia emigranta, ale zmagania – z polskością, z sobą. Olejniczak wychodzi poza utrwalone już rozumienie kategorii, wokół których te zmagania się toczą: Ojczyzny, Syncyzny, wzniosłości, formy, gęby... Gombrowicz przestaje być tu postrzegany jako wielki trickster, manipulujący czytelnikiem, aby pozbawić go pewności i pewników. Zmagania toczą się w samym pisarzu. Spod dystansu wyłania się bolesna szczerość: tęsknota za krajem w Argentynie, tęsknota za stworzeniem własnego domu we francuskim Vence, świadomość, że miłość do Rity, choć piękna, wydarzyła się po prostu zbyt późno.

Olejniczak cytuje niepokojącą scenę z ostatniego tomu *Dziennika*, gdy opuszczający Argentynę pisarz wychodzi przed świtem na pokład transatlantyku i widzi mijający okręt. Wydaje mu się, że na pokładzie tego drugiego jest ludzka postać – może on sam płynący do Argentyny w przededniu II wojny światowej? Czy to kłamrowe zamknięcie i podsumowanie etapu życia, czy może gorzka świadomość, że czasu nie da się cofnąć?

Olejniczak zachowuje równowagę między referowaniem cudzych tez a rozwijaniem własnych, pozwala mu to wiele wyjaśnić (a nie tylko streścić), a jednocześnie odesłać do innych publikacji. Jego książka to zwięzłe ujęcie zarówno biografii Gombrowicza, jak i jego twórczości – płynne w lekturze, a jednocześnie pozwalające uzyskać orientację w twórczości pisarza tym, którzy wcześniej czytali go chaotycznie, nie widząc, jak spójny *Kosmos* (tytuł ostatniej powieści Gombrowicza) może stanowić pisarstwo tego zawsze osobnego mistrza. Odpowiedzi rodzą jednak kolejne pytania: czy jest to spójność zamierzona, niezamierzona (a wynikająca z obsesji i idiosynkrazji twórcy) czy też – jak bohater *Zbrodni z premedytacją* czy Witold i Fuks z *Kosmosu* – szukamy logiki i struktury tam, gdzie może ich wcale nie być?

Marek Misiak

Agnieszka DEMCZUK, *Wolność wypowiedzi w społeczeństwie informacyjnym*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020.

Józef OLEJNICZAK, *Witold Gombrowicz. Ja!*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021, seria: Projekt: Egzystencja i Literatura.

Podręcznik dobrego widzenia



Upadki firm działających od wielu lat na rynku wywołują zazwyczaj duże, odczuwalne nie tylko w branżowym świecie poruszenie. Najczęściej zadawane pytania dotyczą przyczyn, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy. Powodów spektakularnych często katastrof podać można aż nadto. Niewłaściwe odczytywanie płynących z otoczenia sygnałów, niechęć do wyciągania wniosków z porażek innych, ignorowanie głosu klientów, a także przywiązanie do dawnych sukcesów czy opór przy wdrażaniu nowych technologii, to tylko kilka pozycji z dłu-

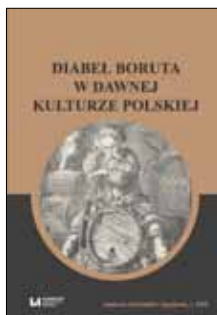
giej listy zaniedbań, którym przygląda się Wojciech Czakon. W książce *Krótkowzroczność strategiczna menedżerów* analizuje on konkretne przypadki z historii, umieszczając poszczególne zdarzenia w kontekście szeroko ujętego obszaru zarządzania. Symbolizująca porażkę metafora wady wzroku, która znalazła się w słowniku pojęć za sprawą Levitta mówiącego o krótkowzroczności marketingowej, służy autorowi do przybliżenia tematyki mechanizmów wyjaśniających powody, dla których przejawy braku antycypowania zdarzeń mogą być szkodliwe dla bezpiecznego funkcjonowania poszczególnych organizacji. Złożoność kwestii poruszanych w całej dysertacji nie stanowi przeszkody uniemożliwiającej zrozumienie problemu. Dzieje się tak za sprawą przyjętego stylu narracji. Wojciech Czakon nie zatrąskuje bowiem czytelnika w pułapce hermetycznego języka, ale przeciwnie, przez zastosowanie klarownego modelu przekazu otwiera się na szerokie grono odbiorców.

Autor przywołuje wyniki wielu badań empirycznych, które prowadzone były w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w interesującym go obszarze zarządzania. Tym, co odróżnia jego metodę analizy problemu, jest rezygnacja z obarczania winą pojedynczych jednostek za negatywne zdarzenia. Krótkowzroczność strategiczna nie jest bowiem jedynie wyrazem indywidualnej niedoskonałości menedżerów, uwikłanych, jak każdy człowiek, w sieć niedoskonałych mechanizmów poznawczych, często zniekształcających obraz zastanej sytuacji, ale jest zjawiskiem wielopoziomowym, wieloczynnikowym i dynamicznym, które po poddaniu uważnej refleksji można opanować lub przynajmniej złagodzić jego negatywne skutki. Wojciech Czakon przygląda się i analizuje fenomen krótkowzroczności, zachęcając każdego do podjęcia uważnej refleksji dotyczącej przyszłości. Jego praktyczny wykład na temat możliwych konsekwencji ewentualnych zaniedbań zaskakuje bogactwem przemyśleń. Przywołując liczne przykłady różnorodnych zachowań, autor nie poprzestaje jednak na epatowaniu czytelnika naszpikowaną danymi teorią, ale przekonuje do wykorzystywania istniejących praktycznych alternatyw. Jako iż krótkowzroczność przejawia się na wielu płaszczyznach, czy to czasowej, przestrzennej czy relacyjnej, ważne jest, by przystępować do niwelowania jej skutków, będąc uzbrojonym w zestaw odpowiednich narzędzi. Jeśli tylko ktoś zechce krytycznie spojrzeć na własne postępowanie, wyciągnąć wnioski z minionych zdarzeń, a nie wyłącznie spoczywać na laurach, mając w pamięci niedawne sukcesy, ma szansę pozostać oraz rozwijać się na niezwykle wymagającym i konkurencyjnym rynku. Uporczywe trzymanie się raz obranej ścieżki jest, jak się wydaje, najgorszym z możliwych rozwiązań. Kryjąc się za tym niebezpieczeństwo stagnacji skutkować może najgorszym scenariuszem, jakim jest wypadnięcie z obiegu, a od tego tylko krok do ostateczności, czyli likwidacji całego przedsięwzięcia czy firmy. Potrzeba umiejętnego tworzenia taktyki powinna być więc celem rozsądnego zarządzającego lidera. A skoro przyszłość każdej organizacji zależy w dużym stopniu od podjęcia dobrze przemyślanych decyzji, należy tym bardziej zrozumieć istotę napotykaną po drodze zagrożeń. Krótkowzroczność strategiczna jest jedną z tych barier, które warto precyzyjnie rozpoznać.

Aneta Zawadzka

Wojciech CZAKON, *Krótkowzroczność strategiczna menedżerów*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2020.

Diabeł szlachcic



Boruta, Borowy, Błotnik, Wilczy Pasterz, Leszy – oto niektóre imiona zamieszkującego lasy, a później także zamek w Łęczycy, słowiańskiego demona, zwanego po chrystianizacji diabłem. W ciągu setek lat wyobrażano go sobie bardzo różnie i spotykano w wielu miejscach. Bywał wielkim ptakiem krążącym na podłęczyckich bagnach i moczarach, wielką rybą z rogami pływającą w Bzurze, galopującym czarnym koniem na okolicznych polach, a także sową, wilkiem, mnichem, młynarzem czy ogniem. Jednak „typową i ulubioną, stąd

najczęściej spotykaną postacią jest Boruta szlachcic, zwany też Borutą Tumskim lub Czarnym. Przedstawiany był jako wysoki mężczyzna z długimi, czarnymi wąsiskami, o czarnych oczach, który kamufluje swój diabelski rodowód, wkładał bogaty kontusz zakrywający ogon i czapkę zasłaniającą rogi” (s. 8–9).

Niniejsza publikacja jest zbiorem pięciu artykułów literaturoznawczych i dwóch historycznych, napisanych fachowo i zarazem przystępnie. Z omawianego tomu dowiemy się m.in. o tym, jaki wizerunek Boruty wykreował Kazimierz Wójcik w słynnym zbiorze pt. *Klechdy*, który mocno oddziałał na zbiorowe wyobrażenie tytułowego diabła. Anita Filipczak-Białkowska przekonuje, że jeden z prekursorów polskiej folklorystyki, ukazując barwny obraz Boruty, dokonał psychologizacji postaci. Jako literat stał się współautorem, a nie – jak deklarował – zbieraczem (dokumentalistą) ludowych opowieści. Artykuł Andrzeja Wichera przybliży inne literackie koncepcje diabła, które są ciekawym kontekstem, dodatkowo naświetlającym obraz łączyckiego czarta. Maria Wichowa analizuje kreację postaci Boruty w dramacie Lucjana Rydla *Zaczarowane koło*. Diabeł jest jednym z ważnych bohaterów utworu, stworzonym bardzo oryginalnie – jedynie na kanwie ludowych i szlacheckich przekazów. Boruta Rydla to „postać silnie zindywidualizowana, fantastyczna, baśniowa, a zarazem dobrze osadzona w realiach miejsca akcji, działająca swobodnie w puszczy, w lesie czy na dworze Wojewody. [...] jest bardzo upodobniony do człowieka pod względem wyglądu, ubrany w strój szlachecki, ale swoją czartowską naturę prezentuje w pełnej okazałości” (s. 58). Główny – nie: jedyny – diabeł w tym dramacie to mistrz intryg, kłamstw i przewrotności, a także wytrawny kusiciel i... narzędzie kary w rękach Boga. Natomiast Artur Oppman, portretując łączyckiego biesa w *Baśni o diable Borucie* (ze zbioru *Polski zaklęty świat*), bardziej inspirował się podaniem Wójcickiego. Jednak wprowadził tutaj zgola inną narrację. Jak zauważa Anna Warda: „ma ona charakter dynamiczny, jest przy tym rytmiczna, rymowana i wyróżnia się żartobliwym, pełnym humoru tonem” (s. 74–75). W efekcie czytelnik otrzymuje kreację diabła ośmieszonego i wykpionego, który nie jest niebezpieczny i nie budzi lęku, a wprost przeciwnie – sam ma kłopoty i musi szukać pomocy u śmiertelników. Boruta stał się również tytułowym bohaterem powieści Kazimierza Glińskiego, którą analizuje Małgorzata Domagalska. Poznajemy w niej czarta jako ambitnego, dumnego, obdarzonego artystycznym talentem i nadzwyczajnymi mocami szlachcica herbu „Chwytaj-dusza”.

Książka ma również aspekty stricte historyczne: Tadeusz Nowak przybliża dzieje rodziny Boruckich z Boruc w Łęczycy w kontekście legend o słynnym czarciu, natomiast Tomasz Stolarczyk prezentuje sylwetki polskich szlachciców, którzy już za życia byli owiani złą sławą i postrzegani jako „wcielone czarty”.

To są tylko wybrane zagadnienia z cennego poznawczo i starannego pod względem redakcyjnym opracowania, które z pewnością zainteresuje nie tylko literaturoznawców i historyków, lecz także etnografów/etnologów, kulturoznawców i krajoznawców.

Marcin Lutomiński

Diabeł Boruta w dawnej kulturze polskiej, red. Maria WICHOWA, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Towarzystwo Naukowe Płockie, Łódź–Płock 2021, seria: *Analecta Literackie i Językowe*.

O sąsiedztwie inaczej



Ojczyzną Mickiewicza była Litwa, Chopin był synem Francuza, a Matejko Czecha i pół-Niemki. Skarby polskiej architektury, jak Zamek Królewski na Wawelu czy ratusze w Zamościu i Poznaniu, to dzieła architektów z Włoch. Gros polskich intelektualistów wywodzi się z narodu zamieszkującego Polskę, ale odrębnego, więc niejako sąsiedniego, mianowicie Żydów. Gdzie w takim razie przebiega granica między tym, co uznać można za polskie i niepolskie? Czy da się ją w ogóle wytyczyć? A może należałoby tu mówić o pograniczu, rozumianym jednak nie jako kategoria przestrzenna, a kulturowa? Wówczas kultury, społeczności, ludzie wcale nie muszą być na siłę przydzielani do danego obszaru, rozgraniczani. Można za to uznać ich niejednorodność, wzajemne wpływy i zróżnicowanie.

Taki nowy sens pojęcia „pogranicze”, odwołujący się nie tyle do sąsiedztwa geograficznego, ile do przenikania kultur i ich wartości, zaproponowany został już w latach osiemdziesiątych na łamach czasopisma „Akcent”. Lubelski periodyk, założony i nieprzerwanie kierowany przez Bogusława Wróblewskiego, w ubiegłym roku obchodził 40-lecie istnienia. W ramach jubileuszu ukazała się m.in. książka pt. *Na pograniczu narodów i kultur. Polska – Europa – Ameryka*.

Na publikację składają się teksty prawie 50 autorów, które pierwotnie drukowane były w „Akcentie” na przestrzeni owych czterech dekad, a formę mają różną: eseje, referaty, recenzje, a także wiersze. Jak wskazuje podtytuł zbioru, autorzy nie ograniczają się do terytorium Polski. Wszak „pogranicze” to nie tylko Kresy czy pogranicze zachodnie bądź południowe. To również zbiorowości emigrantów w Europie i Stanach Zjednoczonych stojące „przed koniecznością sprzężenia systemu wartości wyniesionego z kraju urodzenia z tym, który zastali w kraju osiedlenia”, jak czytamy we wstępie. W książce znajdziemy więc zarówno teksty o sąsiedztwie polsko-ukraińskim, stosunkach polsko-litewskich czy tożsamości węgierskiej w relacji do Europy Środkowej, jak i o obrzędach żydowskich, Polakach w Ameryce i globalizacji.

Na końcu książki są obszernie noty o autorach, a wśród nich międzynarodowe grono humanistów: profesorów, zasłużonych dziennikarzy, działaczy społecznych czy literatów, jak również postaci, których przedstawiać nie trzeba: Ryszard Kapuściński, Tadeusz Konwicki, Stanisław Barańczak czy Wojciech Młynarski. W „Akcentie” mistrz rymowanych felietonów drukował niektóre swoje teksty, jak *Moje ulubione drzewo*, które później stały się hitami i trudno je dziś przeczytać nie śpiewając. Ale poezji jest tu więcej. O „swoich kompromisach” pisze Bohdan Zadura, któremu zawdzięczamy również tłumaczenia najnowszej literatury ukraińskiej. Przedwojenną wieś Żwiartów i jej żydowskich mieszkańców wspomina jezuita Wacław Oszajca. A węgierskim okiem na polskie miasta spogląda dyplomata István Kovács.

Literaturoznawca i tłumaczka Monika Adamczyk-Garbowska opisuje Polskę oczami Isaaca Bashevisa Singera i jego rodzeństwa, a Danuta Mostwin pisze – z perspektywy emigrantki – o Polakach w Ameryce. Bardzo trudno jakoś ten zbiór skondensować. Motyw przewodni jest znany, ale rozważane przez autorów kwestie – każda z nich z osobna – to tematy rzeki. Jeden temat: pograniczność, ale wiele źródeł, nurtów i meandrów. Zbiór ma przemyślany, logiczny układ, ale redakcja nie sili się na jakieś ostre podziały czy ostateczne zamknięcie. Dzięki temu książka jeszcze bliżej przylega do rzeczywistości, którą opisuje.

Jak pisze we wstępie Bogusław Wróblewski, można wyróżnić trzy modele wzajemnego oddziaływania kultur, narodów czy wyznań: konfrontacja, osmoza (dyfuzja) oraz synergia. Wydaje się, że pokojowe i dopełniające się wzajemnie współistnienie różnych kultur to, oprócz zmian klimatycznych, największe wyzwanie stojące współcześnie przed ludzkością. Książka *Na pograniczu narodów i kultur* jest do tego znakomitą inspiracją.

Anna Jawor

Na pograniczu narodów i kultur. Polska – Europa – Ameryka, wstęp i suplement Bogusław WRÓBLEWSKI, wybór i opracowanie Bogusław WRÓBLEWSKI i Łukasz JANICKI, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Warszawa-Lublin 2020.

Książki nadesłane

Kulturowe historie podróżowania, red. Jakub DZIEWITT, Marek PACUKIEWICZ, Adam PISAREK, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Jacek JAROCKI, **Świadomość, wolna wola, jaźń. Metafizyka Galena Strawsona**, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2020, seria: Monografie FNP.

Stanisław PESTKA, **Twórczość liryczna**, oprac. Józef Borzyszkowski, Adela Kuik-Kalinowska, Bożena Ugowska, Instytut Kaszubski, Gdańsk 2020, seria: Biblioteka Pisarzy Kaszubskich.

Aleksander WÓJTOWICZ, **Epoka wielkiego zamętu. Szkice o literaturze nowoczesnej (1918-1939)**, Wyd. UMCS, Lublin 2020.

Paul VÉYNE, **Palmyra, której już nie ma**, tłum. Paweł Filipczak, Wyd. UŁ, Łódź 2021.

Nancy A. PACHANA, **Starzenie się**, tłum. Paulina Kłos-Wojtczak, Wyd. UŁ, Łódź 2021.

Umberto ECO, **Prawie to samo. O doświadczeniu przekładu**, tłum. Jadwiga Miszańska, Monika Surma-Gawłowska, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021, seria: Translatio.

Krzysztof ZAŁUSKI, **Halo, tu Marek Skowronek**, Wyd. Czarny Pies, Lublin 2019.

Józef OLEJNICZAK, **Gombrowicz. Ja!**, Wyd. UŁ, Łódź 2021, seria: Projekt: Egzystencja i Literatura.

Ewa MAJ, **Dziennikarki prasy dla kobiet w Polsce 1918-1939. Portret zbiorowy na podstawie publicystycznego samoopisu**, Wyd. UMCS, Lublin 2020.

Aleksandra DĘBSKA-KOSSAKOWSKA, **Ludzki wymiar historii, Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty A. Jeleński, Czesław Miłosz wobec historii, wspólnoty i sztuki**, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Doświadczenie świata. Eseje o myśli Romana Ingardena, red. Tomasz MAŚLANKA, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2020, seria: „Jubileusz”.

Kamil ZEIDLER, **Mądrość chińskich aforyzmów. O państwie, prawie, polityce i władzy**, Wyd. UG, Gdańsk 2020.

Ochrona zdrowia w opinii studentów medycyny, zebrał i oprac. Stanisław GŁUSZEK, Wyd. UJK, Kielce 2020.

Janusz SZEWCZAK, **Idiotokracja, czyli zmowa głupców**, Biały Kruk, Kraków 2020.

Piotr TRYJANOWSKI, Sławomir MURAWIEC, **Ornitologia terapeutyczna. Ptaki – zdrowie – psychika**, Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2021.

Diabeł Boruta w dawnej kulturze polskiej, red. Maria WICHOWA, Wyd. UŁ, Towarzystwo Naukowe Płockie, Łódź-Płock 2021, seria: Analecta Literackie i Językowe.

Józef OLEJNICZAK, **Witold Gombrowicz. Ja!**, Wyd. UŁ, Łódź 2021, seria: Projekt: Egzystencja i Literatura.

Zachęcamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 r.





Leszek Szaruga

Nauka polska w świecie

W czasach zamierzchłych, po roku 1989, gdy trwały w Polsce różne procesy transformacyjne, myślałem i dyskutowałem o tym, jakie ten czas otwiera szanse przed nauką polską i nadzieć się nie mogłem, że na rozwój w tej dziedzinie państwo przeznaczą nakłady dalekie od 1% PKB. Kombinowałem, tak oto: od dwustu lat kraj po raz pierwszy nie tylko odzyskiwał pełnię suwerenności, ale w dodatku nie był przez sąsiadów zagrożony – Niemcy mieli się czym zajmować we wcale niełatwym procesie zjednoczenia kraju, Rosja miała kłopoty w procesach rozpadu Związku Sowieckiego, Czesi i Słowacy zajmowali się swoim rozwojem, czyli spokoj i cisza, nie trzeba się na gwałt zbroić (ale to tylko moje zdanie, w końcu wojsko jest od tego, żeby wrywać kasę dla siebie), gospodarka, choć nie bez wstrząsów, zaczyna się nakręcać, a zresztą, dodawałem, ani gigantem przemysłowym, ani mocarstwem militarnym i tak nie mamy szansy zostać, należy zatem tyle, ile się da, wpakować w głęboką reformę szkolnictwa i rozwój nauki. I to im prędzej, tym lepiej – historia w miejscu nie stoi, jak o tym przekonywał Fukuyama, a zatem taka luka nie będzie trwać wiecznie.

Lecz przekonanie polityków o tym, że pieniądze na naukę to dotowanie czy sponsorowanie, jest mylne – to poważna inwestycja w przyszłość. Bo nic nie stoi na przeszkodzie temu, by, przynajmniej w wybranych dziedzinach nauki, uczynić Polskę jeśli nie mocarstwem, to poważnym graczem. Tyle że trzeba się pogodzić z faktem, który dla polityków jest nieprzyjemny – taka inwestycja nie zwraca się w ciągu czterech lat, ani nawet w ciągu ośmiu – tymczasem perspektywa, jaką oni ogarniają, nie przekracza dwóch kadencji i w tym czasie chcą mieć do dyspozycji namacalne efekty, wyraziste sukcesy. Tymczasem, zwłaszcza przy obecnym rozwoju technologicznym, nauka nie może się obejść bez potężnego finansowania. Nawet jeśli o tym wiedzano, nie uczyniono wówczas nic, by to finansowanie tam skierować.

Jednym z nieszczęść polskiej transformacji był brak wyrazistych priorytetów, w szczególności zaś zlekceważenie kwestii edukacji społeczeństwa, ba, niemal demonstracyjne lekceważenie tej dziedziny, jej dramatyczne niedofinansowanie. Dziś już tak sprzyjających warunków nie mamy, co oczywiście nie znaczy, że czeka nas zapaść. Tego, że mamy wybitnych naukowców i to w wielu bardzo dziedzinach, nietrudno dowieść – w każdym środowisku naukowym w Polsce jesteśmy w stanie wskazać koleżanki i kolegów robiących kariery, tyle że za granicą.

Wciąż ponawiane próby ściągnięcia ich z powrotem do kraju przynoszą dość marne efekty. Przyczyną jest, oczywiście, brak pieniędzy nie tylko na płace, ale przede wszystkim na sprzęt, a choćby tylko zaopatrzenie bibliotek.

Ale co było, minęło i pora rozejrzeć się w tym świecie, w jakim funkcjonujemy. Posługiwanie się terminem „polska nauka” jest z wielu względów nieodosowne. Nauka nie ma mianowicie narodowej przynależności, jest ze swojej zasady uniwersalna. Podobnie zresztą jak literatura – określenie „literatura polska” nie ma sensu bez odniesień do antyku, Biblii, Szekspira i Dostojewskiego, to byłby absurd. Można się oczywiście napać nie tylko tym – jak do niedawna głosił plakat w oknach PAN – że „Kopernik była kobietą” (feministyczna zabawa), ale i tym, że był(a) Polakiem (Polką), ale to dla nauki nie ma większego znaczenia: zarówno płeć jak narodowa przynależność w owych czasach pojmowana była inaczej niż dziś. Ważna jest natomiast kwestia kompatybilności systemu nauki w Polsce i na świecie. Czyli: jak dalece i w jakiej mierze nauka polska jest zdolna efektywnie funkcjonować w systemie nauki światowej.

Nie chodzi o efektywne pozycje i nagrody. Chodzi o uczestnictwo polskich naukowców w międzynarodowych gremiach i organizacjach, o pełnione w nich funkcje. Informacje na ten temat rzadko przedostają się do szerszej publiczności. Jak wielu Polaków wie, że nad pracą Wielkiego Zderzacza Hadronów kontrolę sprawowała polska uczona? Czy polska opinia publiczna wie, że jedną z najwybitniejszych postaci w nauce światowej poświęconej uniwersaliom ludzkiej mowy jest uczona polska pracująca w Australii? Cóż, z punktu widzenia rozwoju nauki pochodzenie uczonych nie ma większego znaczenia. Ktoś z Botswany, USA czy Ukrainy? I co z tego? Ważne, że profesjonalista.

Rzecz w tym, że pozycja, jaką wypracowują sobie polscy naukowcy w świecie, jest niemal zawsze efektem ich osobistego wkładu pracy, podejmowanego niejako wbrew systemowi, eliminującemu niestandardowość i oryginalność poszukiwań. Te są z pozycji urzędników nauki sprawdzalne i mierzalne. Z niernormatywnymi nie wiadomo, co począć. Ryzyko. Rzecz w tym, że bez ryzyka nauka się nie rozwija. I jeśli mamy się – nie wiedzieć czemu – porównywać z Zachodem, na to przede wszystkim warto zwracać uwagę. Bo jeśli o finanse chodzi, to tak, rzeczywiście można sporo stracić, jeśli badania się nie powiedą. Ale nawet wtedy – co warto w ogólnym rachunku uwzględnić – są opłacalne, bo wykluczają złe rozwiązania.

LUMEN 2021 ONLINE

VII Konferencja 24 i 25 listopada

Organizatorzy:

PCG | Academia



Wybrani prelegenci:



Zapraszamy na VII Konferencję LUMEN – największe forum debaty na temat zarządzania szkolnictwem wyższym w Europie Centralno – Wschodniej.

Konferencję rozpocznie **KEYNOTE SPEECH: THE FUTURE ROLE OF UNIVERSITIES IN THE POST-COVID 19 ERA**, który wygłosi Phil Baty, Chief Knowledge Officer w Times Higher Education.

23 listopada - Zarządzanie strategiczne

Pierwszy dzień konferencji będzie poświęcony aktualnym zagadnieniom o charakterze strategicznym:

- **Szkolnictwo wyższe** i nauka z perspektywy krajowego planu odbudowy, perspektywy finansowej UE 2021-2027 oraz budżetu państwa 2022.
- **Ewaluacja działalności naukowej** za okres 2017-2021. Wnioski i rekomendacje na przyszłość.
- **Uwarunkowania korzystne dla internacjonalizacji.** Jaki model uniwersytetu sprzyja sukcesom w skali międzynarodowej?
- **Zrównoważony rozwój** i społeczna odpowiedzialność uczelni w erze kryzysu ekonomicznego i klimatycznego.

24 listopada - Zarządzanie operacyjne

Drugiego dnia skoncentrujemy się na zarządzaniu operacyjnym i przedstawieniu konkretnych rozwiązań zarządczych oraz informatycznych mających na celu poprawę efektywności działania polskich szkół wyższych:

- **Uniwersytet Przyszłości z perspektywy IT** – chmura, Saas, standaryzacja.
- **Od danych naukowych do sukcesu** w ewaluacji naukowej i w międzynarodowych rankingach uczelni.
- **Uczelnie bez papieru** – wizja kompletnego, elektronicznego obiegu dokumentów w szkole wyższej.
- **Czego nas nauczyło nauczanie online?** Wnioski po dwóch latach kształcenia w trybie zdalnym.

Podczas tych dwóch dni Konferencji moderatorzy i uczestnicy panelu będą dyskutowali „na żywo” w studiu telewizyjnym, a publiczność będzie miała możliwość oglądania wystąpień w sieci oraz zadawania pytań.

Patronat honorowy:



Patronaty:



Rada Główna
Nauki i Szkolnictwa Wyższego



Serdecznie zapraszamy do **rejestracji** na www.lumen.edu.pl. Uczestnictwo w Konferencji jest bezpłatne.

Kontakt:
Biuro Projektu
LUMEN



Agnieszka Piekart

Dyrektor Marketingu
+48 722 110 522
agnieszka.piekart@pcgacademia.pl



Waldemar Chmura

Specjalista ds. Marketingu
+48 669 917 029
waldemar.chmura@pcgacademia.pl

Zapraszamy na drugą edycję cyklu webinarów:



Inspiracje IT od wiodących uczelni w Polsce i na świecie



1

Szanse i wyzwania, w przededniu ewaluacji działalności naukowej – case studies: uczelni publicznej, uczelni niepublicznej i instytutu naukowego

23 września - godz. 13:00

2

Elektroniczny obieg dokumentów – dlaczego warto inwestować i rozwijać wewnętrzne kompetencje na Uczelniach

28 września - godz. 13:00

3

Premiera najnowszej wersji DSpace 7 – jak skutecznie wdrożyć lub zaktualizować repozytorium naukowe na uczelni?

7 października - godz. 13:00

4

Zwiększanie zasięgu i efektywności kształcenia zdalnego poprzez innowacje – rozmowa z przedstawicielami Uniwersytetu Jagiellońskiego, Blackboard i AWS

14 października - godz. 13:00

5

Wdrożenie polityki dostępności w oparciu o rozwiązanie Blackboard Ally – case study uczelni zagranicznej

28 października - godz. 13:00

6

Podnoszenie jakości kształcenia poprzez analizę danych z platformy e-learningowej – case study wykorzystania rozwiązania IntelliBoard na uczelni zagranicznej

4 listopada - godz. 13:00

7

Korzyści z wdrożenia skalowalnej platformy opartej o Moodle'a w chmurze – case study uczelni zagranicznej

10 listopada - godz. 13:00

Partnerzy PCG

Blackboard

inspera

IntelliBoard

Open LMS

WEBCON

aws

Serdecznie zapraszamy do rejestracji na webinaria www.pcgacademia.pl/wydarzenia

Udział
w webinarach
jest bezpłatny



Agnieszka Piekart

Dyrektor Marketingu
+48 722 110 522
agnieszka.piekart@pcgacademia.pl



Waldemar Chmura

Specjalista ds. Marketingu
+48 669 917 029
waldemar.chmura@pcgacademia.pl